

KATARZYNA TUBYLEWICZ

SZTOKHOLM

MIASTO, KTÓRE TĘTNI CISZA



KATARZYNA TUBYLEWICZ

SZTOKHOLM



MIASTO, KTÓRE TĘTNI CISZĄ

ZDJĘCIA:

DANIEL TUBYLEWICZ

 WIELKA LITERA

Marcinowi, który podarował mi Sztokholm





Kungsträdgården zimą. Wiosną kwitną tu drzewka wiśni podarowane miastu przez cesarza Japonii; większość sztokholmczyków robi sobie pod nimi zdjęcia.

Wstęp

To nie jest (zwykły) przewodnik



Zimowy widok na Stadshuset (to tu odbywają się przyjęcia noblowskie).

Po raz pierwszy zobaczyłam Sztokholm w 1999 roku. Z lotu ptaka. Ale wcale nie z pokładu samolotu pasażerskiego, bo wylądowałam na Arlandzie wieczorem, na dodatek była mgła. Za to w weekend po przylocie spojrzałam na miasto z pokładu niedużej cessny 172. Wiatr mocno bujał awionetką i fakt, że z moją chorobą lokomocyjną jakoś to przetrwałam, da się wytłumaczyć tylko w jeden sposób: przy życiu trzymała mnie miłość do mojego przyszłego męża, który siedział za sterami. Mówiąc szczerze, byłam nim tak zaabsorbowana, że za bardzo nie przyjrzałam się miastu, które już niedługo miało stać się moim domem.

Z pierwszego pobytu w Sztokholmie – poza niemiłosiernym huśtaniem w powietrzu i zdumieniem, że samolot, którym lataliśmy, jest tak lekki, że mogę go ciągnąć po pasie startowym jak psa na żelaznej smyczy – pamiętam niewiele. Świetną pizzerię prowadzoną przez rodzinę Irakijczyków na Finn Malmgrens Plan w dzielnicy Hammarbyhöjden i dwie sarny, które pewnego dnia pojawiły się przed naszą klatką schodową.

Przeprowadziłam się do Sztokholmu rok później. I wtedy zaczęła się moja przygoda z tym miastem. Przygoda niezwykła i rozwijająca, bo Sztokholm jest fascynujący. Na pierwszy rzut oka olśniewająco piękny i estetycznie harmonijny (choć ostatnio w niekończącej się przebudowie, co nieco tę harmonię zaburza), przy bliższym poznaniu okazuje się pełen zaskakujących kontrastów i zawiłości, a także ukrytych kodów i hierarchii. Od ich zrozumienia zależy, czy będziesz mógł nazwać to miasto swoim. To znaczy: nazwać je tak i nie czuć, że to nadużycie. Bo fakt, że gdzieś mieszkasz, nie musi oznaczać, że to miejsce jest twoje, w pełni oswojone, że je znasz.

Mam nadzieję, że po przeczytaniu tej książki poczujesz, że Sztokholm jest także trochę twój, nawet jeśli nigdy tu nie byłeś. To nie jest kolejny przewodnik, po który sięga się, planując wycieczkę, a potem odkłada go

na półkę. Nie znajdziesz w nim informacji o wszystkich najważniejszych zabytkach i muzeach, za to dostaniesz opisy miejsc, ludzi i zdarzeń, o których nie przeczytasz w innej książce o Sztokholmie. To opowieść o duszy miasta, o jego mieszkańcach i problemach, które są w rzeczywistości uniwersalne dla wielu krajów i miast. To także historia odrobinę prywatna, związana z moim życiem w Szwecji, choćby dlatego, że ten przewodnik-nieprzewodnik zilustrował zdjęciami mój syn Daniel (kiedy pracowaliśmy nad tą książką, akurat skończył 18 lat!).

Przyglądanie się szwedzkiemu społeczeństwu i analizowanie go to jedno z zajęć, któremu oddaję się od wielu lat zawodowo, dlatego opowiadając o Sztokholmie, piszę też o kulturze, mentalności i rzeczywistości politycznej. Miasto to jeszcze jedna soczewka, przez którą warto spojrzeć, żeby zrozumieć lepiej innych, a przy okazji przyjrzeć się także sobie i miejscu, z którego się pochodzi.

Myślę, że nie da się opowiadać o mieście bez zerkania wstecz, nawet jeśli mieszkający tu ludzie są tak zapatrzeni w przyszłość, że nie czują potrzeby, aby wracać do tego, co było (pod tym względem sztokholmczycy są skrajnie różni od stale powracających do przeszłości warszawiaków). Zagląając w przeszłość Sztokholmu, łatwo natrafić na ciemne strony miasta i jego historii, więc czytelnicy tego przewodnika mogą się czasem poczuć, jakby oddawali się lekturze kryminału. Bo Szwecja, o której piszę, nie jest podobna do Bullerbyn.



Nasze jezioro zmienia się każdego dnia.



Jednocześnie wiem, że jest w tej opowieści mnóstwo dobrej energii, i ty także ją poczujesz. Pracując nad książką, spędziliśmy z moim synem niezliczone godziny na ponownym odkrywaniu miasta, w którym Daniel się urodził, a ja mieszkam prawie dwadzieścia lat. Była to dla nas wspaniała przygoda i by ją przeżyć, nie trzeba było lecieć na drugi koniec świata. Była to także lekcja uważności. Dlaczego? Bo zdarzało nam się znajdować autentyczne cuda w miejscach, w których bywaliśmy wcześniej setki razy.

Ot, taka historia. Któregoś dnia wybraliśmy się na spacer do pobliskiej dzielnicy willowej Storängen. Daniel miał ze sobą aparat fotograficzny, od jakiegoś czasu prawie się z nim nie rozstawał. Latem bywamy w Storängen codziennie, bo jest tam jezioro z najlepszymi miejscami do kąpieli w okolicy. Znamy to miejsce. Przeświadczeni, że niczym nie może nas już zadziwić, idziemy przed siebie. Słońce świeci. Pachnie trawa. Skręcamy w inną niż zwykle uliczkę, żeby ewentualnie zrobić jakieś zdjęcie, i naszym oczom ukazuje się najprawdziwszy... dom hobbita. Z pokrytym trawą dachem, zabawną skrzynką na listy i okrągłymi błękitnymi drzwiami pomalowanymi w magiczne wzory. Jest uroczy. Wpatrujemy się w niego z zachwytem do czasu, gdy przed nami wyrasta uśmiechnięty człowiek o niemal przezroczystych żrenicach. Przedstawia się. To Fredrik Sandell, miłośnik książek Tolkiena, który zbudował ten dom w swoim ogrodzie. Fredrik otrzepuje ręce z ziemi, bo właśnie sadił kwiaty (najwyraźniej jest to mężczyzna z gatunku tych, którzy zawsze znajdą sobie jakieś zajęcie), i otwiera przed nami drzwi. Do ciemnego, przytulnego wnętrza wpada światło i naszym oczom ukazuje się mieszkanko hobbita z maleńką kuchnią, kominkiem, sypialnią, w której nie brak hobbitowych kapci i masy starannie dobranych detali.



Storängen – położona nad jeziorem dzielnica drewnianych willi z dużymi ogrodami.





Domek hobbita w Storängen (Nacka).

Fredrik opowiada, że odkąd powstał dom hobbita, on z rodziną spędził w nim tylko jedną noc. W każdy weekend domek jest wynajmowany kolejnym wielbicielom bohatera Tolkiena. Przeglądam księgę gości pełną zachwytów i podziękowań. Ktoś spędził w hotelu swoje sześćdziesiąte urodziny, czytając wnukom ulubione fragmenty książki. Jakaś para zdecydowała się właśnie tutaj uczcić pierwszą rocznicę ślubu. Ktoś inny nie może się nachwalić śniadania^[1].

Kiedy po zrobieniu licznych zdjęć zegnamy się z Fredrikiem, mamy bardzo dobre humory. W naszych żyłach płynie adrenalina odkrywców. Już wiemy, co czuł Krzysztof Kolumb! Owszem, nasze odkrycie jest na małą skalę, ale za to nasze! Poza tym jest coś niezwykle inspirującego w spotkaniach z ludźmi, którzy realizują osobliwe marzenia i przy

okazji dają sporo radości innym. Jak się okazuje, można ich znaleźć wszędzie, także tam, gdzie nigdy byśmy się ich nie spodziewali.

Książkę tę można czytać jako manifest wiecznego turysty. Bo w turystyce nie chodzi tylko o przemieszczanie się, ale także o wnikliwość. Rozejrzyjcie się uważnie również po swojej okolicy, popatrzcie na nią w nowy sposób. Zauważycie, że odkrywanie świata nie zawsze musi się łączyć z podróżą.

Jest jeszcze jeden ważny punkt w tym manifestcie. Otóż większość turystów, zwiedzając kolejne miasta, trafia do tych samych miejsc, chodzi po utartych ścieżkach. Miejsca te znajdują się zazwyczaj w ścisłym centrum. Nic dziwnego, że mieszkańcy coraz częściej mają już turystów dosyć. Że w Barcelonie, Wenecji, Lizbonie czy w Berlinie nie chcą tłumów ludzi pchających się jak oszalali do tych samych muzeów.

Także przeglądając turystyczne broszury o Sztokholmie, szybko zauważysz, że eksponują one jedynie centrum miasta i obowiązkowe atrakcje w rodzaju Muzeum Vasa czy Skansenu. Nie znajdziesz w nich dzielnic zbudowanych w ramach słynnego Programu Miliona Mieszkań, chociaż był to unikalny projekt architektoniczny, wiele mówiący o szwedzkiej socjaldemokracji. Nie dowiesz się, dlaczego warto pojechać do Vällingby, ani jak nazywała się pierwsza willowa dzielnica Sztokholmu. Cóż, w informatorach turystycznych na ogół nie ma informacji o przedmieściach. Kto miałby na nie czas? Jaki przewodnik po Paryżu zachęca do odwiedzania tamtejszych *grands ensembles*? (Żeby przekonać się, że warto zobaczyć te modernistyczne osiedla, trzeba najpierw znaleźć zdjęcia Laurenta Kronentalą). Jaki przewodnik po Londynie rozwodzi się nad dzielnicą Hackney? Patrząc na miasta z międzynarodowej perspektywy, rzadko uważa się ich peryferia za interesujące dla turystów. Według mnie nie ma nic bardziej mylnego. Dlaczego? Dowiedzie się tego między innymi z mojej rozmowy

z piewą urody sztokholmskich przedmieść Perem Wirténem. W ramach wstępu do niej napiszę tylko, że 85 procent sztokholmczyków mieszka poza ścisłym centrum miasta. Jeśli chcecie ich poznać, jeśli chcecie poznać cały Sztokholm, musicie zejść z oczywistych turystycznych szlaków. Poza tym nie da się zrozumieć tego miasta bez chociaż jednej wycieczki na Archipelag Sztokholmski. I nie wolno przegapić... STOP! O tym, co trzeba poznać i przeżyć, przeczytasz w dalszych rozdziałach.



Järla gård w Nacka – dziś nie jest to już prywatne gospodarstwo o bardzo długiej historii, ale apartamentowiec. Stoi przed nim pomnik Carin Ersdotter – dziewiętnastowiecznej mleczarki, która była tak piękna, że o jej urodzie rozpisywała się nawet zagraniczna prasa. Kiedy sprzedawała mleko na Stortorget w Sztokholmie, zbierały się wokół niej tłumy.

Na zakończenie tego wstępu muszę napisać o czymś ważnym, co uświadomiłam sobie w połowie pracy nad książką, kiedy w słoneczny sierpniowy dzień wyszłam z Biblioteki Królewskiej w parku Humlegården. W mojej głowie aż szumiało od pomysłów na nowe

rozdziały. Na ulicach Östermalm było więcej ludzi niż zwykle. Uśmiechali się do siebie i do słońca. Wzięłam głęboki oddech i zupełnie niespodziewanie zdałam sobie sprawę z tego, że nareszcie udało mi się uwolnić od lęku, który czał się we mnie od 7 kwietnia 2017 roku, kiedy to w Sztokholmie doszło do ataku terrorystycznego. Nie lubimy o tym myśleć ani mówić, ale prawdą jest, że takie wydarzenia pozostawiają w wielu ludziach trwałe ślady. To utrzymująca się miesiącami niechęć do jazdy metrem, stronienie od przebywania w tłumie, jakieś wewnętrzne nastroszenie i nieufność. Nie myślałam o tym, ale przez długie miesiące męczyła mnie utrata poczucia bezpieczeństwa. I nagle poczułam, że mam to już za sobą, a Sztokholm znów jest miastem, które lubię, może nawet Kocham, i któremu zdecydowanie ufam. Wiem, że przyczyniła się do tego praca nad tą książką. To chyba dobry znak, prawda?

Sztokholm, październik 2018

I.

Dzielnica, której nie ma,
czyli co się stało z Klarą



Gamla Stan – sztokholmska starówka, która kiedyś sąsiadowała z nieistniejącą już Klarą.

Opowieść o Sztokholmie zaczynam od pustki. Pustki po Klarze. To jedna z najstarszych dzielnic miasta, którą zburzono, a na jej miejscu zbudowano modernistyczne City. A w nim moje ukochane centrum kultury Kulturhuset, przestrzeń pełną wydarzeń kulturalnych, scen, galerii, bibliotek i źródło wielu inspiracji. Sztokholmskie Centre Pompidou.

Ktoś powie: to wyjątkowo dziwny początek książki. Dlaczego opowieść o wspaniałym, pulsującym życiu mieście rozpocząć od historii dzielnicy, której już nie ma? Dlaczego, aby napisać o stolicy kraju, który całym sobą zwrócił się ku przyszłości, zaczynam od grzebania w historii miejskich wyburzeń? To rzeczywiście dziwne. A jednak zarówno moja intuicja, której nauczyłam się w życiu słuchać, jak i wiedza o Sztokholmie podpowiadają mi, że aby zrozumieć to miasto, należy na początku przyjąć do wiadomości fakt, że jest ono na wiele sposobów nieprzewidywalne i radykalne. Historia Klary jest na to dowodem.

Tak, dobrze przeczytaliście: Sztokholm jest radykalny i trochę szalony. Mimo tego, że o Szwecji słyszymy często, że to kraj, w którym króluje niemożliwe do przetłumaczenia słowo *lagom*, oznaczające wyważenie i złoty środek (coś jak idealnie odmierzona porcja mleka do kawy – ani za mało, ani za dużo). Mimo że w Sztokholmie na ulicach jest ciszej niż w innych dużych miastach. Mimo że wszystko wydaje się tu tak pięknie uporządkowane i spokojne.

Pisząc te słowa, uśmiecham się pod nosem. Sztokholm to sprytny uwodziciel i choć warto pozwolić sobie na romans z nim, nawet tak długotrwały jak mój, to należy też mieć na uwadze, że będzie cię zwodził, mydlił ci oczy. W relacji ze Sztokholmem łatwo stać się naiwną panią de Tourvel w ramionach mistrza manipulacji wicehrabiego de Valmonta. Oczywiście związek z miastem raczej nie bywa tak niebezpieczny jak związki międzyludzkie, ale i tak lepiej mieć się na baczności.

Jakieś przykłady pięknych, sztokholmskich kłamstw? Ot, choćby to. Widzisz drewniane, pozbawione wysokich płotów wille w bogatych podmiejskich dzielnicach i myślisz sobie: „Ach, ci sztokholmczycy. Zero snobizmu i nadęcia, zero popisywania się kasą”. Brzmi pięknie, ale to nieprawda! Sztokholmski snobizm nie zna granic, tylko wyraża się inaczej niż w Warszawie. Albo inna powierzchowna obserwacja, która wprowadzi cię w błąd. Latem, kiedy Sztokholm jest miastem wręcz rozkosznym, jego mieszkańcy wylegują się gdzie popadnie na trawie, a wieczorami popijają przy tym wino, wcale się z tym nie kryjąc. I nigdzie nie widać nieznośnych tabliczek: „Nie deptać trawników”. Nie ma też niezadowolonych stróżów porządku publicznego. Myślisz sobie: „Ależ to jest pełen wolności świat”. Masz przecież w pamięci, że całkiem niedawno w Ogrodzie Saskim w Warszawie próbowaliście grać z przyjaciółmi w piłkę i zaraz pojawił się ponury strażnik, niczym z XIX-wiecznej powieści, który zwrócił wam uwagę, że nie wolno i nie należy. Szybki wniosek? Mieszkańcy Sztokholmu są wyluzowani i nie przywiązują wagi do konwenansów. Moja odpowiedź brzmi: nie ma nic bardziej mylnego. To prawda, że w Sztokholmie można w samym centrum miasta skoczyć do wody z pomostu, a do pracy chodzić w stroju do złudzenia przypominającym stylizację wyluzowanego informatyka z Doliny Krzemowej. Można też zostać zaproszonym przez kolegów z firmy na koedukacyjny pobyt w saunie i ze zdumieniem odkryć, że nikt się specjalnie nie zasłania ręcznikiem. Jednak ten sam Sztokholm jest stolicą licznych niepisanych kodów społecznych, które skutecznie regulują ludzkie życie i interakcje. Czasami są jak starannie dopasowany, może nawet nieco za ciasny kaftan.

Nie mów zbyt głośno w metrze. Nie przerywaj rozmów, nawet tych z najbliższymi przyjaciółmi (nie tylko się obrażą, ale jeszcze będziesz musiał się tego domyślić, bo nie powiedzą wprost, o co im chodzi). Zdejmuj buty na przyjęciach. Gawędź z sąsiadami, ale nie próbuj się z nimi za bardzo spoufalać. Nie rozmawiaj zbyt otwarcie o polityce. Zapraszaj do domu z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Nie podnoś głosu. Nie krzycz, zwłaszcza na dzieci. Do autobusu wsiadaj tylko

przednimi drzwiami. Na przystanku ustaw się grzecznie w kolejce... Nakazów i zakazów jest o wiele więcej i długo mogłabym je wymieniać. Nie są zapisane na wbitych w ziemię tabliczkach i rzadko mówi się o nich na głos, ale nieznanostwo tych reguł może sporo kosztować.

Ponieważ lubimy mieć w życiu coś do idealizowania, pomyślisz: „Dobrze, może Sztokholm nie jest ani tak egalitarny, ani tak wyluzowany, jak mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka, ale przynajmniej jest to miasto, w którym nie straszą na każdym kroku duchy tragicznej przeszłości”. I to jest rzeczywiście prawda. Tylko że jak to z prawdami bywa, ona także jest trochę skomplikowana i wielopoziomowa. Szwecja od prawie trzystu lat nie zaznała wojny. W czasie drugiej wojny światowej pozostała neutralna. Dokładniej: prawie neutralna, bo rząd szwedzki długo szedł na różne ustępstwa względem III Rzeszy, utrzymując z nią kontakty handlowe i pozwalając na przejście uzbrojonych wojsk niemieckich przez swoje terytorium. Poza tym wielu Szwedów, także tych znanych i do dziś podziwianych, było zafascynowanych Hitlerem i Mussolinim. Społeczna wiedza na ten temat nadal nie jest dostatecznie głęboka, a to, co ukryte, potrafi przyprawić o gęsią skórę. Oglądasz prace ukochanego rzeźbiarza, którego duchowość i zamiłowanie do harmonii od lat podziwiasz, i nagle dowiadujesz się, że podpisywał listy do żony krótkim i treściwym *Heil Hilter...*



Mozaika czarno-białych trójkątów na Sergels torg (zwanym też Plattan) od lat inspiruje designerów. Na przykład Barbro Tryberg, która zaprojektowała tacę w identyczny wzór.

Pozostając w kręgu historii – mam wrażenie, że zachwycając się pięknymi sztokholmskimi kamienicami, łatwo ulec wrażeniu, że jest się w mieście od wieków zamożnym. Tymczasem Sztokholm dobrze pamięta okropną biedę i głód. I to wcale nie są bardzo odległe czasy.

Tyle na początek o sztokholmskich kłamstwach. Czas opowiedzieć o Klarze.

Klara była jedną z najstarszych dzielnic Sztokholmu, położoną w samym centrum miasta, tu, gdzie dziś znajduje się Norrmalm. Sąsiadowała z Gamla Stan (czyli ze starówką), a jej granicę wyznaczały ulice Vasagatan, Kungsgatan, Malmskillnadsgatan, Malmtorgsgatan, Strömgatan i Tegelbacken. Budowana od XVI wieku, szczyt świetności przeżywała w wieku XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy mieszkali tu zamożni mieszkańcy. W drugiej połowie XIX wieku Klara zaczęła zmieniać charakter – pojawiło się więcej czynszowych mieszkań, a wraz z nimi więcej ludzi niezamożnych, a potem wręcz biednych. W XX wiek Klara weszła jako gęsto zaludniona, stara dzielnica. Wprawdzie w wielu mieszkaniach brakowało łazienek, ale wciąż panowała niepowtarzalna atmosfera. Fredric Bedoire, autor książki o Klarze, napisał: „Możliwe, że dawna Klara była na wiele sposobów dokładnie takim miejscem, jakie dziś najwyżej cenimy i staramy się odtwarzać w miejskim krajobrazie”^[2].

To tu swoje pracownie mieli liczni artyści, na przykład rzeźbiarka Olga Lanner i dworski fotograf Julius Grape. W Klarze mieszkali prekursorzy szwedzkiej szkoły kryminału Maj Sjöwall i Per Wahlöö. Urodzona w 1935 roku Sjöwall wręcz się tu wychowała. Jej ojciec był dyrektorem hotelu Gillet. W jednym z wywiadów dla gazety „Aftonbladet” opowiadała: „W Klarze mieszkali wszelkiego rodzaju ludzie. Na ulicy Regeringsgatan żyli bogacze oraz ich służący. W oficynach mieściły się małe warsztaty rzemieślnicze, na przykład blacharskie i stolarskie. W ruderach przy Hötorget spali chłopcy, którzy przywozili do miasta swoje produkty na sprzedaż. Ich obecność wpływała na charakter całej dzielnicy. Poza tym żyło w niej wielu artystów, to tu znajdowały się pracownie fotograficzne z naturalnym, północnym światłem. Było mnóstwo kawiarni, barów i małych hotelików. Wszystko to zostało wyburzone”.

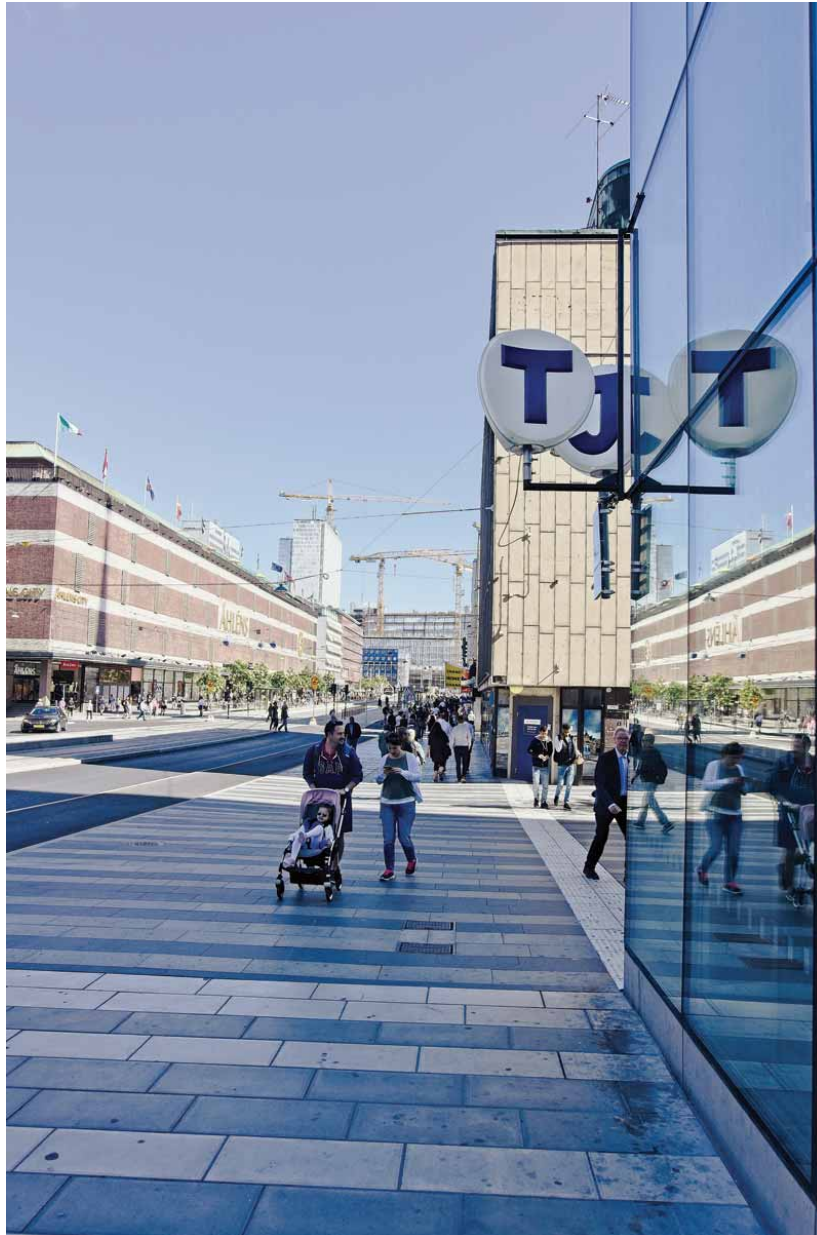


Swoje siedziby miały tu najważniejsze redakcje szwedzkich gazet, tu znajdowały się też nieduże wydawnictwa. W dzielnicy spotykał się cały świat kultury szwedzkiej, a jednocześnie pełno było podejrzanych osobników, pijaczków i prostytutek.

„W Klarze zawsze dużo się działo. W latach 40. dziecięca armia dzielnicy składała się z chłopaków dozorców, dzieci artystów, synów roznosicieli gazet i paru potomków dziennikarzy, którzy mieli tylko odwiedzić tatę w pracy, ale zostali się pobawić. Na świecie toczyła się wojna; a my bawiliśmy się na cmentarzu pod kościołem i krzyczeliśmy radośnie, kiedy jakiś obdartus nasikał na nagrobek Bellmana (...). Chude dzieciaki dozorców załatwiały dla nas klucze na strychy i do piwnic. Mogły się tam bez przeszkód odbywać wielkie imprezy, ponieważ w mieszkaniach wokół znajdowały się puste wieczorami biura i warsztaty” – pisał członek Akademii Szwedzkiej Per Wästberg^[3].

Na ulicy Klarabergsgatan ciągnęły się rzędy przyklejonych do siebie jak plastry miodu sklepików. Czarno-białe zdjęcia Lennarta af Petersensa, fotografa, który najlepiej uwiecznił tę dzielnicę, przypominają

klimatem przedwojenną Warszawę, której także nie było mi dane zobaczyć. Moje pierwsze miasto zburzyli naziści, dużą część drugiego – piewcy nowoczesności i modernizmu. Zaczęli zmieniać rzeczywistość zaraz potem, jak swoją działalność w innych europejskich krajach skończyli ci pierwsi, i łączył ich z nimi radykalizm oraz wiara w stworzenie lepszego świata.



Funkcjonalistyczny chód zamiast starych kamienic i wąskich uliczek Klary.

Przeglądam kolejne zdjęcia af Petersensa. Hotel Continental, trochę wiedeński w stylu, zbudowany w 1878 roku, znany najpierw jako Kristeinska huset (Dom Kristeinów). Kiedyś działał w nim teatr, odbywały się koncerty i przyjęcia. Hotelem stał się w 1899 roku. W 1958 został zrównany z ziemią, podobnie jak 350 innych budynków, w tym wiele zabytkowych. Już w 1953 roku zburzono przepiękną Telefontornet z 1887 roku (wieżę telefoniczną) – strzelisty budynek niczym ze stalowej koronki. Przez długi czas wieża była symbolem miasta.

Burzenie Klary zaczęło się w 1951 roku i trwało trzydzieści lat. Był czas, kiedy centrum miasta przypominało krajobraz po apokalipsie. Zewsząd straszyły szkielety wysadzonych kamienic (dynamit Nobla bardzo się przydawał) i gigantyczne dziury w ziemi. W latach 70. modny stał się wierszyk autorstwa niejakiego „Jolo”.

To Ruscy czy Niemcy

Tak wam zniszczyli Sztokholm

Spytał ponoć tego lata

Nieuczony turysta z Ameryki

Trzeba było mu z dumą odpowiedzieć

Że wszystko to zrobiliśmy sobie sami

Decyzję o burzeniu Klary miejscy politycy podjęli w 1945 roku. Uznano, że stare domy są zbyt... stare. Zbyt brudne, zbyt niewygodne, pełne pluskiew, w dzielnicy jest za dużo wychodków w podwórzach, za dużo mieszkań bez dostępu do bieżącej wody, do tego ulice za wąskie, a mieszkańcy dzielnicy zbyt nieprzewidywalni. W centrum nowoczesnego miasta powinny być sklepy, banki i wieżowce. Powinna panować czystość. Powinien być też nieograniczony dostęp do światła, duże okna i szerokie chodniki. Tego pragnął naczelny architekt miasta Sven Markelius (nie wszystkie jego pomysły były tak okropne, jak ten dotyczący wyburzenia Klary). Markelius działał w specyficznym czasie zbiorowego zachłyśnięcia się możliwościami, a że Szwecja to kraj,

którego mieszkańcy nie lubią się ze sobą kłócić, to tak zwany owczy pęd potrafi ich zaprowadzić dość daleko.

W 1945 roku okazało się, że Szwecja nie tylko przetrwała wojnę bez uszczerbku, ale jeszcze się na niej wzbogaciła, a wiara w przyszłość, socjaldemokrację i nowy, lepszy świat była tak ogromna, że nawet instytucje odpowiedzialne za ochronę zabytków zbyt głośno nie protestowały przeciw planowi zrównania z ziemią i zbudowania od nowa dużej części miasta. Nie poczyniono też specjalnych przygotowań, nie zatrudniono do prac archeologów. Cenne skarby same wyłaziły z szarpanej przez koparki ziemi, jak w 1955 roku, kiedy dwóch uczniów z Solberga, wałęsając się po ruinach domów na Mäster Samuelsgatan, znalazło srebra z końca XVI wieku, czyli czasów króla Johana III.

„Czy nie było nikogo, kto chciałby zachować dawny plan miasta oraz starą zabudowę? Odpowiedź brzmi nie” – napisał po latach Göran Sidenbladh^[4], jeden z głównych zaangażowanych w projekt architektów (był tak radykalny, że podobno marzyło mu się wyburzenie części Östermalm).

W sens zburzenia Klary wierzyli nawet członkowie elit kulturalnych. Rzecz to dziwna, bo ludzie kultury najczęściej protestują w takich sytuacjach. Cytowany wcześniej pisarz Per Wästberg, wspaniały portrecista Sztokholmu i Archipelagu Sztokholmskiego, twierdził na przykład, że domy mieszkalne powinny stać w mieście najwyżej 75 lat, bo potem łatwo zamieniają się w slumsy. Burzenie zabytków nie wydawało mu się wielką „stratą estetyczną”. Dostrzegał też w Klarze zbyt wiele niejednoznaczności: „Kontrasty Klary w harmonijny sposób wzajemnie się uzupełniają. Na tej samej klatce schodowej sąsiadują ze sobą chrześcijański tygodnik i magazyn pornograficzny. W sąsiedztwie takich piewców oświecenia jak kościoły misyjne Valhalla i Betlejem kilku szczególnie nachalnych handlarzy tytoniu rozprowadza pomiędzy mieszkańcami zgubny snus^[5]. Otwierane są jakieś tajemnicze antykwariaty i biblioteki piwniczne, powstają i upadają wydawnictwa”^[6].



Po starej dzielnicy został ślad w postaci kościoła Świętej Klary, który dziś jest zasłonięty przez budynek zupełnie nowego hotelu.

Wästberg przyznawał, że zburzenie dzielnicy rodzi i w nim pewną melancholię. Wierzył jednak, że przyszły, NOWY Sztokholm wszystkich zachwyci i że akceptacja zmian jest ważnym składnikiem ludzkiej dojrzałości. „To, że dzielnica została wysadzona w powietrze, nie dotyczy tych, którzy po niej płaczą równie mocno, jak sam fakt, że w wydarzeniu

tym dostrzegają nadejście nowych czasów, z którymi nie czują żadnego związku” – napisał.

Musiało minąć sporo lat, by Wästberg zrozumiał, że nie miał racji. „Nie pojmowałem, że zniszczenie Klary uczyniło nas bezdomnymi, pozbawionymi ważnej części naszej przeszłości” – skostatował w posłowie do nowego wydania książki *Klara. En stadsdel i förvandling* (Klara. Dzielnica, która się zmienia).

Burząc Klarę, z wielkim rozmachem zniszczono świat budowany przez setki lat. Być może była to nie do końca uświadomiona próba wymazania przeszłości, tej mniej egalitarnej i doskonałej, tej, w której Szwecja nie była jeszcze samozwańczym wzorem dla świata. Burząc Klarę, przy okazji zniszczono tak potrzebną dla rozumienia każdego społeczeństwa świadomość istnienia nierówności i hierarchii. Tego, że są zawsze i wszędzie, nawet w społeczeństwach wierzących w wartość egalitaryzmu. Nierówności odrodziły się więc same i narosły wraz z przybyciem do Szwecji imigrantów. Dziś nie widać ich w centrum miasta, zostały wyprowadzone na przedmieścia. Nie ma już Klary, w której sąsiedowali wszyscy ze wszystkimi. niesprawiedliwość została sprytnie usunięta z widoku.

Możliwe, że zburzenie Klary było też pierwszą (ale nie ostatnią) manifestacją nie do końca uchwytnych, lecz silnie obecnych wyrzutów sumienia dręczących po wojnie pozornie neutralną Szwecję. Próbą usunięcia fantomowego bólu, cierpienia spowodowanego przez moralne niesprostanie historii. Pragnieniem zapomnienia o plamie wstydu, o której nie chce się mówić. Wstydu, który wyparto, budując nowe, „lepsze” miasto i stając się „humanitarnym mocarstwem” przyjmującym uchodźców z całego świata.

Ale jest też prostsze wytłumaczenie, mniej freudowskie, łatwiejsze do ogarnięcia umysłem. Sztokholm jest po prostu miastem radykalnym, w którym co jakiś czas realizuje się wielkie projekty wielkich zmian. Nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi. Dzisiaj także dochodzi do burzenia zabytków. Całkiem niedawno zrównano z ziemią piękny

budynek dawnego kina Astoria przy Nybrogatan (na nic zdały się protesty), trwa też wojna podjazdowa o zabytkową galerię Sturegallerian przy Stureplan, jedno z najpiękniejszych miejsc w Sztokholmie, które chce częściowo zburzyć oraz przebudować nowy właściciel budynku – ADIA, bajecznie bogata firma z Abu Zabi... Poza tym w najbliższych latach odwiedzający Sztokholm będą mogli oglądać w samym sercu miasta nową apokalipsę – zaplanowaną na minimum dziesięć lat przebudowę głównego węzła komunikacyjnego Slussen^[7]. Mimo tych zmian należy pamiętać, że szwedzki radykalizm zaowocował też wspaniałymi i inspirującymi projektami. Wystarczy powiedzieć, że na miejscu dawnej Klary, poza paskudnymi modernistycznymi blokami, zbudowano też jeden z ciekawszych domów kultury w Europie projektu Petera Celsinga, a niszczyciel Klary architekt Sven Markelius jest także autorem niezwykłego projektu modelowego przedmieścia, którym stało się podsztokholmskie Vällingby. Dlatego potraktujcie ten rozdział nie jako przejaw typowo polskiego malkontenctwa oraz postawy z serii „dawniej było lepiej”, ale jako zapowiedź z mojej strony: Sztokholm jest dużo bardziej zaskakujący, dramatyczny i ciekawy, niż mogłoby się zdawać czytelnikom tradycyjnych przewodników po tym mieście.

II.

Södermalm.

Elitarny adres

z robotniczą przeszłością



Södermalm jest najbardziej hipsterską dzielnicą miasta.

Nie ma w Sztokholmie dzielnicy tak kochanej i tak zmitologizowanej jak Södermalm. Jest to część miasta najbardziej artystyczna, miejscami najpiękniejsza, najbardziej hipsterska i najbardziej cool. Najmodniej jest mieszkać właśnie tutaj, zwłaszcza jeśli jest się człowiekiem kultury lub mediów. To tu na bajkowej uliczce Bellmansgatan – z mostkiem zawieszonym pomiędzy kamienicami a dachami – mieszkał Mikael Blomkvist z *Millennium* Stiega Larssona. To tutaj kupiła sobie ogromne mieszkanie z widokiem na wyspę Djurgården jego współpracowniczka Lisbeth Salander. Jej liczący dwadzieścia jeden pokoi apartament znajdował się na tyłach Mosebacke torg, na ostatnim piętrze kamienicy przy Fiskargatan 9, i kosztował bająną sumę – 25 milionów koron. Warto tam zajrzeć także dlatego, że naprzeciwko „kamienicy Lisbeth” znajduje się najpiękniejszy mural w Sztokholmie.

Dla mnie Mosebacke torg, czyli „rynek na wzgórzu Mojżesza”, jest miejscem wyjątkowym z wielu powodów. Uwielbiam jego atmosferę, strome zbocza, widoki, staromodną budkę telefoniczną pośrodku, fontannę z rzeźbą Nilsa Sjögrena *Siostry*, most prowadzący z rynku do windy Katarinahissen, który trzeba było zabezpieczyć siatką, bo upodobali go sobie... samobójcy.

O widokach z Mosebacke torg na całe miasto, na Slussen, na port, kiedyś przeładunkowy, dziś tylko dla promów płynących do Helsinek i Rygi, napisano sporo. Piękny obraz miasta widzianego stąd jak z lotu ptaka można znaleźć już u Augusta Strindberga w powieści *Czerwony pokój*: „U stóp mężczyzny daleko w dole huczało świeżo zbudzone miasto; parowe dźwigi obracały się w porcie, skrzypiały żelazne ramiona wag, świstały gwizdki strażników śluzy, wypuszczały parę łodzie przy nabrzeżu Skeppsbron, klekocząc, podskakiwały omnibusy na wyboistym bruku. Gwar i wrzaski na rynku rybnym, żagle i flagi łopoczące przy wodzie, krzyk mew, sygnały trąbki na Skeppsholmen, nawoływania strażników na rynku Södermalm, robotnicy człapiący

w drewniakach po Glasbruksgatan – wszystko to pełne życia i ruchu, zdawało się budzić energię w młodym człowieku, na jego twarzy bowiem pojawił się wyraz przekory, radości oraz zdecydowania. Gdy przechylił się przez barierkę i ogarnął wzrokiem miasto u swych stóp, to wydawać by się mogło, że patrzy na własnego wroga; jego nozdrza rozszerzyły się, jego oczy rozplómiły, a zaciśnięta w pięść ręka wzniosła się do góry, jakby tym gestem pragnął wyzwąć na pojedynek to biedne miasto lub mu zagrozić”^[8].

Wspaniały widok na miasto jest także z Södra Teatern, a jego zawieszoną na zboczu stylową fasadę widać z wielu punktów w Sztokholmie. W budynku o wyłożonych czerwonym aksamitem, nieco paryskich wnętrzach odbywają się koncerty i wykłady. Tuż obok znajduje się dziś biuro Instytutu Polskiego, któremu szefowałam przez sześć lat (jeszcze zanim polska dyplomacja kulturalna zaczęła być na potęgę niszczone). Swego czasu organizowałam więc w Södra Teatern spotkania polskich i szwedzkich pisarzy. Nigdy nie zapomnę świetnych rozmów Agaty Tuszyńskiej i Arisa Fioretosa albo Wojciecha Jagielskiego i Wojciecha Tochmana z nieżyjącą już, uwielbianą przeze mnie Bodil Malmsten. Na te spotkania przychodziły tłumy, bo Södra Teatern to miejsce, do którego lgnie wspaniała publiczność. Nie wspominając o tym, że gdy na największej scenie wykład miał Zygmunt Bauman, to zabrakło biletów dla chcących go posłuchać.

W Södra Teatern jest też dobra wegetariańska restauracja Mosebacke Etablissement oraz słynny Mosebacke terrass – taras z widokiem, gdzie latem można posłuchać muzyki i napić się piwa. 29 maja 1890 roku z Mosebacke terrass na oczach tłumu gapiów wzbił się w niebo i zniknął pośród chmur niezwykle popularny lotnik balonowy i artysta variétés występujący pod pseudonimem Kapitan Victor Rolla. Niestety, zapomniał włożyć do kosza spadochron, który umożliwiłby mu lądowanie, balon pofrunął więc w stronę Archipelagu Sztokholmskiego, unosząc się coraz wyżej i wyżej, aż Kapitan Rolla po prostu zamarł. Jego ciało znaleziono niedaleko wyspy Ljusterö, a śmierć artysty

wywołała wielkie poruszenie i prawdziwą rozpacz fanów, którzy wcześniej niejednemu raz oglądali, jak Kapitan Rolla wznosił się w powietrze z Mosebacke torg. W pogrzebie Rolli wzięło udział 50 tysięcy osób.

Z Söder pochodzi niejednemu znany Szwed. Na Blekingegatan urodziła się Greta Garbo, której prawdziwe nazwisko brzmiało Gustafsson. Mając piętnaście lat, pracowała jako fryzjerka w salonie na Götgatan, dziś głównym deptaku Södermalm, skąd rozciąga się widok na białą kulę Globen (to największy na świecie budynek sferyczny, znajdują się w nim hale sportowe, a także sale koncertowe).



Ten mural na tyłach Mosebacke torg mogła widzieć ze swojego okna Lisbeth Salander, bo znajduje się on dokładnie naprzeciw jej domu przy Fiskargatan 9.

Na Söder wychował się też najslynniejszy szwedzki poeta i noblista Tomas Tranströmer^[9]. Mieszkał z matką najpierw na Grindsgatan, potem na Folkungagatan. Mój syn chodził do tego samego liceum co on, czyli do Södra Latin. Zbudowany z czerwonej cegły potężny gmach tej

szkoły – jednej z najlepszych w mieście, bardzo lewicowej i genderowo świadomej – do złudzenia przypomina Hogwart. Budynek znajduje się na wysokim wzgórzu i góruje nad dzielnicą. Za czasów Tranströmera była to szkoła męska, w dodatku konserwatywna do bólu, nazywał ją „warownią westchnień”. Warto przeczytać parę zdań poety na temat stylu nauczania lat 40. zeszłego wieku, aby uświadomić sobie, jak szybko zmieniła się Szwecja i szwedzkie podejście do młodzieży:

„Södra Latin była na wskroś męska; była to szkoła równie jednopłciowa jak klasztor mnichów czy koszary. Dopiero parę lat później do ciała pedagogicznego wkradło się parę kobiet. Każdego ranka wszyscy uczniowie zbierali się w auli, śpiewali psalmy i wysłuchiwali kazania któregoś z nauczycieli religii chrześcijańskiej. Następnie powrót do odpowiednich klas”^[10].

Pod koniec życia Tomas Tranströmer wraz z żoną Moniką mieszkał na ulicy Stigbergsgatan w pełnym światła mieszkaniu ze wspaniałym widokiem na miasto i wodę. Miałam przyjemność ich tam kiedyś odwiedzić, żeby przeprowadzić z poetą wywiad.

Jak wszystko co ładne, godne pożądanía, elitarne oraz drogie (mieszkania na Söder należą do najdroższych w mieście), Södermalm nie budzi wyłącznie pozytywnych uczuć. W Szwecji B, bo taka Szwecja też istnieje, Södermalm często jawi się jako symbol zapatrzonej w siebie elity sztokholmskiej. Mieszkańcom dzielnicy zarzuca się obsesyjną polityczną poprawność, hipokryzję i ideową płytkość. I rzeczywiście coś w tym jest. Wielu mieszkańców SoFo, czyli uważanej za najbardziej hipsterską części Söder, ubiera się w second-handach, w których najtańszy ciuch kosztuje 1000 koron, czyli jakieś 500 złotych. Są niezmiernie świadomi ekologicznie, do pracy jeżdżą rowerem, ale na zimowe wakacje lecą do Tajlandii, choć jak wiadomo loty samolotem nie wpływają korzystnie na atmosferę. W sondażach opinii społecznej jawią się zawsze jako najwięksi zwolennicy otwartości głosujący na

najbardziej lewicowe partie, ale jednocześnie mieszkają w jednej z najbardziej homogenicznych i najmniej wielokulturowych dzielnic w mieście! Na przedmieściach raczej nie bywają. A jeśli pracują w jakiejś instytucji kultury, to ich koledzy są Szwedami od pokoleń. Bo tak się dziwnie składa, że w deklaracjach świat kultury szwedzkiej jest ideowo otwarty, ale rzeczywistość tego nie potwierdza. Nie wdając się w oceny moralne, bo na ogół są one uproszczone, można stwierdzić jedno: Södermalm to ta część Sztokholmu, która najszybciej, w zawrotnym tempie, przeszła proces gentryfikacji, czyli zmiany charakteru dzielnicy pierwotnie zamieszkaanej przez ludzi niezamożnych w strefę zdominowaną przez mieszkańców o wysokim statusie materialnym.

Na początku XX wieku w ogłoszeniach o chęci zamiany mieszkania pojawiała się często zdanie: „Nie na Söder”. Söder oznaczało biedę, ciasnotę, brak nadziei i łazienek. Kultowe dziś SoFo znajdowało się w tak strasznym stanie, że traktowano je jako rejon do wyburzenia. Söder było dzielnicą robotniczą, najbardziej zaludnioną w mieście, z własnym dialektem w stylu londyńskiego cockneya, tak innym od szkolnego szwedzkiego, że zupełnie dziś niezrozumiałym. Własny język mieli nawet mieszkający głównie na Söder... kominiarze. Nazywał się on knoparmoj i powstał po to, by kominiarze mogli rozmawiać ze sobą podczas pracy, nie ryzykując, że zostaną podsłuchani przez właścicieli domów.

Söder było ciemnym i brudnym centrum uprzemysłowienia, pełnym zanieczyszczających powietrze fabryk ośrodkiem włókiennictwa i przemysłu chemicznego. Pracujące w tutejszych zakładach kobiety miały najczęściej dużo dzieci i mężów pijaków. To tu w 1917 roku zaczęła się „ziemniaczana rewolucja”. Był to fatalny rok z zimnym latem, które spowodowało dramatyczny wzrost cen żywności. W dodatku nieuczciwi przedsiębiorcy, tak zwani baronowie gulaszowi, dorabiali się fortun na eksporcie szwedzkiej mąki i ryb do Niemiec. W tym samym czasie import produktów żywnościowych do Szwecji zmalał. W sklepach brakowało wszystkiego. Kobiety z Södermalm jako

pierwsze zaczęły stawiać opór. Plądrowały sklepy w poszukiwaniu ziemniaków, biły się ze strażą miejską i policją, a później demonstrowały przeciw racjonowaniu żywności i głodowi, który zabijał ich dzieci. Wspierała je nowo powstała partia socjaldemokratyczna.



Widok na Sztokholm i wielkie jezioro Mälaren z Monteliusvägen.



Na Bellmansgatan.

Po tej przeszłości nie ma już właściwie śladu. Jeszcze w latach 60. zeszłego wieku umęczeni złymi warunkami życia mieszkańcy Södermalm wyprowadzali się na uważane dziś za kiepskie adresy przedmieścia. Nowoczesne mieszkanie w Vällingby lub Farsta stanowiło spełnienie marzeń. Później wszystko zaczęło się zmieniać. Södermalm najpierw powoli, a potem w szalonym tempie zamieniało się w dzielnicę modną. Zniknęli robotnicy i pijacy, a wprowadzili się pracownicy telewizji i reklamy.

Socjolodzy twierdzą, że proces gentryfikacji zachodzi najszybciej w dzielnicach o wyraźnym charakterze. Przyciągają one swoją oryginalnością. Södermalm, ze swoim odrębnym językiem, robotniczą tożsamością i dumą, a nawet jedynym w Sztokholmie prawdziwym żydowskim sztetlem, było niezwykle oryginalne. Dziś jest bardzo przyjemną dzielnicą z dużą liczbą dobrych restauracji, sklepami z najzdrowszą żywnością i najbardziej ekologiczną odzieżą. Jednocześnie zatraciło łączność ze swoją historią, choć można tu oczywiście podziwiać drewniane XIX-wieczne domki, a nawet XVIII-wieczną zabudowę.



Swedenborgsgatan w pobliżu Mariatorget. Latem zamykany jest tu ruch uliczny.

Na początku XXI wieku liczba mieszkańców Södermalm o bardzo wysokich zarobkach wzrosła w ciągu piętnastu lat o 570 procent. Podwoiła się liczba mieszkańców z wyższym wykształceniem. Kawalerki połączone w duże apartamenty, strychy przerobiono na penthouse'y. Jest pięknie, ale nie ma już tych, którzy to miejsce stworzyli. Oryginalność ma wymiar czysto hipsterski.

Nie do przegapienia na Södermalm

- 1 Nytorget** – rynek na SoFo o nieco krakowskiej atmosferze. Są tu świetne restauracje i cudowna atmosfera. Latem na trawnikach i placach zabaw zdają się przesiadywać wszyscy okoliczni mieszkańcy.
- 2 Fjällgatan** – ulica, która rok po roku jest uznawana za miejsce z najlepszym widokiem na Sztokholm.
- 3 Götgatan** – główny deptak Södermalm.
- 4 Mosebacke torg** – rynek na wzgórzu Mojżesza z pięknym widokiem na Sztokholm.
- 5 Monteliusvägen** – kolejne miejsce ze wspaniałymi widokami na miasto. Znajduje się w pobliżu Bellmansgatan (tę ulicę też warto zobaczyć).
- 6 Katarina kyrka i Allhelgonakyrkan** – dwa zupełnie różne i bardzo ciekawe kościoły. Ten drugi słynie z tego, że odbywają się w nim msze dla niewierzących.
- 7 Mariatorget** – nieduży park czy raczej pełen zieleni rynek w sercu Södermalm. Są tu piękne rzeźby (wśród nich popiersie Emanuela Swedenborga), wielka fontanna, plac zabaw dla dzieci, sporo miejsca na ławkach i trawnikach. Wokół kilka dobrych restauracji, jedna z najlepszych kawiarni w mieście (Johan & Nyström na Swedenborgsgatan), stylowa kawiarnia, moja ulubiona do przeprowadzania wywiadów (Café Rival tuż przy rynku), i wegańska lodziarnia (Stikki Nikki).

III.

Poza centrum. Duży Sztokholm.



Na Djurgården zachwycają „zwykłe” domy mieszkalne.

Sztokholmskie przedmieścia budowano na różnych etapach historii Szwecji. Są wśród nich najbardziej luksusowe willowe dzielnice z domami projektowanymi przez najzdolniejszych architektów swoich czasów. Są zaplanowane w latach 50. zeszłego wieku wzorcowe osiedla dla „zwykłych ludzi”, które przyjeżdżali podziwiać urbaniści i politycy z całego świata. Są też dzielnice cieszące się złą sławą, które w rzeczywistości są dużo ciekawsze i bardziej przyjazne, niż mogłoby się здаwać. Jeśli naprawdę chce się zrozumieć, jakim miastem jest Sztokholm, należy odwiedzić jego przedmieścia.

Podaj mi swój adres, a powiem ci, kim jesteś

Kiedy zaczęłam czytać szwedzką prasę, szybko zauważyłam, że w wywiadach ze znanymi ludźmi pojawiają się informacje o ich miejscu zamieszkania. Czasem także o tym, gdzie się wychowali. To nie są zwykłe wzmianki mówiące, że ktoś mieszka w Sztokholmie. Informacja jest dokładniejsza i kryje się za nią dużo dodatkowych treści. Na przykład możemy przypuszczać, że mieszkaniec dzielnicy Södermalm, zwłaszcza jej najmodniejszej części SoFo (na południe od ulicy Folkungagatan), to człowiek czuły na trendy, prawdopodobnie artysta lub dziennikarz (ale taki o zasobnym portfelu), przywiązujący wagę do zdrowego odżywiania (pewnie wegetarianin, a może i weganin), dojeżdżający do pracy na rowerze (ze względów ideologicznych), głoszący na jakąś lewicową partię (wysoce prawdopodobne, że na Zielonych). Jeśli ma ponad sześćdziesiąt lat, a wychował się na przykład w Midsommarkransen, to znający Sztokholm człowiek zrozumie, że bohater dokonał w swoim życiu tak zwanej *klassresa*, czyli wspiął się po

drabinie społecznej. Przy czym wiek bohatera jest tu istotny, bo Midsommarkransen było ubogą dzielnicą robotniczą pełną alkoholików i innego „elementu”, ale w latach 50. i 60. Później przeszło proces gentryfikacji i dziś jest już modną dzielnicą klasy średniej. A to, że znajduje się blisko Södermalm, dodatkowo winduje ceny mieszkań.

O mieszkańcu eleganckiego Östermalm możemy domniemywać, że i on ma zasobny portfel, a do tego szlachetne pochodzenie lub ambicję, by przejść do wyższej klasy. Cechują go dość tradycyjne upodobania i najpewniej głosuje na centroprawicę. Choć bywają wyjątki: na Östermalm w luksusowych apartamentach (obfotografowanych przez celebryckie gazetki) mieszkają skrajnie lewicowy publicysta socjaldemokratycznego „Aftonbladet” Alex Schulman i równie lewicowy bestsellerowy pisarz Jan Guillou. Obaj przesiadują w przytulnych kawiarenkach z oknami wychodzącymi na ulice, na których nie zobaczysz uchodźcy, i piszą teksty o otwartości i solidarności. Östermalm jest miejscem, w którym uwidacznia się sporo hipokryzji. Jednocześnie są tu najlepsze w mieście studia jogi, wspaniała Biblioteka Królewska i znakomite second-handy. Mieszkaniec tej dzielnicy może być autentycznym snobem, może być także gadzeciarem i dorobkiewiczem, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest po prostu miłośnikiem spokoju i elegancji w samym centrum miasta. A może odziedziczył mieszkanie po zamożnej babci i pracuje nad obiecującym start-upem?



Elegantki z Östermalm.



Młodzież z Östermalm.



Centrum miasta – centrum władzy. Okrągły budynek szwedzkiego Riksdagu, czyli parlamentu.

Jest natomiast pewne, że jeśli znana ze świata kultury postać, na przykład pisarka i felietonistka Lena Andersson, mieszka w Tensta, czyli w dzielnicy imigranckiej wymienianej na liście tak zwanych trudnych przedmieść, oznacza to, że mamy do czynienia z osobą wyjątkową, łamiącą wszelkie konwenanse i nieulegającą społecznej presji, co jest w Szwecji rzadką cechą.

No cóż, właściwie nie trzeba czytać wywiadu w porannej gazecie – adres jego bohatera zamieszczony w ramce obok mówi o nim niemal wszystko!

Sztokholmczycy nie tylko przywiązują wagę do adresów, ale też często się przeprowadzają. Właściwe miejsce zamieszkania jest częścią kariery, zawiera w sobie gotowy pakiet stylu życia. Czego innego

potrzeba singlom, których jest w mieście sporo – ponad 40 procent mieszkań to pojedyncze gospodarstwa – a czego innego rodzinie wielodzietnej. Gdzie indziej będzie czuć się dobrze młody hipster, a gdzie indziej elegancka starsza pani.

Rynek nieruchomości jest niesłychanie dynamiczny. Wiele osób mieszka w czynszowych mieszkaniach, których nie można sprzedawać, ale da się je między sobą zamienić. Mieszkania i domy szybko przechodzą z rąk do rąk. Wystarczą dwa pokazy domu, aukcja dla zainteresowanych i można podpisywać dokumenty. Dobrze mają się firmy zmieniające wystrój wnętrz przed sprzedażą, tak by mieszkanie lub dom świetnie wyglądały na zdjęciach zamieszczanych na stronach internetowych agencji nieruchomości i jeszcze lepiej prezentowały się podczas pokazu dla osób zainteresowanych ich kupnem.

Istnieje też opisywana w szwedzkich mediach forma uzależnienia od marzenia o przeprowadzce do idealnego lokum. Osoba uzależniona nie planuje przeprowadzki, ale i tak codziennie ogląda strony agencji nieruchomości. Uzależnienie od myśli o przeprowadzce powoduje problemy z koncentracją i ze snem oraz źle wpływa na relacje partnerskie, a nałogowiec niczym alkoholik wyszukuje usprawiedliwienia dla swego uzależnienia. Na przykład: „Oglądam te mieszkania tylko po to, by zaczerpnąć inspiracji, jak urządzić salon”. Wchodzenie na stronę www.hemnet.se wywołuje stan podniecenia, a czasem działa uspokajająco. Z kolei rezygnacja z przeglądania zdjęć wystawionych na sprzedaż mieszkań powoduje stres i niepokój.

Żeby w pełni zrozumieć, jak bardzo „posegregowanym” miastem jest Sztokholm, warto zerknąć na strony internetowe, na których da się prześledzić styl życia mieszkańców poszczególnych dzielnic, osiedli i podwórek. Prawdopodobnie takie strony mogą stanowić pomoc dla osób poszukujących idealnego lokum. Myślę jednak, że uniformizacja stylu życia i poglądów pod różnymi adresami dokonuje się nie do końca

świadomie, że jest w tym wszystkim element intuicji oraz instynktownego poszukiwania „swoich” i podobnych sobie.

Na stronie www.hitta.se można na przykład zyskać wiedzę o przeciętnych zarobkach mieszkańców wybranej okolicy, sprawdzić, na jaką partię głosują, jak duży jest wśród nich procent singli, w jakim są przeciętnie wieku i co robią w wolnym czasie.

Sprawdzam adres Katarina Bangata 57 na Södermalm i dowiaduję się, że przeciętny wiek mieszkańców znajdującej się pod tym numerem kamienicy to 41 lat. Interesują się modą, kulturami innych krajów oraz żeglarstwem. Przeciętnie zarabiają 26 133 korony miesięcznie. Chętnie jeżdżą volvem albo volkswagenem. Głosują na Partię Lewicy.



Popularny trawnik przy Nytorget. Sztokholmcy uwielbiają przesiadywać na trawie i robią to, gdzie tylko się da.

Przesuwam kursor w stronę niedalekiego rynku Nytorget. To jedno z moich ulubionych miejsc. Obok murowanych kamienic stoi długi rząd XVIII-wiecznych drewnianych domków. Trawniki należą do

najpopularniejszych w Sztokholmie, sądząc po liczbie wylegujących się na nich wiosną ludzi, są tu świetne restauracyjki z tapas i najlepsze lody w mieście sprzedawane przez węgiersko-szwedzką rodzinę. A mieszkańcy? Średnia wieku wynosi 44 lata. Najczęstsze zainteresowania to sztuka, kultury innych krajów i polityka zagraniczna. Przeciętne zarobki: 29 671 koron miesięcznie. Jeżdżą chętnie volvem, volkwagenem lub audi, jeśli w ogóle mają samochód. W tej okolicy ponad trzy razy częściej niż w reszcie kraju głosowano na partię Inicjatywa Feministyczna Fi (może głosowano na nią tylko tutaj, bo partia nie weszła do parlamentu).

W bloku z płyty przy ulicy Tenstagången w Tensta najchętniej głosuje się na socjaldemokratów, średni wiek mieszkańca to 42 lata, do typowych zainteresowań należy fryzjerstwo, medycyna alternatywna i astrologia. Przeciętne dochody wynoszą 18 tysięcy koron miesięcznie, ale tu także chętnie wsiada się do volva (strona nie podaje, o jakie roczniki chodzi), inne lubiane marki samochodów to Mitsubishi oraz Nissan.

Z kolei na Villagatan, ulicy w samym sercu Östermalm (tuż obok parku Humlegården), mieszkańcy najchętniej kupują audi lub bmw. Głosują na liberałów. Średnie zarobki to 42 528 koron miesięcznie, przeciętny wiek 52 lata, a wśród zainteresowań strona wylicza gospodarkę, ekonomię społeczną, golfa oraz politykę zagraniczną.

Na ulicy Strandvägen, nie tej najsłynniejszej, w centrum Sztokholmu, ale innej, położonej w najbardziej luksusowej dzielnicy podmiejskiej Djursholm, przeciętne zarobki roczne wynoszą prawie 4 miliony koron. Mieszkańcy najchętniej jeżdżą samochodami marek BMW i Mercedes. W tej okolicy głosuje się na chrześcijańskich demokratów – dwa razy częściej niż w reszcie kraju.

Pokochać Huddinge

Po drodze z Nacka, gdzie mieszkam, do Huddinge Centrum, gdzie umówiłam się na wywiad, mijam wiele przystanków autobusowych. Stojący na nich ludzie są coraz bardziej różnorodni, coraz częściej pojawiają się wymyślne fryzury ze skręconych, nieskandynawskich włosów, coraz więcej chust i czarnych dresów chłopaków, którzy marzą o tym, żeby zostać nowym Zlatanem.

Gmina Huddinge należy do regionu nazywanego Dużym Sztokholmem. Mieszka tu 110 tysięcy osób. To jedno z tych miejsc, w których raczej się nie bywa. Oczywiście jeśli się tu nie mieszka albo nie pracuje. Znajduje się tu jeden z dwóch oddziałów najlepszego szpitala w kraju: Karolinska. W dzielnicy Flemingsberg, zaliczanej do trudnych przedmieść, działa też świetny Uniwersytet Södertörn. Swego czasu sama tu studiowałam przekład literatury pięknej. Co ciekawe, uniwersytet, który ulokowano w Flemingsberg po to, by wyrwać tę dzielnicę ze szponów społecznego wykluczenia, żyje życiem całkowicie osobnym od sąsiedztwa. Znajduje się na tyle blisko stacji kolejki podmiejskiej i jest na tyle skutecznie „odwrócony plecami” do okolicznych bloków, że można tu codziennie bywać i w ogóle nie zdawać sobie sprawy, w jakiej jest się okolicy. To bliskość niezblizająca.



– Mówicie, że Skärholmen przypomina wam Brooklyn? Dobra, będę wam pozował, tylko założę okulary!

W Huddinge Centrum parkuję samochód w garażu o wdzięcznej nazwie Paradiset – Raj. W pobliżu znajduje się też Rajski Rynek oraz ulice Słoneczna, Mchu i Leśna. Przytulnie brzmiące, optymistyczne nazwy są charakterystyczne dla podmiejskich dzielnic mieszkaniowych budowanych w latach 50. zeszłego wieku.

W drodze na spotkanie z Perem Wirténem, pisarzem i dziennikarzem, wieloletnim redaktorem naczelnym lewicowego pisma „Arena”, mijam pomnik poetki Karin Boye. Mieszkała w Huddinge w młodości. Pierwsze wiersze napisała w nieistniejącej już drewnianej willi przy Tvärvägen 7.

*Pewnie, że boli, gdy pękają pąki.
Bo czemuż by wiosna się wahała?
Czemuż by nasza tęsknota gorąca
miała pozostać gorzko-zmarzło-biała?
Łuska chroniła wszak przez całą zimę.
Czym jest to nowe, co prze i rozwiera?
Pewnie, że boli, gdy pękają pąki,
boli to, co rośnie,
i to, co zapiera^[1].*

Huddinge przypomina dziś pękający pąk: rośnie gwałtownie, tak jak cały Sztokholm. Na szczęście w tej okolicy zagęszczanie nowymi domami nie łączy się z próbą unicestwienia przeszłości. Mijam charakterystyczne niewysokie bloki z czerwonej cegły, a potem kręcę się chwilę po rynku. W końcu znajduję zupełnie niehipsterką pizzerio-kawiarnię, w której umówiłam się z moim rozmówcą. To on wybrał to miejsce, zaznaczając, że jest całkowicie pozbawione czaru. Czyżby chciał mnie sprowokować do niezgody z tym stwierdzeniem?

Per Wirtén jest autorem doskonałej książki o sztokholmskich peryferiach *Där jag kommer från: kriget mot förorten* (Skąd pochodzę: wojna z przedmieściami). Opowiada w niej o swojej miłości do podmiejskich okolic i o tym, jak wiele pogardliwych stereotypów nagromadziło się wokół nich. Ta książka to jeden z kluczy do zrozumienia Sztokholmu i jego mieszkańców.

Wirtén, pomimo sukcesów zawodowych w branży, w której perfekcyjnie urządzone mieszkanie pod idealnym adresem uważa się za ważny symbol, przez całe życie mieszka w Huddinge. To nieoczywisty wybór. Sam twierdzi, że decyzja, by pomimo zawodowych sukcesów pozostać w bliźniaku na niezbyt zamożnym przedmieściu, była „złamanie jednej z najważniejszych zasad określających życiowy status”. Świetnie nam się rozmawia. Jesteśmy w Szwecji, więc mówimy do siebie na „ty”. Nie zmieniam tego w tłumaczeniu.

CHŁOPAK Z PRZEDMIEŚĆ

rozmowa z Perem Wirténem

Znajomi i przyjaciele uważają, że powinieneś mieszkać na Södermalm. Podobno twoja żona powtarza często, że jesteście postrzegani jako tkwiący w slumsach frajerzy. Oczywiście w wielu miastach na świecie są lepsze i gorsze okolice, jednak mam wrażenie, że obsesja na punkcie właściwego adresu jest bardzo sztokholmskim zjawiskiem.

Na moim osiedlu żyją reprezentanci klasy średniej, ale znajduje się ono na przedmieściu położonym daleko od centrum. Dla osoby, która jest publicystą, krytykiem literackim i autorem książek, to bardzo dziwny adres. Oczekuje się, że będę mieszkał na Södermalm. Albo w dzielnicy Vasastan. Na pewno powinienem mieszkać w miejscu, które ma wyższy status, a Huddinge to wchodząca administracyjnie w skład Sztokholmu gmina, która nie ma żadnego prestiżu. Nikt nic o Huddinge nie wie, chociaż mieszka tu tylu ludzi co w średniej wielkości mieście. Dla większości mieszkańców Sztokholmu jest to miejsce całkowicie anonimowe, a dla osoby mającej taki zawód jak ja to nieodpowiedni adres.

Czy nie uważasz, że to właśnie przedstawiciele bohemy, pisarze i artyści powinni łamać tego typu reguły?

Oczywiście, że tak. Dodam, że sytuacja zaczyna się zmieniać, bo młodych ludzi, którzy piszą lub pracują w mediach, nie stać dziś na mieszkanie w centrum miasta. Muszą mieszkać na tak zwanych przedmieściach. Ale wynika to raczej z przymusu niż z wyboru. Większość z nich chciałaby dostać się do centrum, bo centrum kojarzy się z prestiżem i wpływem. Sztokholm przypomina Paryż, jest geograficznie miastem bardzo scentralizowanym. Wszystkie ulice są numerowane w relacji do zamku królewskiego. Najniższy numer jest najbliżej zamku, więc łatwo się domyślić, gdzie będzie numer jeden, a gdzie sto.

W latach 70. zeszłego wieku centrum się trochę przesunęło w stronę rynku Sergels torg. Miasto przypomina zbiór coraz to większych okręgów, ale wszystkie środki komunikacji miejskiej jadą do centrum. Nie ma autobusów ani linii metra, które prowadziłyby wzdłuż tych kręgów. To geograficzny język władzy.





Gula huset, czyli po prostu Żółty dom w Skärholmen zaprojektowany w 1973 roku przez Hansa Borgströma.

Hierarchiczność rynku mieszkaniowego zaskakuje w tak egalitarnym społeczeństwie jak szwedzkie. Czy to rodzaj kompensacji? Potrzeba jakichś wyznaczników statusu, która silnie tkwi w naturze człowieka?

Może tak być. Albo jest to wynik deregulacji rynku mieszkaniowego. Różnice cen mieszkań w centrum i poza nim są ogromne, a to, co drogie, automatycznie jest związane ze statusem. Jest to trochę zagadkowe, zwłaszcza że Sztokholm przez długi czas był miastem o małym stopniu segregacji klasowej. Jeszcze w latach 90. dochody domostw były do siebie zbliżone. Natomiast to jest i było miasto o bardzo wysokim stopniu segregacji etnicznej. Powiedziałbym więc, że segregacja w Szwecji jest budowana przede wszystkim na podstawie koloru skóry. I fakt, że ów podział jest tak duży, może mieć związek z tym, że idea równości i egalitaryzmu w dużej mierze dotyczyła tylko rodowitych Szwedów.

Podobnie jak feminizm, który przez lata zajmował się tylko sytuacją białych kobiet z klasy średniej, natomiast kompletnie nie był zainteresowany sytuacją kobiet z etnicznych przedmieść.

Właśnie tak.

Z kolei miejsce, które jest obecnie prestiżowe, kilkadziesiąt lat temu mogło być slumsem. Piszesz o tym, że w latach 60. zeszłego wieku sztokholmczycy z ulgą wyprowadzali się z robotniczego, zapyziałego Södermalm na przedmieścia, do Vällingby. Dziś mieszkaniem w Vällingby nikt się nie będzie chwalił, a każdy marzy o kawalerce na Södermalm...

Kiedy budowano przedmieścia takie jak Vällingby, były one symbolem nowoczesności – to miało być otwarte, demokratyczne miasto. Pod koniec lat 60. ten obraz szybko się zmienił. Przełomem był rok 1968, kiedy w Szwecji zaczęła się wielka dyskusja o Skärholmen – jednym z nowo wybudowanych przedmieść.

Znajduje się ono niedaleko stąd. Podczas otwarcia w marcu 1968 roku księżę Bertil w przemówieniu powiedział, że „Skärholmen realizuje wszystkie marzenia o lepszym mieście, o mieście szczęśliwych ludzi i bogatszego życia”. Wybudowano tam między innymi największy garaż ówczesnej Europy.

Atak rozpoczął się niemal natychmiast po otwarciu od krótkiego artykułu w „Dagens Nyheter”. Jego autor, znany wówczas krytyk literacki, napisał, że całe Skärholmen powinno zostać zburzone. Dało to początek jednej z najgorętszych debat w szwedzkim świecie kulturalnym lat 60. Pisali zarówno prawicowi konserwatyści, jak i bardzo radykalni publicyści lewicowi, i wszyscy byli zgodni co do tego, że Skärholmen to miejsce nieprzyjazne, wręcz nieludzkie. Krytyczne głosy z lewej i prawej strony nagle połączyły się we wspólnej niechęci i pogardzie. Z prawej strony krytykowano socjaldemokratyczną inżynierię społeczną, z lewej – amerykańizację stylu życia i komercjalizm, bo na przedmieściach budowano centra handlowe. Jednocześnie mieszkańcy przedmieść w nielicznych wywiadach mówili, że

lubią swoją okolicę. Ale media wolały nie rozmawiać z nimi, tylko z różnymi ekspertami: nauczycielami, policjantami i tak dalej.

Kiedy w 1978 roku przeprowadziłem się do mojego pierwszego mieszkania w Flemingsberg, proces stygmatyzowania przedmieść był już mocno zaawansowany. To były czarne plamy na mapie Sztokholmu, w mediach można było powiedzieć o nich wszystko. Przedstawiano je jako miejsca, z których ludzie chcą uciekać, gdzie nikt nie chce żyć. Potem, jakoś w połowie lat 80., Szwecję zaczęła na dużą skalę zmieniać imigracja. Wtedy krytycy podnosili głównie to, że na przedmieściach mieszka coraz więcej imigrantów. W przedszkolach i szkołach zaczęto liczyć dzieci szwedzkie i nieszwedzkie. Ostatecznie niektóre przedmieścia, na przykład Flemingsberg, zaczęły być jednoznacznie kojarzone z ludźmi o ciemnej skórze, bo wszyscy biali się stamtąd wyprowadzili.

Jednocześnie większość sztokholmczyków mieszka na przedmieściach...

85 procent mieszkańców Dużego Sztokholmu. Przedmieścia tak naprawdę należą do miasta. Możesz przejść na piechotę z Huddinge do centrum. Jednak w ludzkich głowach wciąż tkwi przekonanie, że przedmieścia to oddzielne światy.

W swojej książce piszesz, że już w latach 90. media stworzyły stereotypowe obrazy budzących niepokój mieszkańców przedmieść: agresywny mężczyzna imigrant i kobieta imigrantka, ofiara męskiej przemocy. Te stereotypy są nadal silne.

Tak, ale wzbogaca się je nowymi znaczeniami. Na początku pisano głównie o problemach językowych i kłopotach z integracją. W ostatnich latach w imigrantach widzi się też zagrożenie bezpieczeństwa kraju, co jest związane z wojną z terroryzmem. To bardzo niepokojący rozwój sytuacji, lęk przed imigrantami jest coraz wyraźniejszy. Mam wielu przyjaciół, którzy nie mają odwagi pojechać do Tensta, Rinkeby albo do Flemingsberg.

Przyznają się do tego otwarcie?

Tak. To bardzo dziwne, bo przecież wszyscy znamy statystyki przestępczości i wiemy, że liczba napaści na ulicach, kradzieży oraz pobić jest największa w centrum miasta, ponieważ to tam są nocne bary.

Człowiek ulega wpływowi mediów, w których często czyta się o „strasznych przedmieściach”. Pamiętam, że kiedy robiłam reportaże w Tensta, też w pierwszej chwili czułam się nieswojo, choć racjonalnie rzecz ujmując, wiedziałam, że to bez sensu.

Oczywiście na niektórych przedmieściach obecne są patriarchalne struktury rodem z Bliskiego Wschodu. To da się zauważyć w Tensta czy w Rinkeby. W ostatnim czasie na przedmieściach szwedzkich miast dochodziło też do strzelanin pomiędzy członkami gangów. Ale myślę, że głównym powodem, dla którego ty czy ja czujemy się tam niepewnie, jest coś zupełnie innego, z czym trudno się uporać. Jako biali ludzie uważamy się zawsze za tych, którzy stanowią normę w Szwecji. W ogóle nie zauważamy, że nasza skóra ma jakiś odcień. A kiedy trafiasz do Tensta, jesteś nagle w mniejszości. Jesteś biała i nie możesz od tego uciec. Możesz sobie być zaangażowaną antyrasistką i działaczką na rzecz tolerancji, ale w Tensta jesteś w oczach innych ludzi biała, dokładnie tak jak czarny człowiek jest czarny w twoich oczach. W takich miejscach jesteś więc konfrontowana z wiedzą na temat tego, że masz kolor skóry. I to nie jest przyjemne.



Zamek Królewski. Wszystkie ulice w mieście numerowane są w relacji do niego.

Bo doświadczam swojej własnej inności...

...i to stąd bierze się niepewność, którą ja także czuję. Przyznaję, że tak jest.

Urbaniści, dziennikarze i politycy, wszyscy są zgodni co do tego, że segregacja jest zła. Ale co można zrobić, żeby ją zmniejszyć? Rodowici Szwedzi wyprowadzają się z dzielnic, w których rośnie liczba imigrantów spoza Europy.

Myślę, że w tych trudnych dzielnicach trzeba budować więcej atrakcyjnych mieszkań i domów. Problem polega na tym, że nikt nie ma odwagi tego robić, bo to zbyt duże ryzyko finansowe. Można też spojrzeć na to z innej strony i stwierdzić, że to nie Tensta jest poddana segregacji, tylko Östermalm. Posegregowane są bogate okolice willowe w Huddinge, w Danderyd czy w Nacka, gdzie wszyscy ludzie mają białą skórę i najczęściej są rodowitymi Szwedami. Musi znaleźć się sposób na to, by umożliwić ludziom biednym, o niskich zarobkach, życie w dzielnicach cieszących się

prestizem. Nie wiem, jak to zrobić, ale myślę, że Sztokholm potrzebuje projektów typu social housing. Tak jak w Holandii, Finlandii czy Austrii.

Musimy w końcu przyjąć do wiadomości fakt, że Szwecja jest społeczeństwem składającym się również z imigrantów, i zacząć rozumieć, co oznacza wielokulturowość. Nie jestem jednak pewny, czy segregacja etniczna jest zawsze zła. Ale staje się zła, kiedy jest połączona z biedą, kiedy ta bieda ma konkretny kolor skóry. W takich przypadkach segregacja jest niebezpieczna. W Stanach Zjednoczonych, na przykład w Chicago, każda dzielnica ma jakąś etniczną historię, są dzielnice ukraińskie, polskie, szwedzkie, greckie i tak dalej. Dziś powstają nowe: senegalska, koreańska. I wszystko jest dobrze, jeśli takie enklawy mają drzwi, przez które można przedostać się do centrum miasta i stać się częścią klasy średniej.

Turyści odwiedzający Londyn czy San Francisco koniecznie chcą zajrzeć do dzielnicy chińskiej lub hinduskiej. Wielokulturowe Tooting w Londynie trafiło na listę najfajniejszych miejsc na świecie przewodnika Lonely Planet. Szwedzi kochają podróże do najbardziej egzotycznych krajów, ale ta sama egzotyka w Szwecji zupełnie ich nie interesuje. Efekt jest taki, że sztokholmskich dzielnic etnicznych nie odwiedzają ani sztokholmczycy, ani turyści.

Jednym z niewielu miejsc, gdzie widzę, jak łączą się ze sobą różne grupy etniczne, jest rynek w Skärholmen. Myślę, że ma to związek z tym, że jest tam wielka galeria handlowa, którą odwiedzają mieszkańcy dzielnic willowych w Huddinge. Tu odkrywają zupełnie inny świat. To fascynujące miejsce.

Czy nikt nigdy nie wpadł na pomysł, żeby w etnicznych dzielnicach otworzyć restauracje dla turystów? Żeby przyciągnąć ich do tych miejsc? To mogłoby wiele zmienić.

To byłoby coś. Zwłaszcza że Rinkeby i Tensta to ładne i ciekawe dzielnice. No ale ilu turystów odwiedza Brixton w Londynie? A Rinkeby to odpowiednik Brixton. Londyńczycy tam bywają, ale turyści już raczej nie. Dojeżdża tam

metro, ale to wyprawa, która zajmuje trochę czasu. Wygląda na to, że wszystkie nasze pragnienia są związane z centrami miast – dotyczy to zarówno ich mieszkańców, jak i turystów. Wpojono nam myśl, że najbardziej interesujący jest środek miasta. Nie umiemy się od tego uwolnić.

Jednocześnie Szwedzi kochają bliskość natury, a tej jest na przedmieściach znacznie więcej niż w centrum.

O tak! Na przykład na południe od miasta, w Enskede, Årsta czy Hagsätra. Wszystkie te dzielnice mogą być bardzo ciekawe dla turysty, który chce zobaczyć coś typowo szwedzkiego.

Przyjechałam na nasze spotkanie samochodem i odnajduję się w tym, co napisałeś w swojej książce o samochodach. (Per wybucha śmiechem i rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie). Nie rozumiesz lewicowej nienawiści do nich, bo dostrzegasz związek pomiędzy możliwością swobodnego przemieszczania się a demokracją i solidarnością. Ja widzę też ścisły związek pomiędzy prawem jazdy a feminizmem. Nie zmienia to faktu, że samochody we współczesnych miastach są uważane za problem.

Ale bez samochodów miasta przestałyby istnieć! Rowery są idealne dla ludzi, którzy nie mają więcej niż siedemdziesiąt lat i mieszkają w centrum. Owszem, samochody zanieczyszczają atmosferę, ale ten problem przejdzie niedługo do historii. Pozostanie kłopot z tym, że są niebezpieczne dla przechodniów.

Szczerze mówiąc, rowerzyści też potrafią być niebezpieczni dla przechodniów.

Samochody jednak bardziej. Poza tym zajmują dużo miejsca. Dlatego myślę, że to, w jaki sposób kiedyś planowano przedmieścia, oddzielając ścieżki rowerowe i chodniki od ulic, było dobrym rozwiązaniem. Z centrum Huddinge idę do domu kwadrans i cały czas mogę spacerować ścieżkami, po których nie jeżdżą samochody. Moje dzieci jeździły po okolicy na rowerach, a ja nie musiałem się o nie bać. Według mnie także dzięki temu

przedmieścia są tak przyjemne do życia. Po drugiej wojnie światowej chciano w Szwecji budować miasto demokratyczne i starannie zaplanowane przedmieścia były tego wyrazem – blisko natury, z dużą dozą otwartości.

Tym, czego nie lubię dziś w Sztokholmie, a także w innych miastach Europy, jest powrót do dawnych koncepcji miasta z zamkniętymi osiedlami, podwórkami, na które nie może wejść nikt oprócz mieszkańców, ulicami, przy których chodnik prowadzi wzdłuż drogi dla samochodów. Centra miast, także Sztokholmu, to symbole komercjalizmu. Żeby gdzieś usiąść, musisz na ogół zapłacić za kawę. Mało jest miejsc powszechnego użytku.

A jednak wszyscy chcą w tym mało przyjaznym centrum mieszkać.

Tak naprawdę to też jest trochę iluzja. Przykładowo wille w Huddinge mogą kosztować nawet osiem, czasem 10 milionów koron, czyli bardzo dużo pieniędzy. Tak więc tu także mieszkają ludzie, których na nie stać. Z jednej strony mamy silne przekonanie, że wszyscy chcą mieszkać w mieście, z drugiej strony różne badania mówią, że tym, co najbardziej cenią sobie sztokholmczy, są – ku niezadowoleniu architektów i urbanistów – drzewa! Wszyscy chcą więcej parków i drzew, a mniej ruchu kołowego i ulic. Modnie jest mieszkać na Södermalm, a jednocześnie dla przeciętnego Szweda mieszkającego w dużym mieście największym marzeniem jest nie trzypokojowe mieszkanie, ale drewniana willa zbudowana na początku zeszłego wieku. Z dużym ogrodem.

Najwyraźniej istnieje silna sprzeczność pomiędzy tym, co wypada nam chcieć, a tym, czego naprawdę chcemy.

Może tak być.

Ciekawym zjawiskiem, w którym także da się dopatrzeć sprzeczności, są modne ostatnio wille z ogromnymi oknami, takimi od dachu do ziemi. W takim domu niczego nie da się ukryć. „Dom nie jest już prywatną przestrzenią, ale sceną, na której prowadzi się życie dla publiczności” –

piszesz w swojej książce. Podobny trend widać w nowych mieszkaniach, na przykład w dzielnicy Hammarby Sjöstad.

Przez jakiś czas w architekturze bardzo silny był ideał przejrzystego życia. Jak na scenie. Nagle stało się ważne, żeby pokazywać przechodniom designerskie urządzenie domu. Ale nie wydaje mi się, by ludzie naprawdę lubili tak żyć. W naszej okolicy też wybudowano domy o oknach tak dużych, że każdy może zajrzeć i zobaczyć, jak mieszkańcy jedzą śniadanie. Zauważyłem jednak, że ostatnio zaczęto wokół nich sadzić żywopłoty.



Kwitnące wiśnie w dzielnicy Hammarbysjöstad.

Ale w szwedzkich miastach i tak wyraźny jest wzorzec otwartości. Ludzie nie mają w mieszkaniach firanek ani wysokich płotów wokół domów.

To prawda, ale ów ideał otwartości nie jest charakterystyczny tylko dla Szwecji. Da się go zauważyć na przykład na amerykańskich osiedlach willowych ze starannie przyciętymi trawnikami i bez ogrodzeń. W Szwecji

granica pomiędzy wspólnym a prywatnym, była zawsze zatarta. Pielęgnowano ideał otwartego miasta, otwartej przestrzeni. Teraz w architekturze, zwłaszcza w projektach prywatnych domów, widać zupełnie nowe zjawiska. Na przykład ludzie pochodzący z Bliskiego Wschodu, którzy dorobili się w Szwecji pieniędzy, budują wille czerpiące bezpośrednio z estetyki znad Morza Śródziemnego. To wielkie domy, z wysokimi murami, o bardzo charakterystycznym kształcie spotykanym dotąd raczej w Stambule czy w Damaszku. Budowane są na przykład wokół Flemingsberg i w Botkyrka. Dla Szwecji to zupełnie nowa architektura, bardzo ciekawa, ale wielu ludzi wręcz tego nienawidzi. Budowle te nazywa się pogardliwie pizza-pałacami.

Czas to pewnie zmieni, bo widać, jak weryfikuje nasze myślenie o tym, co atrakcyjne w mieście. Jak według ciebie będzie się przeobrażał świat sztokholmskich przedmieść?

Część z nich zyska w przyszłości dużo wyższy status w związku z rozwojem miasta. Sztokholm bardzo szybko się rozwija, ale wcale nie dlatego, że przeprowadzają się tu mieszkańcy wsi i małych miasteczek. Sztokholm rośnie dzięki imigrantom. W niedługiej przyszłości stanie się jeszcze bardziej wielokulturowy, bez względu na to, czy się to komuś podoba, czy nie. Szwedzcy Demokraci mogą sobie mówić, co chcą, obiecywać zamykanie granic, a Szwecja i tak będzie ulegała coraz większym zmianom przez imigrację. Odcisnie to ślad na mieście, zarówno w centrum, jak i na przedmieściach. Botkyrka to pierwsza gmina w Dużym Sztokholmie, w której większość mieszkańców stanowią imigranci. Huddinge, w którym mieszkam, stanie się takie za dziesięć lat. Wkrótce do tego punktu dojdzie także centrum Sztokholmu.

IV.

Najciekawsze przedmieścia.

Nie tylko jak Bullerbyn...



Järla sjö w Nacka to jedno z najbardziej stylowych przedmieść. Dom tuż nad wodą, niezależnie czy to mieszkanie, czy willa, jest marzeniem wielu Szwedów.

Vällingby – modernistyczna utopia

Zwiedzający Sztokholm turyści nie trafiają dziś do Vällingby, choć łatwo tam dojechać zieloną linią metra (29 minut ze stacji T-Centralen). Mieszkanie w Vällingby nie jest też powodem do szczególnej dumy. Ot, jedno z szarawych przedmieść położonych stosunkowo daleko od centrum. Niedawno odnowione, ale i tak nie przyciąga. Niemodne. Trochę jak zapomniana prowincja, w której mieszkają głównie emeryci i imigranci.

Pośrodku ronda, z którego wjeżdża się do centrum Vällingby, kręci się wokół własnej osi wielki logotyp „V” przecięty w poprzek słowem „Centrum”. Ładna typografia rodem z lat 50. Obok ronda wybudowano ostatnio dość szpetne kontenery mieszkalne dla uchodźców. Wyglądają jak baraki budowlane. Dalej jest już centrum handlowe na przestrzennym placu Vällingbyplan, gdzie architektura lat 50. miesza się z nowoczesnymi poprawkami wykonanymi parę lat temu. Plac ten miał być odpowiednikiem włoskiej „piazzzy” – centrum życia, miejscem spotkań. Ten piękny zamysł popsuły pierwsze telewizory, które pojawiły się w szwedzkich domach dwa lata po otwarciu Vällingby (w 1954 roku). Ludzie zamknęli się w nowych mieszkaniach, na kanapach, przed ekranami. Tkwili tam uparcie, pomimo że specjalnie dla nich w dzielnicy zainstalowano mnóstwo latarni i neonów, żeby rozwiać jesienne i zimowe ciemności.

W roku 1955 światowe zainteresowanie nowym przedmieściem Sztokholmu, wybudowanym na wzór angielskich *new towns*, ale o niebo lepiej zaplanowanym, było tak ogromne, że szwedzkie gazety pisały o „gorączce Vällingby”. Władze dzielnicowe pospiesznie zatrudniały młode, znające języki dziewczęta, żeby oprowadzały po okolicy masowo

przybywających zagranicznych turystów. Nazywano je Pannami Vällingby.

Nowe przedmieście stało się największą szwedzką dumą, szczytem nowoczesności, pokazową dzielnicą podmiejską, którą przyjeżdżali zwiedzać Francuzi, Amerykanie i Japończycy. W 1958 roku wybrał się tu sam papież modernizmu Le Corbusier. Oczywiście wpadł w zachwyty. W swoich wykładach porównywał potem hipernowoczesny kościół Västerorts kyrkan w centrum Vällingby z paryską katedrą Notre Dame. Były to według niego dwa z trzech kościołów w Europie, które trzeba zobaczyć. W 1964 roku do Vällingby przywieziono też ministra spraw zagranicznych ZSRR Andrieja Gromyko, socjaldemokraci mieli bowiem niezłe układy z komunistami. I to w Vällingby, w szeregowcu przy ulicy Tornedalsgatan 18, zamieszkał premier Olof Palme wraz z rodziną. Dla nowoczesnego przedmieścia porzucił burżuazyjne Östermalm w samym sercu miasta! Rzecz nie do pomyślenia w dzisiejszym Sztokholmie.

Ten, kto uważnie patrzy i zna się trochę na architekturze oraz planowaniu miast, nadal może przeżyć w Vällingby olśnienie. Przedmieście zostało bowiem zaprojektowane przez najlepszych architektów epoki i jest pełne przykładów genialnych urbanistycznych rozwiązań. Głównym architektem i wizjonerem odpowiedzialnym za koncepcję „miasta ABC”, jak nazwano Vällingby, był Sven Markelius, dyrektor biura urbanistycznego miasta Sztokholm, zwolennik koncepcji funkcjonalizmu. Skrótowiec ABC pochodził od szwedzkich słów: *arbete* (praca), *bostad* (mieszkanie) i *centrum*. Idea była taka, żeby na jednym obszarze ulokować miejsca pracy, mieszkania oraz nowoczesne centrum handlowo-usługowe, a także kino i bibliotekę, przychodnię, szkoły, przedszkola, parki, niskie bloki i wysokie bloki oraz domki szeregowe, prawie jak wille. Doskonały mikrokosmos. Niezależny od reszty miasta, ale połączony z nim jak pępowiną jedną

z dwóch pierwszych linii metra. Jak określił pisarz Thomas Millroth, „Vällingby powstało jako konkurencja dla sztokholmskiego śródmieścia. Vällingby, które było wcześniej wsią, uległo przemianie dzięki temu, że dobre – czytaj: nowoczesne – siły wspólnie postawiły na jeden projekt”^[12].



Vällingbyplan: klasyczny budynek kina oraz Trappan – siedziba domu kultury.



Vällingehuset w centrum Vällingby – najszynniejszy budynek restauracji w latach 50. zeszłego wieku.

W Szwecji lat 50. brakowało mieszkań. Klasa robotnicza żyła często w straszliwej ciasnocie, po pięć osób w mieszkaniach liczących 25 metrów kwadratowych. Bez łazienki. Jednocześnie niezniszczony wojną kraj bogacił się w szybkim tempie, na ulicach było więcej samochodów niż gdzie indziej w Europie, a od 1948 roku wszystkie rodziny otrzymywały państwowe zasiłki na dziecko. Już pod koniec lat 30. rządzący krajem socjaldemokraci wylansowali koncepcję *folkhemmet* – „domu ludowego”, czyli społeczeństwa tak sprawiedliwie zorganizowanego, że zapewnia opiekę wszystkim obywatelom. Nowymi bogami stały się nowoczesność i inżynieria społeczna. Architekci mieli być owej inżynierii „awangardą”, jak ujmowała to socjolożka i noblistka Alva Myrdal.



W Vällingby architektura lat 50. miesza się z nowoczesnymi uzupełnieniami.





Budynki mieszkalne w Vällingby – daleko od miejskiego chaosu.

Sven Markelius był wizjonerem. Wprawdzie podjął decyzję o wyburzeniu dzielnicy Klara, ale poza tym powiedzielibyśmy dziś, że stawiał na rozwiązania holistyczne. Uważał, że miasto powinno być dobrze funkcjonującym i harmonijnym organizmem estetycznym. W Vällingby tak bardzo dbano o zachowanie spójnej gamy kolorystycznej bloków, że osoby chcące zainstalować w oknach markizy musiały konsultować to ze spółką mieszkaniową Svenska Bostäder. Architekt Markelius chciał zerwać ze śródmiejskim chaosem, dążył do oddzielenia hałaśliwych ulic od ścieżek rowerowych i chodników dla pieszych (i naprawdę do dziś nie ma bardziej przyjaznych miejsc dla rowerzystów niż zaplanowane przez niego przedmieścia). Przywiązywał wagę do sztuki w przestrzeni publicznej, zaprojektował w Vällingby wyjątkowo dużą i pełną światła bibliotekę i centrum kultury Trappan. „Miasto ABC” miało być też rajem dla dzieci, zapewniono im wspaniałe podwórka, place zabaw i tereny zielone, po których mogą biegać bez obawy, że wpadną pod samochód. Przestrzeń planowano

z ogromną dokładnością, plan całej okolicy był równie ważny jak układ nowych mieszkań z dużymi i jasnymi kuchniami z nowoczesnymi zlewami. Budynki mieszkalne, świetlice i place zabaw, trawniki i kolory framug – wszystko ze sobą harmonijnie współgrało. To widać także dziś.

„Vällingby jest skomponowane jak dzieło sztuki, jeden ogromny i dynamiczny relief, znaczący kawałek *land art*. Zostało narysowane i zbudowane tak, by można je było podziwiać z góry”^[13] – konstatuje Millroth.

Do dziś urzeka też dbałość o detale. Na placu Vällingbyplan uwagę przyciąga pokryte żółtą szklaną mozaiką kino Fontänen z wyjątkowo ładnym neonem, zachwycają trzy- i czteroramienne kuliste latarnie i granitowe trójkolorowe mozaiki na chodnikach zaprojektowane przez Erika Glemma. Nawet tabliczki z nazwami ulic mają przemyślane i dobrze zaprojektowane liternictwo.

Vällingby było idealne, nowoczesne i piękne. Panowała tu też nowa moralność. Społeczeństwo się sekularyzowało, więc zamiast protestanckiego nacisku na bezgrzeszność stawiano na maksymalną higieniczność. Gazety z dumą pisały o sąsiedzkich pralniach i nowych typach łazienek. A jednak w Szwecji, w której kobiety miały za chwilę opuścić swoje idealne kuchnie i pójść do pracy, Vällingby dość szybko stało się symbolem podmiejskiej duszności. Światem, z którego chce się uciec w trochę gorzej zaplanowane, ale dające większą wolność rejony.

W latach 60. pomieszkiwała tam w rodzinie zastępczej jedna z moich ulubionych szwedzkich pisarek, Bodil Malmsten. Boże, jak ona nienawidziła tego miejsca! Píše o tym w książce *Moje pierwsze życie*.

„Okno w jadalni wychodziło na ulicę Ångermannagatan. Po lewej stronie znajdowało się centrum Vällingby z ogromną, obracającą się

wokół własnej osi literą V, która i nocą, i dniem przypominała, że ktoś, kto zamieszkał w Vällingby, już nigdy go nie opuści.

Po prawej stronie widniały bloki i boisko sportowe, które zimą zamieniało się w lodową taflę i na którym młodzież należąca do Kościelnego Stowarzyszenia Młodzieży bawiła się w zabawę zwaną ścianą. Chociaż zabawa to chyba zbyt delikatne, niewinne i mylne określenie czegoś tak agresywnego jak ściana. Najpierw młodzież dzieliła się na dwie grupy, nawet jeżeli podział był bezsporny i oczywisty. Jedną drużynę stanowiły osoby mieszkające w blokach, drugą zaś – mieszkańcy domów szeregowych, które wsławiły się tym, że właścicielem jednego z nich był Olof Palme. Blokowisko też miało swoje pięć minut sławy, kiedy o zamordowanie premiera Palmego podejrzewano szkolnego kolegę jego syna.

(...) Nie mam ani jednego pozytywnego wspomnienia z Vällingby. Oprócz biblioteki. (...) W bibliotece znalazłam prawdziwe schronienie. W jasnym, przestronnym lokalu było miejsce na wysmakowane tekstylia, lampy oraz fotele z giętego drewna i lnianej plecionki. W ówczesnej przestrzeni publicznej dbano o to, by tego rodzaju piękno kształciło i dzięki temu wyrównywało estetyczną niesprawiedliwość społeczną. Ale nawet to piękno nie miało wpływu na brzydotę domu moich rodziców zastępczych, ponieważ na tę brzydotę nic nie miało wpływu”^[14].

Sama też przez jakiś czas mieszkałam na znajdującym się blisko Vällingby osiedlu domków szeregowych. Też były idealnie zaplanowane, z ciągnącymi się bez końca ścieżkami rowerowymi i bezpiecznymi podwórkami dla dzieci – na których zabawy można było zerkać z okna kuchni. Ale i ja odczuwałam tam podobną do Bodil Malmsten duszność. Za to mój syn do dziś wspomina, że było tam prawie jak w Bullerbyn: mnóstwo dzieciaków i pełna wolność. Jednocześnie bardzo się cieszy, że kiedy zaczął chodzić do szkoły, wyprowadziliśmy się do Nacka, bo pojawiły się tam zupełnie inne możliwości, inny świat.

Kiedy Daniel był mały, odwiedzałam z nim czasem centrum Vällingby. Przeżyłam tam imigrancką traumę, kiedy któregoś dnia podszedł do nas z daleka wyglądający na sympatycznego, ale z bliska raczej podpity starszy pan. Popatrzył z zachwytem na blond włosy moje i mojego dziecka i z szerokim nietrzeźwym uśmiechem wykrzyknął:

– Nareszcie! Nareszcie widzę PRAWDZIWE szwedzkie dziecko!

Nie pamiętam już jego reakcji na moją wygłoszoną jeszcze nie najlepszym szwedzkim odpowiedź, że niestety się pomylił. Musiał być bardzo zawiedziony.

Kiedy przeprowadziliśmy się do eleganckiego Saltsjö-Duvnäs, okazało się dla odmiany, że Daniel jest jedynym dzieckiem dwujęzycznym w klasie. W pierwszej chwili wzbudziło to mój niepokój (wieczny lęk rodzica, czy aby dziecko nie poczuje się inne), ale nigdy nie stanowiło problemu. Powiem więcej: wszyscy szwedzcy przyjaciele Daniela znają dziś kilka słów po polsku, więc dokonaliśmy chyba miniinwazji. Niedawno osiemnastoletni dziś Anton opowiadał mi z zachwytem, jak spotkał w metrze grupę wesołych i chyba podchmielonych młodych Polaków. Jako człowiek ciepły i ceniący polskość zagadnął do nich słowami wbitymi mu swego czasu w głowę przez Daniela (podczas wspólnego oglądania meczów): „Polska! Biało-czerwoni!”. Podobno byli tak wzruszeni, że chcieli mu zafundować piwo. Nie było to w Vällingby, ale w metrze zielonej linii jadącym w jego kierunku. Skorzystajcie z niej, jeśli chcecie przyjrzeć się z bliska jednej ze szwedzkich utopii.

Djursholm – szwedzkość nieegalitarna

Zawsze kochałam drewniane domy. Może dlatego, że w dzieciństwie dużo czasu spędziłam u moich dziadków, w drewnianym domu z oszkloną werandą, na której wspaniale było spać podczas ulewnego deszczu, i z ogrodem pełnym krzaków porzeczek. A może ze względu na to, że w liceum marzyłam, aby mieszkać gdzieś nad jeziorem lub

w górach, jak najdalej od Warszawy, najchętniej w leśniczówce. Po to, by później stwierdzić, że miasto też jest mi potrzebne do szczęścia. W końcu bez wcześniejszego planu wylądowałam w drewnianym domu nad jeziorem, ale piętnaście minut od centrum Sztokholmu. Czyli w miejscu dla mnie idealnym.

Uwielbiam te położone blisko natury szwedzkie dzielnice willowe. To moje ulubione tereny spacerowe. Kochałabym w ten sposób podwarszawski Konstancin, gdyby nie to, że da się go kochać tylko w tych częściach, gdzie starych willi nie przysłoniły murowane pałace, a ogrodów nie zasłoniły wysokie płoty i parkany.

Wokół Sztokholmu jest wiele dzielnic-ogrodów. Wiele z nich ma symboliczne znaczenie dla Szwecji. Wystarczy usłyszeć ich nazwę, żeby wiedzieć „wszystko” o stylu życia, przekonaniach i zasobności portfela mieszkańców. Z reguły domy w tych okolicach, nawet te największe i najbardziej luksusowe, są drewniane. I właściwie nic ich nie zasłania. Czasem niski płot. Albo rozłożysty buk. Ewentualnie ładnie utrzymany żywopłot.

Nie trafia do nich wielu turystów. A szkoda.

„Jesteśmy elitą elit” – opowiada piętnastoletnia uczennica z Djursholm w książce Mikaela Holmqvista *Djursholm. Sveriges ledarsamhälle* (Djursholm. Wiodąca społeczność Szwecji). To reportaż, który narobił sporo zamieszania, bo nazwał i szczegółowo przedstawił to wszystko (oraz jeszcze więcej), co na temat Djursholm się wie oraz podejrzewa, ale głośno o tym nie mówi. Zacznijmy jednak od początku.

Djursholm to najstarsza dzielnica willowa w Szwecji. Jest położona dziesięć kilometrów od Sztokholmu i mieszka w niej jakieś 9 tysięcy osób. Zaczęto ją budować w 1889 roku z inspiracji amerykańskimi dzielnicami willowymi. Inicjatorem projektu był Henrik Palme, dyrektor banku, który ziemię pod budowę oazy dla bogatych

sztokholmczyków kupił do spółki ze swoim szwagrem. Po siedmiu latach w Djursholm stało już 80 domów zaprojektowanych przez świetnych architektów. Chętnym do zamieszkania w nich gwarantowano pełną ekskluzywność i doskonałe sąsiedztwo. Owa tak daleka od oficjalnych ideałów współczesnej Szwecji potrzeba odcięcia się od zwykłych ludzi wyrażała się nawet w ten sposób, że w trakcie wznoszenia Djursholm pracownikom nie wolno było nocować zbyt blisko budowy. Nie należało bowiem zakłócać wyższym sferom ich luksusowego życia.

Dziś najtańsza willa w okolicy kosztuje jakieś 25 milionów koron, nawet jeśli wymaga całkowitej renowacji. Gdyby znajdowała się w Huddinge, można by ją nabyć za jedną trzecią tej ceny albo jeszcze mniej. Rzecz w tym, że w Djursholm nie kupuje się tylko domu, ale także prestiż, aurę wyjątkowości oraz możliwość nawiązania cennych kontaktów.



Willa na Djursholm to szczyt adresowego prestiżu.

Są w Sztokholmie i wokół niego inne snobistyczne adresy, takie jak Östermalm, Lidingö, Stocksund czy Saltsjöbaden, ale Djursholm jest jedyne w swoim rodzaju. To tu mieszkają najbogatsi i najlepiej wykształceni Szwedzi. To tu WSZYSTKO jest najlepsze: od szkół, przez luksusowe domy starców, po wystrój wnętrz. Nie wspominając już o tym, że mieszkańcy Djursholm żyją dłużej niż reszta społeczeństwa, są zdrowsi, bardziej wysportowani i więcej podróżują. Wielu z nich ma kontakty z dworem królewskim, a to jest, uwierzcie mi, szczyt sukcesu w Szwecji, która od stu lat jest z pozoru socjaldemokratycznie egalitarna. Księżniczka Estelle, córka następczyni tronu, chodziła w Djursholm do przedszkola.

Djursholm jest światem dosyć hermetycznym, także w sensie położenia. Otoczone z niemal wszystkich stron wodą, pozostaje nieco na uboczu. Nie dojeżdża tu metro. Można za to dojechać autobusem, ale nie ma takiej linii, która by przez Djursholm po prostu przejeżdżała po to, żeby ruszyć gdzieś dalej. Djursholm to punkt docelowy, najwyższy w hierarchii. Brzmi onieśmielająco? Domyślam się, że tak, i choć zaraz opowiem o jeszcze kilku innych zbijających z tropu cechach charakterystycznych tej społeczności, chcę podkreślić, że Djursholm to jedno z tych miejsc, które naprawdę przyjemnie odwiedzić.

Dobrze jest wybrać się tu na spacer. Można długo wędrować ulicą Strandpromenaden wzdłuż wody lub skręcić w którąś z uliczek i przechadzać się pośród przepięknych starych drewnianych domów zanurzonych w dobrze utrzymanej zieleni ogrodów. Zapewniam, że nigdzie nie spotkacie tak przyjaznych, eleganckich i szeroko uśmiechniętych starszych pań. Nigdzie też nie znajdziecie przytulniejszej i lepiej zaopatrzonej księgarni. W centrum Djursholm jest pod dostatkiem restauracyjek i kawiarni oraz niedużych, świetnie zaopatrzonych butików. W tym miejscu warto zastosować się do dwóch zasad: po pierwsze pozdrawiać spotkanych na spacerze ludzi miłym i pewnym siebie *Hej* (w Djursholm przywiązuje się dużą wagę do

dobrych manier), a po drugie nie mówić zbyt głośno w kawiarniach i restauracjach.



Djursholm to chyba jedyna dzielnica willowa, w której jest dużo wysokich żywopłotów.

Żeby poczuć, że Djursholm poza zaletami ma trochę wad, trzeba tu zamieszkać. Albo przez pięć lat prowadzić badania socjologiczne, jak zrobił to wspomniany już Mikael Holmqvist. Djursholm w jego opowieści to społeczność nadająca ton szwedzkiej debacie, narzucająca wartości i wyznaczająca kierunki. W jej skład wchodzi elita szwedzkiej finansjery, dyrektorzy największych firm i spółek, zamożni ludzie kultury, „liderzy” społeczeństwa. Wśród mieszkańców są też najbardziej zapamiętali wspinacze po szczeblach drabiny społecznej, którzy zapożyczają się na dłużej niż jedno życie po to, by dostać się do światka śmietanki towarzyskiej.

Panuje tu specjalna aura i przekonanie o własnej wyjątkowości. To właśnie ta aura oraz kontakty są kluczem do sukcesu. Djursholm, pomimo dobrego wykształcenia jego mieszkańców, nie ma nic

wspólnego z merytokracją i według Holmqvista cała Szwecja zmierza w tę stronę. Liczą się znajomości i koneksje oraz atmosfera sukcesu. Liczy się to, jak cię widzą, a nie to, co naprawdę sobą reprezentujesz i co wiesz.

Oczywiście w Djursholm są doskonałe szkoły, w których kształcą się kolejnych liderów. Szkoły, do których na pogadanki z młodzieżą zapraszani są czołowi politycy oraz dyplomaci. Szkoły przygotowujące do wyścigu po sukces. Nauczyciele młodszych klas zdradzają jednak, że tutejsze dzieci są często zaskakująco spragnione uwagi i ciepła, a nauczyciele starszych klas anonimowo donoszą, że młodzież dużo pije. Jednocześnie panuje kult wielodzietnej rodziny. Dzieci to prestiż i najszacowniejsze rodziny mają ich po czworo lub pięcioro. Najczęściej owe dzieci wychowuje *au pair* z Europy Środkowo-Wschodniej (jeśli oboje rodzice robią karierę). Zdarza się też, że kobieta w rodzinie rezygnuje z pracy. Niewystępujące w pozostałej części społeczeństwa szwedzkiego zjawisko niepracującej pani domu jest w Djursholm dość mocno rozpowszechnione. Ma to swoje konsekwencje w przypadku rozwodu, bo szwedzkie prawo, w przeciwieństwie do amerykańskiego, nie chroni kobiety, która zdecydowała się poświęcić rodzinie. Holmqvist pisze o tym tak:

„Wysłuchałem wielu historii o tym, jak przy okazji rozwodu kobiety tracą więcej niż mężczyźni, ponieważ to mężczyźni, w większości przypadków, mają znacznie wyższe zarobki, czasami wręcz jedyne dochody w rodzinie. Rzadko zdarza się, żeby po podziale majątku mężczyzna przeprowadzał się do mieszkania albo do szeregowca (pewna kobieta powiedziała mi, że jest w Djursholm okolica nazywana rowem rozwodowym – to tam mieszkają wszystkie wyrzucone z willi kobiety)”^[15].

Mieszkańcy Djursholm obcują ze sobą głównie poprzez angażowanie się w różnego rodzaju stowarzyszenia i koła: kluby golfowe, tenisowe i żeglarskie, szkoły jazdy konnej i tym podobne. W okolicy tej urządziła się też wielkie przyjęcia (częściej niż kameralne kolacje dla najbliższych

przyjaciół). Jednocześnie bardzo ważne jest zachowywanie dystansu pomiędzy sąsiadami, co gwarantuje wszystkim pełną anonimowość w zaciszu domowym. Jak mówi jeden z rozmówców Holmqvista: „Spotykam moich sąsiadów od kwietnia do września, przez resztę roku raczej nigdy. Nie przeszkadzamy sobie nawzajem. Idealny sąsiad wprowadza miłą atmosferę i ma porządek na swojej działce, ale stałych kontaktów się ze sobą nie utrzymuje”^[16].

Taki to świat. Bez zobaczenia go ma się ograniczoną wiedzę na temat wpływowych elit szwedzkich i można by nawet uwierzyć w piękny mit idealnej szwedzkiej równości.



Pozornie skromny świat eleganckich przedmieść.



Saltsjöbaden – kolejne siedlisko wyższych sfer

Kilka lat temu lewicowe stowarzyszenie Wszystko dla Wszystkich organizowało wycieczki do Saltsjöbaden, a dokładniej na osiedle Solsidan (czyli Słoneczny brzeg), w celu... rozbudzenia nienawiści klasowej. Solsidan stało się symbolem bogactwa i luksusu dzięki popularności świetnego serialu komediowego o życiu wyższych klas szwedzkich pod tym samym tytułem.

W XIX wieku Saltstjöbaden było miejscowością letniskową. To tu przeprowadzali się na wakacje szwedzcy arystokraci i reprezentanci wyższych sfer. Zimą wracali na Östermalm. Także dziś miejsce to jest uważane za siedlisko wyższych klas, tyle że mieszka się w nim raczej przez cały rok. Początek Saltsjöbaden dał reprezentant finansjery

sztokholmskiej Knut Wallenberg, który w roku 1889 zakupił ziemię pod miastem z myślą o wybudowaniu miejscowości wypoczynkowej z nowoczesnym kąpieliskiem.

Knut był synem bogatego bankiera André Oscara Wallenberga, a jego historia rodzinna stanowi dowód na to, że także w XIX wieku Szwecja nie należała do najbardziej purytańskich krajów świata. Urodził się w 1853 roku z pozamałżeńskiego związku. W księgach kościelnych przy dacie jego urodzin wpisano „ojciec nieznany”. Matka Knuta, Mina Andersson, pracowała jako sprzątaczką na statku, na którym jego ojciec był przez jakiś czas kapitanem (jako syn zamożnych arystokratów uczył się w ten sposób życia, potem założył Stockholms Enskilda Bank). Po jakimś czasie André ożenił się z Miną i mieli jeszcze troje dzieci. Kiedy matka Knuta zmarła w gorączce połogowej po narodzinach ostatniego z synów, dziećmi zmarłej zajęła się jej siostra Lovisa, z którą André spłodził dwóch kolejnych potomków. Para nigdy nie wzięła ślubu, za to André po jakimś czasie wstąpił w związek małżeński z arystokratką Anną von Sydow, z którą miał jeszcze... czternaścioro dzieci.



Widok na zatokę i Grand Hotel w Saltsjöbaden.

W tak wielkiej rodzinie nie było zbyt dużo czasu i uwagi dla jednostek. Knut większą część swojego dzieciństwa spędził w zagranicznych szkołach z internatem. Potem jako świetnie wykształcony i znający języki reprezentant jednej z najlepszych rodzin w Sztokholmie (nazwisko Wallenberg do dziś ma tu podobny wydźwięk jak Rockefeller) trafił na szczyty władzy. W latach 1914–1917 był nawet ministrem spraw zagranicznych. Nie znosił tego zajęcia. W końcu poszedł w ślady ojca i zajął się prowadzeniem rodzinnego banku. Z żoną Alice Nickelsen, której ponoć słuchał we wszystkim, nie miał dzieci (trauma nadmiaru rodzeństwa?). Prawdopodobnie dlatego nie odkładał pieniędzy dla potomstwa, ale zaczął inwestować duże sumy w rozwój miasta i okolicy. To dzięki jego wsparciu zbudowano między innymi Operę Sztokholmską i Wyższą Szkołę Handlową.



Drewniane domki w Bromma osiągnęły niebotyczne ceny, bo znajdują się nie tylko w prestiżowej dzielnicy, ale także na świetnym osiedlu Olovslund.



Ukochanym „dzieckiem” Knuta było Saltsjöbaden. Wiele zainwestował w jego rozwój. To z jego inicjatywy zbudowano do dziś działający monumentalny Grand Hotel, a także bardzo interesujący architektonicznie kościół Objawienia Pańskiego. Zaprojektował go Ferdinand Boberg, architekt, który między innymi jest twórcą siedziby szwedzkiego rządu, Rosenbad. Kościół jest przykładem niemal idealnie czystej secesji i Boberg był z niego tak dumny, że uważał go za swoje najważniejsze dzieło. Nie wszyscy współcześni się z nim zgadzali, kolega po fachu Carl Westman stwierdził nawet, że „to nie kościół, ale remiza strażacka”. Jednak dziś Uppenbarelsekyrka cieszy oko. Warto tu zajrzeć także podczas protestanckiego nabożeństwa, bo wtedy można natrafić na kobietę pastora.

Dla turysty Saltsjöbaden to wspaniałe tereny spacerowe, przepiękna marina (i jeden z lepszych portów dla prywatnych żaglówek na całym Archipelagu Sztokholmskim), dobre restauracje oraz stylowe, zbudowane w 1900 roku kąpielisko Saltsjöbadens Friluftsbad.

Jeśli polubisz błądzenie pomiędzy drewnianymi willami, okolice Sztokholmu staną się dla Ciebie rajem możliwości. Warto wybrać się na przykład do Bromma, zwłaszcza na malownicze osiedla Äppelviken i Olovslund. Pięknym miejscem jest Storängen w Nacka, gdzie większość prawdziwie spektakularnych willi zbudowano na początku XX wieku. Projektowali je znamienici architekci epoki noszący imiona jak ze skandynawskich sag: Ragnar Östberg, Ivar Callmander. W Storängen dominuje styl narodowego romantyzmu, czyli „patriotyczna” forma secesji.

Polecam też zajrzeć do Gamla Enskede, pierwszej sztokholmskiej dzielnicy-ogrodu, której budowę sfinansowało miasto, a nie prywatni inwestorzy. Takich dzielnic jest więcej, bo w Szwecji obok kultu życia w centrum miasta równie silne jest przekonanie, że każdemu człowiekowi należy się dom i kawałek ogródka.

V.

Najciekawsze muzea i galerie
i ich opowieści o Szwecji



Jeden z aniołów z brązu w fontannie Świętego Marcina. Oryginał tego ostatniego dzieła Carla Millesa znajduje się w Kansas City, jego replika w Millesgården.

Napisałam to już kilka razy, ale pozwolę sobie powtórzyć jeszcze raz: to nie jest zwykły przewodnik po Sztokholmie. Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy to w ogóle jest przewodnik. Jeśli tak, to nie dla typowego turysty. Z tej przyczyny nie znajdziesz tu informacji o wszystkich sztokholmskich muzeach. A już na pewno nie o rzeczywiście wspaniałym i wartym odwiedzenia Vasa museet (Muzeum Vasa). Uważam, że napisano o nim już tak wiele, że... wystarczy. Poza tym kiedy się do niego wybierzesz, znajdziesz przy wejściu broszury informacyjne w licznych językach, także po polsku.

Podobny los spotka z mojej strony Junibacken (Muzeum Astrid Lindgren). Powody są dwa. Po pierwsze – jeśli masz małe dzieci, to i tak do tego cudnego muzeum dotrzesz. Wszystkie dzieci kochają książki Lindgren, a o muzeum, w którym aż roi się od ich bohaterów, można przeczytać w każdym przewodniku. Po drugie – jako mama dorosłego syna nie czuję się już ekspertką od kultury dziecięcej.

Opowiem za to o tych muzeach i galeriach, które nie tylko należy zwiedzić, bo są niesamowicie ciekawe (choć nie zawsze dobrze znane), ale których odwiedzenie staje się także pretekstem do przyjrzenia się różnym szwedzkim tajemnicom – zarówno tym dawnym, jak i współczesnym.



Millesgården. *Ręka Boga* to jedna z najstynniejszych rzeźb Carla Millesa.

Millesgården (Ogród Millesa)

Pierwszy zachwyty

Gdybym miała wskazać jedno muzeum w Sztokholmie, którego nie wolno przegapić, nawet jeśli przyjeżdża się tu na bardzo krótko, wybrałabym Millesgården, czyli muzeum Carla Millesa na położonej blisko centrum miasta wyspie Lidingö. W zwykłych przewodnikach na ogół nie zajmuje ono pierwszego miejsca, ale macie w rękach bedeker autorski, więc obowiązują tu inne zasady. W ten sposób czynię zadość chronologii mojego sztokholmskiego życia, bo Millesgården to jedno z moich pierwszych odkryć i zachwyty. Przyjeżdżałam tu na spacer z małym Danielem, bo uważałam, że rzeźby Millesa pobudzają dziecięcą

wyobraźnię. Mam kilka zdjęć, na których mój siedzący w wózku syn zadziera głowę, przyglądając się aniołom umieszczonym na strzelających w niebo kolumnach lub przejmującej *Ręce Boga*, rzeźbie przedstawiającej maleńkiego człowieka balansującego na wielkiej dłoni Stwórcy.

Carl Milles (1875–1955) był jednym z najslynniejszych szwedzkich rzeźbiarzy, uczniem Augusta Rodina. Zasłynął jako twórca monumentalnych rzeźb i fontann, które można oglądać nie tylko w Szwecji, ale także w Stanach Zjednoczonych. Milles spędził tam niemal dwadzieścia lat wraz ze swoją austriacką żoną Olgą (z domu Granner). Ona także była artystką – malarką. Jedną z przyczyn wyjazdu pary do Stanów była niechęć Olgi do życia w Szwecji. Aż trudno w to uwierzyć, kiedy ogląda się magiczny, stworzony do natychmiastowego pokochania Millesgården – sztokholmski dom artystów, który jeszcze za życia uczynili muzeum i podarowali państwu. Trudno dziś stwierdzić, czy zrobili to dlatego, że nie mieli dzieci i chcieli podzielić się tym, co posiadali najlepszego, ze społeczeństwem, czy był to może przemyślany krok Carla w drodze do nieśmiertelności.



Z ogrodu rzeźb Millesa widać port Värtahamnen.

Milles był artystą bardzo świadomym znaczenia autopromocji. Gdyby żył dziś, z pewnością brylowałby na Instagramie. Ponieważ jednak żył w świecie bez mediów społecznościowych, postawił na coś trwalszego i sam za życia zbudował sobie pomnik. Potem dopilnował, żeby pieczę nad nim przejęło państwo, w którego niezawodność wierzą wszyscy Szwedzi.

Carl i Olga kupili ziemię, na której miał stanąć ich dom, w 1906 roku, po powrocie z kilkuletniego pobytu w Monachium i Paryżu. Początkowo Carl zaprosił do współpracy przy tworzeniu tego miejsca jednego z najwybitniejszych architektów epoki, Ferdinanda Boberga (tego od projektu kościoła Objawienia Pańskiego w Saltsjöbaden oraz siedziby szwedzkiego rządu). Podobno rzeźbiarz miał jednak tak wiele krytycznych uwag względem wizji Boberga, że współpraca nie doszła do skutku. Dom, utrzymany w stylu narodowego romantyzmu,

zaprojektował ostatecznie Karl M. Bengtson, kolega Millesa z artystycznych studiów w Niemczech.

Milles był nie tylko wyjątkowo pracowitym i produktywnym rzeźbiarzem, ale także kolekcjonerem sztuki. Podobnie jak August Rodin inspirował się antykiem, więc w jego zbiorach znalazło się przeszło 200 antycznych rzeźb. To największa taka kolekcja w Skandynawii i wygląda na to, że Milles dość wcześnie wiedział, że ją stworzy, bo w projekcie domu na Lidingö poza wnętrzami mieszkalnymi znalazły się także galerie i kilka atelier. Największe z nich, *Large Studio*, zostało zaprojektowane na wzór atelier Rodina w jego willi we francuskim Meudon.

We wnętrzach Millesgården można podziwiać rzeźby Millesa, obrazy Olgi Milles i ich wielką kolekcję sztuki, która wypełnia trzy piąte powierzchni muzeum. Jednak największą atrakcją tego miejsca stanowi ogród rzeźb Millesa z widokiem na morze i port Värtahamnen. Wykute w stromym zboczu tarasy, na których są eksponowane dzieła, sprawiają wrażenie zawieszonych pomiędzy dziwnie bliskim niebem a stykającym się z nim morzem. To spektakularna artystyczna instalacja, w której dzieło człowieka idealnie współgra z dramatycznym krajobrazem.

W ogrodzie zebrano wszystkie najsłynniejsze rzeźby artysty. Było to możliwe dzięki temu, że często wykonywał je w kilku kopiach. Tworzył w brązie, co wymagało przygotowywania gipsowych modeli, a to z kolei ułatwiało powielanie dzieł. Wspomniana już *Ręka Boga* została pierwotnie wykonana dla podsztokholmskiej Eskilstuny, ale dziś można ją zobaczyć w kilku miejscach na świecie.

W ogrodzie rzeźb najwięcej jest postaci mitologicznych i aniołów, które były jednym z ulubionych motywów rzeźbiarza. Wśród grup rzeźb i fontann zaprojektowanych po 1940 roku właściwie nie ma takich, w których nie pojawiłaby się jakaś uskrzydłona postać. Anioły Millesa bywają bardzo ludzkie: grają na instrumentach, jeżdżą na łyżwach, drapią się po nogach... Znamcy jego twórczości uważają, że rzeźbą najlepiej tłumaczącą artystyczną wizję Millesa jest *Astronom*. To postać

nagiego, zapatrzonego w niebo mężczyzny z brązu, który w jednej ręce trzyma dwa kompas, a w drugiej dwunastościan, przyrząd geometryczny, który według Platona miał symbolizować kosmos. Milles przez całe życie fascynował się astronomią i miała ona wpływ na jego wizję egzystencjalnej kondycji człowieka. Millesgården to miejsce, w którym też zaczynasz się nad nią zastanawiać, a przy okazji jedno z tych, których uroku i rozmachu nie oddadzą słowa. Po prostu trzeba tu przyjść i zobaczyć je na własne oczy.



Posejdon – Milles pracowała nad tą rzeźbą przez pięć lat (1925–1930). Jego potężny bóg mórz trzyma w jednej ręce rybę, a w drugiej muszlę. Włosy Posejdona także mają kształt muszli.

Patriarcha kulturalny

Zachwyty zachwyty, ale Millesgården to także muzeum, w którym jak w soczewce odbijają się niewidoczne dla wpatrzonych w kolorowe foldery turystów ciemniejsze nurty szwedzkiej kultury. To temat, który

zawsze mnie interesował, a ponieważ jesteś turystą wnikliwym, zasługujesz na to, żeby wiedzieć więcej. Nie musisz niczego oceniać, wystarczy, że zasieję w tobie ziarno niepokoju.

W Millesgården da się zauważyć, że rację ma szwedzka literaturoznawczyni Ebba Witt-Brattström, kiedy podkreśla, że w tutejszym świecie kultury zawsze rządzą mężczyźni. Zazwyczaj dość narcystyczni. Brattström nazywa ich patriarchami kulturalnymi i przekonuje, że tkwią niezmiennie na swoich piedestałach także dlatego, że ich wyeksponowanych miejsc bronią kobiety. Żony, kochanki, córki i współpracownicy: oddane, pełne podziwu, wspierające swoich wybrańców, często niesolidarne z innymi kobietami, a przede wszystkim umniejszające swoje własne osiągnięcia. Są jak wpatrzone w tatusia grzeczne córeczki.

„Pod wieloma względami świat kultury przypomina dysfunkcyjną rodzinę, która bardzo potrzebuje terapii. Pierwszy środek zaradczy: przestańcie cackać się z tatą i lekceważyc mamę. Drugi: sprawdźcie, co działała mama w czasie, gdy tata chełpił się sobą” – pisze Witt-Brattström w książce *Kulturmannen och andra texter* (Patriarcha kulturalny i inne teksty)^[17].

Co działała Olga Milles, kiedy Carl chełpił się sobą? Wygląda na to, że tych dwoje nie było artystyczną *power couple* swoich czasów i raczej trudno w ich przypadku mówić o twórczej równości. Carl Milles był człowiekiem skupionym na sobie i swojej pracy, obdarzonym ogromną wiarą we własny geniusz. Niby dawał żonie czas i przestrzeń na jej własną twórczość, ale przy okazji umiejętnie spychał ją w cień. A być może to ona sama się tam chowała, zakochana w Wielkim Człowieku, oddana pieczołowitej trosce o jego zdrowie i sukcesy. Jak dokładnie to wyglądało, nie wie dzisiaj nikt, ale zwiedzając dom Millesów, łatwo przeoczyć atelier Olgi i eksponowane tam obrazy. Jeśli jednak przyjrzeć się im uważnie, można się przekonać, że Olga Milles miała duży talent. Nie do końca jednak wykorzystany. Dlaczego? Bo podobnie jak siostra Carla – Ruth Milles, która poszła w ślady brata i została rzeźbiarką, Olga

uważała, że prawdziwym artystą jest Carl, a ona tylko bawi się w sztukę. Dla współczesnych kobiet pouczającą lekturą mogą być listy Olgi i Ruth. Te dwie utalentowane i nietuzinkowe kobiety nigdy nie pisały do siebie o swojej pracy, osiągnięciach albo potrzebie rozwoju. Ich korespondencyjny czas wypełniał wyłącznie ON, szanowny i wybitny mąż i brat. Informowały się wzajemnie o tym, jak Carl się czuje, czy aby coś mu nie doskwiera, a przede wszystkim pisały o tym, co ważnego wydarzyło się w jego twórczym życiu. Cóż, w związku z patriarchatą kulturalnym jest miejsce tylko na jednego geniusza. Warto dodać, że ów geniusz niekoniecznie musi mieć patent na rozumienie otaczającego go świata. Zwłaszcza jeśli chodzi o politykę...

Więcej ciemności

Wielu miłośników współczesnej Szwecji dało się uwieść opowieściom specjalistów od promocji marki narodowej o szwedzkim humanitaryzmie i nieustającej trosce o losy świata. Szwecja kojarzy się powszechnie z pomocą uchodźcom, z ratującym węgierskich Żydów Raoulem Wallenbergiem i z białymi autobusami wiozącymi na bezpieczną północ ocalonych z Holokaustu. Uwierzylimy, że mamy do czynienia być może z jedynym na świecie krajem o w pełni jasnej przeszłości. Krajem, który od prawie trzystu lat nie zaznał wojny i którego kompas moralny prowadził zawsze we właściwą stronę. Niestety Szwecja jest w rzeczywistości krajem zupełnie... normalnym, a każdy normalny kraj ma w swoich szafach poukrywane szkielety. Dlatego po otwarciu drzwi jednego z najpiękniejszych muzeów świata może się okazać, że znajdziesz tam nie tylko anioły na kolumnach, ale także zepchnięte w kąt wspomnienia o mało chlubnych poglądach ich twórcy.

Zacznijmy od początku. O Szwecji mówi się, że w czasie drugiej wojny światowej była neutralna, ale prawda jest taka, że aż do 1943 roku sprzyjała Hitlerowi i czyniła na rzecz III Rzeszy różne ustępstwa.

Przykładowo rząd szwedzki wyraził zgodę na to, by przez teren kraju przejeżdżały uzbrojone niemieckie wojska. Mówiąc o szwedzkiej uległości względem nazistów, warto jednak pamiętać o historycznym i kulturowym kontekście tej postawy. Nie po to, by ją usprawiedliwić, ale żeby zrozumieć jej uwarunkowania. Społeczeństwo szwedzkie, o czym mówią liczni jego znawcy, łatwo i szybko ulega modom, a przed wojną panowała tu moda na kulturę niemiecką. Dobrze wykształceni Szwedzi mówili świetnie po niemiecku (podobnie jak dziś doskonale mówią po angielsku). Chętnie też jeździli na studia do Berlina czy Monachium. Poza tym kraj panicznie bał się bolszewickiej Rosji i wierzono, że tylko Hitler może powstrzymać Stalina.



Promy, które widać z tarasów Millesgården, płyną najczęściej do Helsinek.

Carl Milles był wybitnym artystą, a ponadto typowym reprezentantem swojej epoki. Nie tylko jako patriarcha kulturalny, ale także jako wieloletni apologeta faszyzmu i nazizmu. Historyczka Eva Nodin, autorka książki o ideologicznych fascynacjach Millesa *Tusen möjligheter*

rike (Królestwo tysiąca możliwości), opisuje, jak w 1922 roku podczas pobytu we Florencji rzeźbiarz zachwyił się paradami faszystów. Mussoliniego podziwiał potem przez całe lata. W 1933 roku pisał o nim w jednym z listów, że „to jedyny polityk, który ma szczęście posiadać nie tylko głowę, ale i serce, a poza tym jest wybitnym filozofem”.

Millesowi, zapatrzonemu w klasycyzm z jego umiłowaniem harmonii i ładu, spodobał się też Adolf Hitler „wprowadzający porządkę” w Niemczech. Widział w nim świetnego mówcę, mędrca, a nawet... gwaranta pokoju w Europie. W nazizmie zachwycało go z początku wszystko: elitaryzm, nienawiść do komunizmu, tendencje moralizatorskie i kult silnej jednostki. Antysemityzm także. Pisał o tym do przyjaciół i do żony, Austriaczki, którą zwykł w listach pozdrawiać słowami *Heil Hilter*. Bardzo długo nie wierzył w to, co pisała o Führerze krytyczna prasa. W końcu uwierzył, ale nigdy się ze swoimi nazistowskimi fascynacjami nie rozliczył, chociaż Nodin doszukała się w jego korespondencji listów, w których wyrażał wątpliwości. Na przykład w 1933 roku pisał do Venera von Heidenstama, że prześladowania Żydów w Niemczech przyjmują „chore formy”.

Po wojnie obok wielkiej willi Carla i Olgi powstał mniejszy dom dla ich ukochanej służącej Anny. Pokoje w nim zostały starannie urządzone. Wstawiono do nich stylowe meble, zawieszono fantazyjne tkaniny, a ściany ozdobiono przepięknymi tapetami – wszystkie te rzeczy zaprojektował Josef Frank. Całość zakupiono w luksusowym sklepie Svenskt tenn na sztokholmskim bulwarze Strandvägen. Josef Frank był Austriakiem, tak jak Olga Milles, ale także Żydem. Do Szwecji przyjechał nie z powodu miłości, ale uciekając przed antysemityzmem. Czy urządzenie wnętrza sprzętami i tkaninami zaprojektowanymi przez żydowskiego uchodźcę było ze strony Carla Millesa wyrazem przyznania się do błędu, czy jedynie uznaniem dla artysty tej samej co on klasy?



Z Nacka Strand można popłynąć na Djurgården i przy okazji zobaczyć fontannę Carla Millesa *Bóg Ojciec na niebiańskiej tęczy*.

Odkąd dowiedziałam się o ciemnych tajemnicach Carla Millesa, zdarza mi się nad tym zastanawiać, kiedy odwiedzam Millesgården. Nadal uwielbiam to miejsce, choć nie jestem pewna, czy podobałby mi się człowiek, które je stworzył. Mimo że jego fascynacja nazizmem nie była w Szwecji niczym wyjątkowym. Wśród znanych Szwedów, którzy w młodości żyli silną sympatią do nazizmu, można wymienić reżysera wszech czasów Ingmara Bergmana i założyciela sieci Ikea Ingvara Kamprada.

Wracając do Millesa – jego rzeźby można zobaczyć w kilku innych miejscach w Sztokholmie. Na przykład przed filharmonią, czyli Konserthuset na Hötorget (tego budynku nie da się przegapić ze względu na jego błękitny kolor), znajduje się Orfeusfontänen (Fontanna Orfeusza), a w Nacka Strand koło przystani promów pływających na

Djurgården i Lidingö można zobaczyć fontannę Gud Fader på Himmelsbågen (Bóg Ojciec na niebiańskiej tęczy).

www.millesgarden.se

Carl Eldhs Ateljémuseum (Muzeum Atelier Carla Eldha)

W przeciwieństwie do bardzo znanego Millesgården, do którego co roku trafiają tłumy, atelier innego rzeźbiarza, Carla Eldha (1873–1954), jest chyba najgorzej wypromowanym muzeum w całym mieście. Szczerze mówiąc, wybrałam się do niego dopiero wtedy, gdy zaczęłam pisać tę książkę, zaintrygowana pięknymi zdjęciami z wnętrza, które wrzucił na Instagram daleki znajomy.

Muzeum Eldha znajduje się na wzgórzu w parku Bellevue, niedaleko placu Odenplan i w pobliżu uniwersytetu. Położone jest centralnie, ale przy tym jest też trochę schowane, niby w mieście, ale jakoś z boku. Żeby tu trafić, trzeba przez chwilę błędzić z GPS-em, a potem trudno uwierzyć, że tyle razy było się w okolicy, nie wiedząc o istnieniu tego niezwykłego miejsca.

Muzeum nie znajduje się pod opieką hojnego dla kultury państwa szwedzkiego, ale rodzinnej fundacji. Ma dziwne godziny otwarcia, nie jest też czynne przez cały rok, bo w środku nie ma ogrzewania, które poradziłoby sobie z tutejszym mrozem. Jest nieduże. Żeby je obejrzeć, trzeba czekać na oprowadzającego po atelier (co pół godziny) przewodnika. Ale przy tym wszystkim jest... olśniewające! To jedno z takich miejsc, do których tęsknisz. Do których zawsze chcesz i będziesz wracać.



Drewniany dom artysty zaprojektował Ragnar Östberg (ten sam, który stworzył projekt sztokholmskiego Stadshuset).



Drewniany dom z ogrodem, w którym znajduje się atelier rzeźbiarza z wielką kolekcją jego prac, zaprojektował sam Ragnar Östberg. Innym dziełem tego architekta jest jeden z najbardziej spektakularnych sztokholmskich budynków – Stockholms stadshus (ratusz miejski), w którym odbywają się przyjęcia noblowskie. Östberg i Eldh byli przyjaciółmi. W podziękę za projekt atelier Eldh wykonał kilka rzeźb, które znajdują się dziś przed ratuszem.

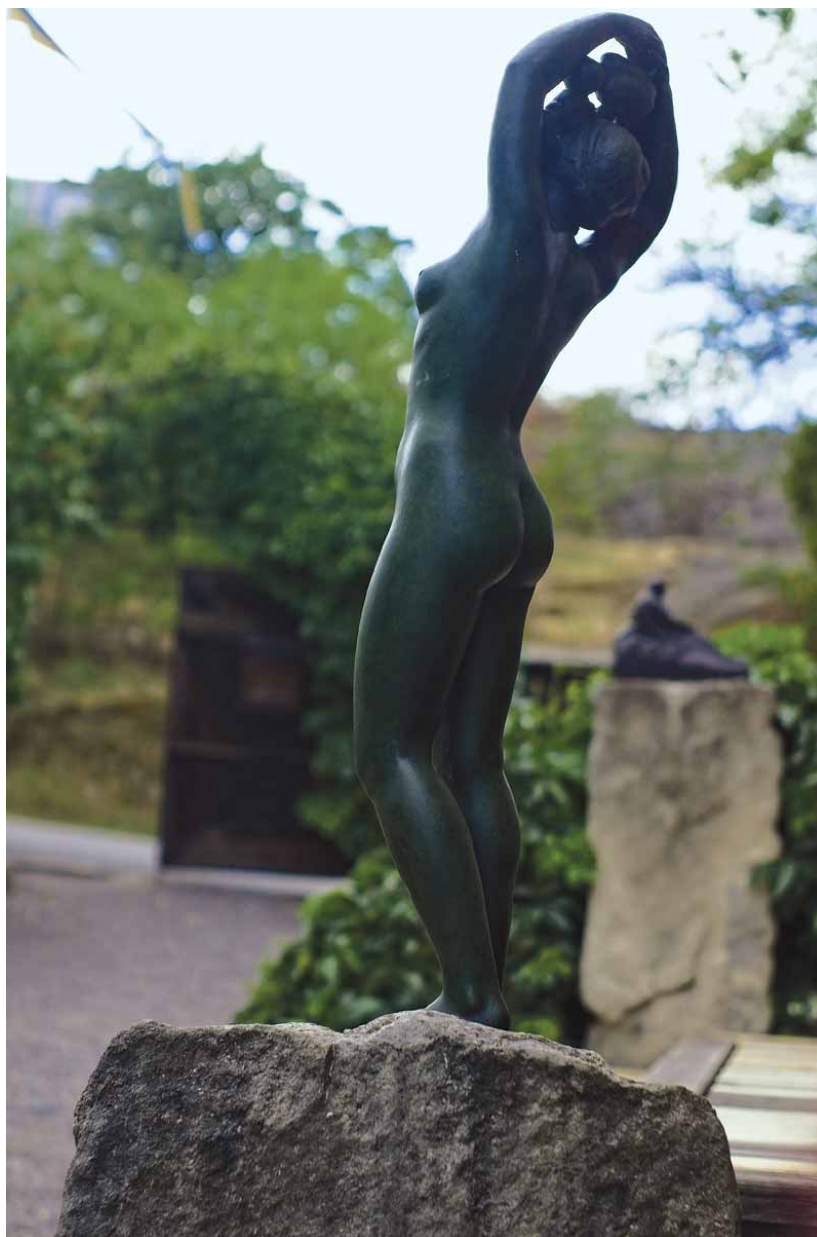
W ogrodzie muzeum Eldha gości witają wspaniałe rododendrony, krzaki róż, ogród ziołowy, sadzawka oraz poukrywane wśród zieleni rzeźby. Sam Eldh o ogród nie dbał, za to często w nim tworzył. Był tytanem pracy, żył sztuką i dla sztuki. Uchodził za jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy epoki. Stworzył pomnik swojego przyjaciela Augusta Strindberga, o którym do dziś mówi się, że to „najlepsza podobizna w historii szwedzkiej sztuki”. W wersji z brązu można go podziwiać w sztokholmskim Tegnérslund, w atelier znajduje się gipsowy odlew. Eldh jest zresztą autorem kilku rzeźb Strindberga, jedną z nich ustawiono w pobliżu muzeum.

Wydawać się może, że Carl Eldh i Carl Milles mieli ze sobą wiele wspólnego. Byli niemal rówieśnikami – Eldh był od Millesa dwa lata starszy. Rok wcześniej umarł. Mieli tych samych mistrzów: Milles studiował u Augusta Rodina, Eldh go podziwiał. W ich rzeźbach widać wpływy francuskie i szacunek dla klasycystycznej harmonii, choć u Eldha wyraźne są też wpływy impresjonizmu. Jednak poza tym Millesa i Eldha dzieliło wszystko. Milles pochodził z zamożnej rodziny, od wczesnej młodości miał kontakty i możliwości oraz wyprzedzający epokę talent do autopromocji. O jego karierę i zdrowie dbali najbliżsi, zwłaszcza żona. Eldh był natomiast samotnym wilkiem. Wywodził się z biednej rodziny. W wieku 12 lat przestał uczęszczać do szkoły, żeby pomagać rodzicom w gospodarstwie, potem sam uczył w wiejskiej podstawówce. Jego droga do sztuki prowadziła przez długie lata wyrzeczeń i rzemieślniczych praktyk – najpierw u stolarzy, potem u producentów ornamentów. Kiedy chodził na zajęcia rysunku

w Uppsali, nocami dorabiał, rzeźbiąc nóżki do trumien. W 1897 roku wyjechał do Paryża i przez siedem lat żył w biedzie na Montparnassie. Pobyt we Francji zakończył się jednak wielkim sukcesem – złotym medalem na Salonie paryskim w 1902 roku za dwie rzeźby: *Smutek matki* i *Linnea*.



W ogrodzie muzeum zebrano wiele rzeźb artysty. W czerwcu kwitną tu rododendrony, potem zakwitają róże.



Po powrocie do Sztokholmu Eldh miał już wyrobione nazwisko, więc posypały się zamówienia na rzeźby. Był mistrzem rzeźbiarskiego portretu; wykonanie popiersia zlecił mu nawet król Oskar II. Przez kolejne lata artysta wykonał wiele podobizn znanych osobistości szwedzkich, w tym licznych reprezentantów świata kultury. Dzięki temu zaczął zarabiać pieniądze, może nie od razu wielkie, ale pozwalające na godne życie. Ożenił się z dużo młodszą Elsie Persson, urodziła im się córka Brita, a kiedy miał 46 lat, zaczął pracować we

własnym atelier. Było to spełnienie jego marzeń. Nieczęsto z owego atelier wychodził, co prawdopodobnie przyczyniło się do rozpadu rodziny. W 1921 roku żona z czternastoletnią córką pojechały odwiedzić krewnych w Kalifornii i nigdy już do Szwecji nie wróciły na stałe. Dopiero po przeszło trzydziestu latach przyjechały do Sztokholmu na pogrzeb męża i ojca. I to one, już po odejściu artysty, zaczęły dbać o ogród wokół atelier. Elsie stworzyła fundację i doprowadziła do przekształcenia atelier Carla Eldha w muzeum.





W pełnych światła wnętrzach atelier panuje wspaniały ścisk. Zgromadzono tu ponad 400 rzeźb artysty.

Niewiele tu się zmieniło od czasu jego śmierci. W dwóch pomieszczeniach zgromadzonych jest ponad czterysta rzeźb: gipsowe odlewy, studia portretu, marmurowe oryginały. W naturalnym świetle wpadającym przez duże okna robią one ogromne wrażenie. Trudno to opisać. I właściwie nie należy. Po prostu trzeba to miejsce zobaczyć. Mam poczucie, że odwiedziny w atelier Carla Eldha są spotkaniem z prawdziwym artystą. Świat bywa dla takich ludzi niesprawiedliwy, bo zajęci pracą, nie mają czasu na zabieganie o aplauz, ale to, co po nich pozostaje, porusza do głębi. Dlatego wyżej dziś cenię Eldha od Millesa.

www.eldhsatelje.se

Fotografiska (Muzeum Fotografii)

Takiego muzeum jeszcze nie było

W ostatnich latach chyba nikt tak bardzo nie zadziwił hermetycznego świata pracowników sztokholmskich galerii i muzeów, jak bracia Jan i Per Bromanowie. A dokładniej było tak: najpierw wszystkich zirytowali, a potem powalili na kolana. I to w rekordowo krótkim czasie. Po mistrzowsku.

Kiedy w 2010 roku otworzyli w Sztokholmie wielkie prywatne muzeum fotografii, w świecie kultury zawrzało. Plotkowano, że Fotografiska to projekt czysto komercyjny, że Jan i Per nie są prawdziwymi znawcami tematu, im się nie uda, bo nie ma prawa się udać. Wszak na pokazywaniu sztuki nie da się zarabiać pieniędzy, a jeśli już, to na pewno kosztem jakości. Na szczęście, wbrew opiniom wątpiących oraz snobów, wyszło na to, że bracia Bromanowie znają się na rzeczy. W krótkim czasie Fotografiska stało się jednym z najczęściej odwiedzanych i najwyżej cenionych muzeów w Sztokholmie. Ponadto stanowi fenomen na światową skalę, czego dowodem jest fakt, że już wkrótce Bromanowie otworzą kolejne muzea fotografii w Nowym Jorku i w Londynie. W dalszych planach mają ekspansję na kolejne kraje i kontynenty (miejmy nadzieję, że przyjdzie czas i na Warszawę).

Fotografiska to jedyne muzeum w Sztokholmie, a może i na świecie, które jest czynne nie tylko codziennie (z wyłączeniem krótkich przerw na Boże Narodzenie oraz Midsommar, czyli odpowiednik naszej nocy świętojańskiej), ale też w zupełnie niestandardowych godzinach. Od niedzieli do środy można tu oglądać wystawy od dziewiątej do dwudziestej trzeciej, a od czwartku do soboty – od dziewiątej rano do pierwszej w nocy! Między innymi dlatego odwiedza je rocznie pół miliona osób.

Podczas jednego pobytu można tu zobaczyć kilka na ogół świetnych wystaw: zdjęcia zarówno największych twórców, takich jak Annie Leibovitz, Helmut Newton czy David LaChapelle, jak i wschodzących gwiazd fotografii.

Wizja Bromanów idzie jeszcze dalej. Ich celem jest promocja szwedzkiej fotografii na świecie i odwrotnie: międzynarodowej fotografii w Szwecji. Wspierają młodych i obiecujących fotografów, dla których organizowane są tu kursy, konkursy i stypendia. Angażują się w debatę społeczną i w politykę. W muzeum działa też doskonała restauracja z modnym dziś ekologicznym *conscious cuisine*, która w roku 2017 została wybrana najlepszą restauracją muzealną na świecie (*sic!*). Jej szefem jest szwedzki kucharz – gwiazdor telewizyjnych programów kulinarnych – Paul Svensson.

Polski trop

Pewnego razu, gdy odwiedzałam Fotografiska, ku swojemu zdumieniu odkryłam, że kuratorką wystawy, która zrobiła na mnie duże wrażenie, jest Polka, Wiktoria Michałkiewicz. W dodatku Polka, którą znam, bo kiedy byłam dyrektorką Instytutu Polskiego w Sztokholmie, Wiktoria, wtedy jeszcze studentka, odbywała u nas praktyki. Właściwie nie powinnam się dziwić, bo mówimy o osobie doskonale posługującej się językiem szwedzkim, świetnie wykształconej, znającej się na fotografii i posiadającej ten rodzaj energii, której potrzeba w prężnych instytucjach kultury. Należy przy tym podkreślić, że przypadek Wiktorii jest niezwykle, ponieważ świat szwedzkiej kultury nie należy do najbardziej otwartych. Jest w tym zresztą bolesny paradoks – wszak pracownicy i szefowie instytucji kultury mają zazwyczaj bardzo lewicowe poglądy, są zwolennikami otwartych granic, wielokulturowości i sami często pracowali za granicą, a mimo to ich świat jest homogeniczny. Jeśli chce się w Szwecji doświadczyć wielokulturowości w pracy, należy udać się do... szpitala. W służbie

zdrowia pracuje cały świat. Natomiast w szwedzkich centrach sztuki, teatrach i muzeach zazwyczaj nie uświadczysz innego akcentu niż czysto szwedzki, chyba że będzie to jakiś charakterystyczny dialekt regionalny, z Gotlandii czy z Göteborga. Można by pewnie długo się zastanawiać, co jest tego przyczyną. Pomyślałam jednak, że zamiast dywagowania, czy chodzi o wysokie wymagania językowe, hipokryzję, czy może o to, że ciekawą pracę w Szwecji najłatwiej znaleźć przez kontakty, powinnam porozmawiać z osobą, która była w stanie przebić się przez ów nie szklany, ale wręcz betonowy sufit. To opowieść z gatunku inspirujących, zwłaszcza dla młodych ludzi, nie tylko tych, którzy chcą zrobić karierę za granicą.



Budynek Fotografiska (to jedyne muzeum w Sztokholmie, które można zwiedzać aż do pierwszej w nocy!).

ZAGADAĆ DO SZWEDÓW

rozmowa z **Wiktoria Michałkiewicz**, kuratorką muzeum Fotografiska (jedyną nie-Szwedką w zespole)

Od jak dawna mieszkasz w Sztokholmie?

Trudno jednoznacznie powiedzieć, bo przeprowadzałam się tu dwukrotnie. Po raz pierwszy w 2010 roku, kiedy przyjechałam na studia magisterskie. To była antropologia społeczna na Uniwersytecie w Sztokholmie. Byłam już po filologii szwedzkiej i po kulturoznawstwie. Sztokholm był dla mnie spełnieniem marzeń.

Dlaczego właśnie Sztokholm?

Miałam zawsze przecucie, że to jest miasto dla mnie. A staram się podążać za intuicją. Wcześniej też poczułam, że muszę się nauczyć szwedzkiego, nie wiem dlaczego, ale wiedziałam, że powinnam. W trakcie studiów na filologii szwedzkiej w mojej głowie powstała trochę wyidealizowana wizja Szwecji jako miejsca otwartego i przyjaznego wszystkim ludziom. Uwielbiałam melodię języka szwedzkiego, literaturę szwedzką. Ponieważ Sztokholm ma reputację jednego z najpiękniejszych miast na świecie, naturalne było, że chciałam tu mieszkać. Kiedy się tu przenieśliśmy, właśnie otwarto Fotografiska i to muzeum szybko stało się jednym z moich ulubionych miejsc w Sztokholmie. Wtedy prowadziłam życie studenckie i nie myślałam o pracy z fotografią. Nie wszystko było łatwe, o czym jeszcze opowiem, ale Sztokholm dawał mi wiele momentów zachwytu. Wiesz, takie zwykłe obrazki, na przykład tatusiowie, którzy spędzają czas ze swoimi małymi dziećmi w kawiarniach. Podobało mi się, że ludzie są jacyś bardziej zrelaksowani niż w Polsce, ładniej ubrani. To miasto fascynuje mnie estetycznie. Myślę, że mój podziw łączył się z marzeniem, żeby stać się jedną z tych osób.

I dość szybko zaczęłaś pracować?

Tak. Dla dziennikarza Folkego Rydén, nagradzanego dokumentalisty. To był czas, w którym interesowałam się filmem dokumentalnym, a zawsze chcę się uczyć od najlepszych.

Pracowałaś na Södermalm...

Blisko Götgatan, która zawsze była moją ulubioną ulicą w Sztokholmie. Sama dzielnica Södermalm słynie z tego, że jest dość hipsterska. Panuje tu fajna atmosfera. W pracy miałam godzinną przerwę na lunch i mogłam się wtedy przejść w stronę starówki, zjeść coś i popatrzeć na tych wszystkich pięknych ludzi, którzy zawsze jedzą o tej samej porze.



Widok na centrum miasta z perspektywy zamrożonego jeziora Mälaren.

W Sztokholmie to rzeczywiście niewyobrażalne, żeby nie zjeść lunchu w południe. Nie ma takiej opcji. Jakie jeszcze lubiłaś miejsca na Söder?

Bywałam też na Mosebacke torg, gdzie jest Instytut Polski. Tam też są zapierające dech w piersiach widoki na miasto. W ogóle w Sztokholmie często przeżywasz zachwyty, bo gdziekolwiek się ruszysz, widzisz coś pięknego.

Na początku czułam przede wszystkim oszołomienie tym miastem. Jego urodą. Potem zaczęłam patrzeć na Szwecję i Sztokholm bardziej krytycznie. Zwłaszcza że pisałam pracę magisterską na temat szwedzkiego nacjonalizmu. To zresztą temat, którym zajmuję się dalej, teraz na studiach doktoranckich z socjologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

No dobrze, to jakie są cienie Szwecji i Sztokholmu, poza tym, że spore poparcie wyborców mają tu nacjonalistyczni Szwedzcy Demokraci?

Przede wszystkim trzeba podkreślić, że Sztokholm zimą i Sztokholm latem to dwa zupełnie inne miasta. Zimą panują ciemności i szarość, to źle wpływa na ludzi.

Sztokholm jest też miastem bardzo podzielonym, posegregowanym. Każda stacja metra to trochę inny świat i nie ma wymiany doświadczeń między ludźmi żyjącymi w tych światach. Tu nie jest tak jak w Londynie, gdzie ludzie mogą mieszkać w kulturowo odmiennych dzielnicach i mieć kontakt z resztą społeczeństwa. W Sztokholmie można go nie mieć.



Mieszkańcy Söder ubierają się w zupełnie innym stylu niż mieszkańcy Östermalm.

Mieszkańcy centrum żywią wiele uprzedzeń względem mieszkańców dzielnic, w których mało jest rodowitych Szwedów.

Kiedy postanowiłam wybrać się do Rinkeby, moi znajomi z centrum miasta mówili: „Nie jedź tam, tam jest niebezpiecznie”. Oczywiście pojechałam i rzeczywiście jest tak, że jak wsiądziesz w niebieską linię metra, to im dalej od centrum, tym w wagonie mniej Szwedów. Do Rinkeby dojeżdżają już tylko osoby, które są imigrantami lub mają imigranckie korzenie. Kiedy

jednak wysiadłam na tamtejszej stacji, miałam bardzo pozytywne wrażenia: jakieś dzieciaki grały w piłkę, było dużo fajnych sklepików, bardzo tanio. Nie spotkały mnie tam żadne nieprzyjemności. Może dlatego, że sama jestem imigrantką, potrafię się wczuć w sytuację mieszkańców tej dzielnicy. Mam wrażenie, że miasto nie wykorzystuje do końca tego potencjału.

To jest jakiś cień wiszący nad Sztokholmem. Być może źródłem problemu jest szwedzki indywidualizm i obecny w relacjach międzyludzkich dystans.

Nie da się też nie zauważyć, że dla Szwedów bliski kontakt oznacza coś innego niż dla Polaków. Tu inaczej zawiera się przyjaźnie, inaczej działa system wsparcia.

Wychowana w podobnej do Szwecji Norwegii siostra mojego męża studiowała w Krakowie. Twierdzi, że jej najlepsze norweskie przyjaciółki nigdy nie rzuciłyby wszystkiego, żeby na dzień przed egzaminem przywieźć jej do domu brakujące notatki. A dla polskich przyjaciółek to było normalne.

Właśnie. W Szwecji trzeba mieć więcej cierpliwości w budowaniu bliskich kontaktów, zwłaszcza w stolicy. To trwa. Dlatego podczas pierwszego roku życia tutaj takich kontaktów szczególnie mi brakowało. Miałam piękny widok na Södermalm z trzynastego piętra biurowca przy placu Medborgarplatsen, gdzie znajdowało się biuro mojego szefa. Widziałam stamtąd legendarną Kvarnen, ulubioną restaurację Mikaela Blomkvista z *Millennium*, i inne kultowe miejsca, ale i tak chciałam wrócić do Polski. I zrobiłam to, jak tylko się obroniłam.

To była dobra decyzja?

Najlepsza, jaką wtedy mogłam podjąć. Po ponad czterech latach za granicą, a siedmiu poza Warszawą, chciałam sprawdzić, co się zmieniło w Polsce i w Warszawie – moim rodzinnym mieście. Wiedziałam też, że chcę kontynuować pracę z fotografią. W Warszawie wiele rzeczy dopiero się

tworzyło, było dużo świetnych, kreatywnych idei. Ludzie byli też otwarci na różnego rodzaju współpracę, chciałam być częścią tej energii. Jednocześnie cały czas miałam kontakt ze Szwecją, przez moją pracę naukową i przez znajomych. Regularnie odwiedzałam Sztokholm i zawsze wpadałam do Fotografiska. W tamtym czasie zaczęłam też pracować przy organizacji festiwalu Nordic Light w Kristiansund w Norwegii.

Czy to był wolontariat? Pytam, bo mam wrażenie, że młodzi ludzie nie zawsze wiedzą, jak wiele takie niepłatne prace mogą dać.

Na początku tak. Pojechałam tam po raz pierwszy w 2011 roku, gdy odkryłam istnienie tego festiwalu na Targach Fotografii w Sztokholmie. Bywałam tam przez wiele lat, zresztą nadal bywam. W Kristiansund poznałam niesamowitych fotografów, pracowałam przy ich wystawach i zdobyłam mnóstwo doświadczeń i wiedzy. Myślę, że moje zainteresowanie tym światem było od początku silnie powiązane z zainteresowaniem ludźmi, którzy pracują z fotografią. Wielu z nich robi naprawdę niesamowite rzeczy.

Jak rozumiem, na Nordic Light poznałaś też braci Bromanów ze Sztokholmu? Twoja przygoda z Fotografiska w Sztokholmie zaczęła się więc na poważnie w Norwegii.

Wierzę, że tak właśnie miało być. Jak już wiesz, Fotografiska było od początku moim ulubionym miejscem w Sztokholmie. Zresztą i tu pracowałam jako wolontariuszka podczas Tygodnia Fotografii w 2011 roku.



Światła w Sztokholmie w zimowy słoneczny dzień nie da się porównać z niczym innym.
Naprawdę czuć wtedy, że jesteśmy na północy.

Na festiwalu Nordic Light bracia Bromanowie pojawili się chyba w 2014 roku. Rozumiesz, przyjechali twórcy mojego ukochanego muzeum w Sztokholmie! Już wtedy wiedziałam, że chcę tam pracować. Stwierdziłam, że jakoś muszę wykorzystać tę okazję, i wymyśliłam, że napiszę moje CV przyszłości i wręcę je im. Zaangażowałam do pomocy moją polską koleżankę, graficzkę Kaję Kusztrę, która jest mistrzynią od zadań specjalnych.

Ach, te polskie koleżanki!

Przez noc zrobiła dla mnie projekt graficzny CV, który nawiązywał do estetyki wizualnej Fotografiska. Wiedziałam, że chcę pracować w Fotografiska, ale równie ważne było dla mnie to, w jakiej roli mam tam być – a co do tego jeszcze nie miałam pewności. W CV opisałam więc

doświadczenia, które zamierzam zebrać po to, by na koniec dostać pracę w Fotografiska.

Odważnie!

Podeszłam z tym CV do Jana i Pera, wręczyłam im je i powiedziałam, że za parę lat będę dla nich pracować. Trochę ich zatkało, ale Jan wziął CV. Działalam jak zwykle intuicyjnie i według zasady, że należy pracować z ludźmi najlepszymi w swoim fachu. Tego samego dnia wieczorem Jan podszedł do mnie i zapytał żartem: „To kiedy zaczynasz u nas pracę?”. Odpowiedziałam: „Chyba widzisz, że jeszcze nie jestem gotowa, muszę najpierw trochę działać”. Zrobiłam tak, bo wiedziałam, że nie chcę trafić do Fotografiska w roli praktykantki. Wolałam zacząć od bardziej liczącej się pozycji. Przez następne lata pozostawaliśmy z Janem w kontakcie. Jak przyjeżdżałam do Sztokholmu, spotykaliśmy się na chwilę na mały update. I rzeczywiście przez kolejne lata zebrałam bardzo dużo doświadczeń – w Polsce i za granicą. A potem któregoś jesiennego dnia Jan napisał do mnie, że musimy się spotkać. Mieli już konkretne plany dotyczące rozwoju firmy, budowały się nowe muzea, w Nowym Jorku i w Londynie. Wiedziałam, że to jest ten moment.

Co jest kluczem do sukcesu braci Bromanów?

Świetnie ze sobą współpracują. Jan Broman jest nie tylko niesamowitym wizjonerem, ale także bardzo wrażliwą i uważną osobą. Wiem, że niektórzy ludzie boją się go jako szefa, ale ja tego lęku w ogóle nie czuję. Mogę się jedynie domyślać, że niepokój budzi jego skrajna bezpośredniość i niezwykła przenikliwość – on widzi dosłownie wszystko: nie tylko całość, ale też najmniejsze detale w muzeum. Czasami wystarczy, że przejdzie się po wystawie przed wernisażem i zaraz wypatrzy szczegół, który trzeba poprawić. Za to go podziwiam i wiem, że jeśli jemu też mówi się wszystko wprost, to będzie okej. Dla mnie jest ważne, żeby czuć, iż osoba, która jest moim szefem, ma wizję. Jan ją ma – jest nią wpływające na społeczną świadomość. W stworzonym przez Bromanów muzeum fotografia staje się

narzędziem komunikacji, opowieści o różnych ważnych społecznie tematach.

Na przykład?

Na przykład ostatnio pracowałam z Paulem Nicklenem i Cristiną Mittermeier i ich fundacją Sea Legacy, która działa na rzecz ochrony mórz i oceanów. Paul jest bardzo utalentowanym fotografem, pracuje dla „National Geographic”. Podróżują z Cristiną po całym świecie i dokumentują zmiany klimatu. W swoich fotografiach pokazują piękno oceanów i to, co im grozi. Tą opowieścią chcą zachęcić ludzi, by byli bardziej odpowiedzialni, ale też mają realny wpływ nawet na decyzje polityczne.

Mam wrażenie, że udało ci się osiągnąć coś, co wydawało się niemożliwe, i że stało się tak dlatego, że nie boisz się ludzi, którzy zrobili w życiu dużo więcej niż ty.

Bo moim zdaniem wspólna cecha osób, które osiągnęły w życiu wszystko, to szacunek w stosunku do innych! Ludzie wielcy są uważni, ciekawi innych i nastawieni na nieustanne uczenie się, rozwój. Właśnie to ich motywuje, a nie gratyfikacje finansowe. Mam wrażenie, że tacy ludzie są też hojni względem innych, bo nie muszą już niczego udowadniać. No i jako osoby inteligentne są świadome, na jakim etapie rozwoju są inne osoby. Powiem ci tak: szukanie mentorów, którzy mają dużo większą wiedzę niż ty, to jest świetna droga na skróty. Oni mają już wiele rozwiązań, których szukasz. Powiedzą ci, co trzeba zrobić.

Jesteś jedyną nie-Szwedką w szwedzkim zespole. Czy to bywa trudne?

Na początku pojawiały się kłopoty. Na przykład takie, że chociaż dobrze znam język szwedzki, jednak jest to dla mnie język obcy, w którym trudniej mi być zabawną albo sięgnąć po ironię. Poza tym jako silna i wyrazista osobowość miewam problemy z uregulowanymi strukturami. Na początku bywałam nieco zbyt ekspresyjna. Może nawet za bardzo zaangażowana. Ktoś w zespole powiedział mi w końcu, żebym lepiej najpierw zrozumiała, jak

działała organizacja, a dopiero potem próbowała się wtrącać. Zrobiłam tak, bo zorientowałam się, że to ważne. Ale czułam się niekomfortowo. Nie mogłam do końca pokazać moich kompetencji. Poza tym uważam, że od dobrej organizacji zależy, czy akceptuje się wyraziste osobowości, takie jak ja. Przecież takie osoby da się wykorzystać tam, gdzie ekspresyjność jest atutem. Wszyscy musieliśmy się tu do siebie przyzwyczaić – na szczęście Szwedzi jak już raz przyjmą cię do grupy, to na zawsze.

I to się chyba udało. Przed chwilą twoja koleżanka z pracy mówiła o tobie z nieukrywanym entuzjazmem, że masz w sobie ogień. Sztokholm po raz drugi okazał się dla ciebie bardzo życzliwy, prawda?

Przenosząc się tu po raz drugi, miałam już dużo więcej cierpliwości i wiedziałam, czego mogę się spodziewać po Szwedach. Podam przykład: jakiś czas temu przyjechała do mnie w odwiedziny koleżanka z Polski. Przyszła do Fotografiska, kiedy mieliśmy nieformalne piątkowe spotkanie: piwo po pracy. Część moich kolegów i koleżanek siedziała przy jednym stole, a my z koleżanką gdzieś bardzo blisko nich. No i Szwedzi w ogóle nie zwracali na nas uwagi. Rozmawiali między sobą po szwedzku, choć doskonale znają angielski. Koleżanka była zdziwiona, że się tak nieprzyjemnie zachowują, ale ja wiedziałam, że chodzi o coś innego. Bo oni uważali, że my chcemy sobie we dwie pogadać, i nie chcieli nam przeszkadzać. I to my powinnyśmy zagadać do nich.

www.fotografiska.se

Nationalmuseum
(Muzeum Narodowe)

Wielkie wow!

Jeśli jest dziś w Sztokholmie jakieś muzeum, które zapiera dech w piersi, to z pewnością jest to Muzeum Narodowe. Położone na półwyspie Blasieholmen, w samym sercu miasta, jest jednym z najstarszych muzeów w Europie. Powstało w 1792 roku. Niedawno przeszło sześcioletnią renowację, na którą wydano 1,2 miliarda koron. Kolejne 200 milionów przeznaczono na uzupełnienie kolekcji. Dało to spektakularny efekt.

W zbiorach znajduje się ponad 700 tysięcy eksponatów, z czego prezentowanych jest 5200. Na kolekcję malarstwa, poza dziełami najwybitniejszych malarzy szwedzkich, składają się duże zbiory francuskich impresjonistów oraz XVII-wiecznego malarstwa holenderskiego (w tym obrazy Rembrandta). Także kolekcja rzeźb ma bardzo międzynarodowy charakter. Wyjątkowo ciekawe są zbiory mebli i designu.



Iluminacja na budynku Nationalmuseum podczas nocy nowego otwarcia.

Mam świadomość, że muzea narodowe kojarzą nam się z poszarzałym marmurem i zapachem kurzu (choć Muzeum Narodowe w Warszawie pod rządami Agnieszki Morawińskiej szczęśliwie odbiegało od tych wyobrażeń), zaufajcie mi jednak – Nationalmuseum w Sztokholmie zaskakuje. Przede wszystkim dlatego, że w wyeksponowanie zbiorów włożono nie tylko wiele wysiłku i staranności, ale także sporo odwagi i fantazji. Na przykład ściany, na których wiszą cenne dzieła, mają zaskakująco mocne barwy – od burgundu, przez turkus, ciemną zieleń i pistację po cytrynę. Daje to niesamowity efekt. Odbioru sztuki nie psuje nadmiar tabliczek z informacjami – te znajdziesz w bezpłatnej aplikacji na komórkę, z którą warto zwiedzać muzeum. Układ ekspozycji jest chronologiczny i budowany na ciekawych asocjacjach, nie ma podziałów na malarstwo, rzeźbę i design (choć na parterze zachwyca ogród XIX-wiecznych rzeźb).

I jeszcze jedna ciekawostka: w typowych przestrzeniach wystawowych zazwyczaj brakuje dziennego światła, bo promienie słoneczne mogą niszczyć obrazy, tymczasem w Nationalmuseum pod dostatkiem jest okien z przepięknymi widokami na Sztokholm. Wszystko dzięki temu, że zamontowano w nich hipernowoczesne szyby z odpowiednimi filtrami.

Narodowe mity na dywaniku

Ponowne otwarcie Nationalmuseum było w Sztokholmie wielkim wydarzeniem. Do masywnych drzwi muzeum – po których otwarciu oczom ukazują się monumentalne freski Carla Larssona – ruszyły tłumy (zwłaszcza że zwiedzanie jest bezpłatne). W gazetach pojawiło się wiele entuzjastycznych recenzji. Nie obeszło się jednak bez kontrowersji. I to takich, które wiele mówią nie tylko o Szwedach, ale także o dylematach naszych czasów.



Bardzo rzadko do wnętrz muzeów z bogatymi kolekcjami sztuki wpada dzienne światło.



Ogród rzeźb.

Zacznijmy od tego, że nie ma chyba kraju, w którym nacjonalizm kojarzyłby się tak źle jak w Szwecji. Oczywiście nie wszystkim, bo trzecią co do wielkości partią w parlamencie są Szwedzcy Demokraci (SD). Dla nich „szwedzki nacjonalizm demokratyczny” jest podstawowym hasłem programowym. Jednak buńczuczny i wykluczający nacjonalizm SD pogłębia wstręt do tego pojęcia w środowiskach liberalnych, lewicowych, w mediach i w świecie kultury. Niechęć ta jest tak duża i tak wszechogarniająca, że nawet słowo „patriotyzm” – uważane w Polsce za raczej pozytywne albo przynajmniej neutralne – w języku szwedzkim ma wydźwięk jednoznacznie negatywny. Nie zawsze tak było, ale niektóre słowa są jak naczynia: wypełniają się różną zawartością zależnie od historycznego

kontekstu i ducha epoki. We współczesnej Szwecji patriotyzm to relikw przeszłości i symbol cywilizacyjnego zacofania.

W tej sytuacji nie muszę dodatkowo tłumaczyć, że w kraju o tego rodzaju wrażliwości semantycznej już sama nazwa „Muzeum Narodowe” wywołuje niepokój. Bo co zrobić, by „narodowe” nie stało się „nacjonalistyczne”? I jak w narrację o sztuce narodu, który przez większą część swojej historii był etnicznie jednolity oraz patriarchalny, wpleść tak ważne dla dzisiejszej Szwecji wartości jak tolerancja czy szacunek dla inności?

W rządowych zaleceniach zapisano kilka zasad, którymi mają się kierować państwowe muzea w Szwecji. Między innymi mają włączać do działalności zagadnienia równouprawnienia płci, wielokulturowości i perspektywy dziecka. Część z tych wytycznych nie jest trudna do zrealizowania. W Nationalmuseum otworzono na przykład świetne pracownie plastyczne dla dzieci. W komórkowej aplikacji z audioprzewodnikiem dostępna jest też jego wersja dla najmłodszych. Stale organizowane są wystawy, także dla bardzo młodych odbiorców. O równouprawnienie płci zadbano, włączając do ekspozycji więcej dzieł kobiet, zwłaszcza malarek i projektantek. Nie jest to niczym nowym, bo większość sztokholmskich muzeów od dłuższego czasu uzupełnia w ten sposób swoje zbiory.

W Nationalmuseum spróbowano jednak pójść dalej; stało się ono miejscem, w którym krytycznej analizie poddane zostały narodowe mity. Jak mówi dyrektorka muzeum Susanna Pettersson: „Wierzę w wartość kultury i w humanizm, a Muzeum Narodowe powinno według mnie być platformą dyskusji na temat wartości”.

Co począć z Karlem XII

Jednym z najbardziej znanych szwedzkich obrazów znajdujących się w zbiorach Nationalmuseum jest *Pogrzeb Karla XII* autorstwa Gustafa Cederströma. To namalowane pod koniec XIX wieku dzieło

przedstawia zmitologizowaną i uwzniośloną wersję wydarzenia z 1718 roku, kiedy to ciało zabitego podczas wyprawy wojennej na Norwegię króla Karla XII było transportowane do Szwecji.



Karl XII rządził w latach 1697–1718, był ostatnim szwedzkim władcą absolutnym, symbolem epoki, w której Szwecja była agresywnym mocarstwem podbijającym kraje ościennie. Nazywano go królem wikingiem. Cieszył się zasłużoną sławą wybitnego przywódcy wojskowego; prowadził z sukcesami wojny z Rosją, Saksonią, Danią

i Polską, a dowodzona przez niego armia odniosła wiele spektakularnych zwycięstw. Na przykład w bitwie pod Narwą zaledwie dziesięcioletnie wojsko szwedzkie, dzięki umiejętnościom Karla XII, pokonało czterdziestotysięczną armię rosyjską. Nic dziwnego, że Szwecja przez wieki była z niego niezwykle dumna. Na obrazie w Nationalmuseum martwy władca jest niesiony na noszach w korowodzie sunącym przez norweskie góry w stronę Szwecji. Otaczają go wierni żołnierze, wzdłuż drogi stoją modlący się wieśniacy, łopoczą sztandary. W tej scenie jest tak wiele patosu, narodowej dumy i przeświadczenia o tym, że bohaterska śmierć także jest zwycięstwem, że nie powstydziliby jej się najbardziej szaleni polscy romantycy z wyznawcami mesjanizmu na czele.

We współczesnej Szwecji stosunek do Karla XII stał się jednak ambiwalentny. Przede wszystkim dlatego, że jest on ukochanym bohaterem nacjonalistycznych Szwedzkich Demokratów; w latach 90. organizowali oni marsze ku jego czci, na których nie brakowało skinheadów. Obecni liderzy SD w czasie studiów na uniwersytecie w Lund co roku 30 listopada uroczystie obchodzą rocznicę śmierci walecznego króla. Wiedza o „przejęciu” Karla XII przez narodowców przedostała się do powszechnej świadomości; pisał o tym między innymi szwedzki reporter Niklas Orrenius.

Nie dziwi zatem fakt, że po wielkim remoncie w Nationalmuseum obraz Cederströma wylądował na znacznie mniej eksponowanym miejscu niż wcześniej. Poza tym zwiedzający, którzy w komórkowej aplikacji słuchają audioopowieści o wystawie, stojąc przed płótnem przedstawiającym dzień śmierci „króla wikinga”, mogą się dowiedzieć, że „populistyczne, ukształtowane pod wpływem nacjonalizmu spojrzenie na szwedzkość oraz przekonanie, że był kiedyś czas, kiedy panował właściwy porządek, nie jest zgodne z prawdą”.

Słowa te wywołały debatę wśród szwedzkich dziennikarzy. Håkan Boström z „Göteborgs Posten” oskarżył muzeum o próbę indoktrynowania zwiedzających. Sugerowanie nacjonalistycznych

podtekstów na XIX-wiecznym płótnie uznał za przejaw tendencji do ideologizowania instytucji państwowych: „Ten rodzaj państwowej indoktrynacji był normą w dawnej wschodniej Europie, ale nie ma dla niego miejsca w społeczeństwie liberalnym. Liberalni politycy powinni przeciwstawiać się takim tendencjom!”.

Zupełnie innego zdania był Anders Lindberg z socjaldemokratycznej popołudniówki „Aftonbladet”. Według niego najciekawsza część wystawy w Nationalmuseum to właśnie ta z obrazami i rzeźbami z epoki narodowego romantyzmu, ale dlatego, że ich przesłanie zostało poddane krytyce. Lindbergowi podobały się słowa przewodnika podkreślające, że wyidealizowana przeszłość „wielkiego narodu” nie jest prawdziwa. Za cenne uznał umieszczenie w pobliżu dzieł romantyków prac współczesnych artystów, które z nimi polemizują. Jedną z nich jest projekt Petera Johanssona *How to cook a souvenir*, w którym drewniany konik z Dalarna – symbol tradycyjnej szwedzkości – został pocięty w plasterki, jak ser żółty albo szynka, a następnie opakowany w plastik.

Zdaniem Lindberga nie istnieje coś takiego jak bezpieczny nacjonalizm lub patriotyzm. „Historia skazała nas na to, żeby o tym pamiętać i stawiać opór. Każde zinstytucjonalizowane »my i oni«, dla którego podstawą jest pochodzenie etniczne czy religia, to droga bez wyjścia. *Le nationalisme, c'est la guerre*, nacjonalizm to wojna, jak skonstatował kiedyś prezydent Francji François Mitterrand”. Lindberg dowodził, że „Szwecja będzie lepszym krajem, jeśli będziemy kroić nasze koniki z Dalarna na plasterki, niż wtedy, gdy zaczniemy je traktować ze śmiertelną powagą”.

Jak nie wylać dziecka z kąpielą

Dyskusja o tym, jak sprawić, by muzea nadążały za duchem czasu, trwa w Szwecji od dawna i przyniosła już wiele ciekawych efektów. To dzięki niej Moderna Museet (Muzeum Sztuki Nowoczesnej) wzbogaciło swoją kolekcję o dzieła międzynarodowych artystek oraz zorganizowało

szereg monograficznych wystaw kobiet, a Historiska museet (Muzeum Historii) prezentowało wystawy na temat historii walki o tolerancję i prawa mniejszości seksualnych.



Gdy tylko wejdziesz do Nationalmuseum, poczujesz, że to miejsce wyjątkowe.

Istnieją jednak publicyści, co ciekawe, także ci po lewej stronie sceny politycznej, którzy zwracają uwagę na to, że kultura w Szwecji zbyt często podlega wpływom rządzących polityków. „Można zadać sobie pytanie, czy istnieje jakiś inny demokratyczny kraj, w którym polityczne oczekiwania i wymagania względem kultury są tak wyraźne jak w Szwecji” – zastanawiała się pisarka i redaktorka działu kultury gazety „Aftonbladet” Åsa Linderborg. Z kolei znawca kultury chińskiej i publicysta dziennika „Svenska Dagbladet” Ola Wong w serii artykułów na temat sytuacji w kilku sztokholmskich muzeach oskarżał przedstawicieli socjaldemokratów i Partii Zielonych o „przerabianie państwowych muzeów w narzędzia propagandy”. Niepokoiły go zwłaszcza zmiany w Östasiatiska museet (Muzeum Dalekiego

Wschodu) i Etnografiska museet (Muzeum Etnografii) w Sztokholmie, w których zaczęto w większym stopniu stawiać na projekty zgłębiające takie tematy jak „migracja, integracja, demokracja i ludzka kreatywność”, a w mniejszym – na opiekę nad wyjątkowo cennymi zbiorami tych placówek. Jego zdaniem przejawiało się to między innymi w polityce kadrowej – w tendencji do zatrudniania „aktywistów” i speców od reklamy zamiast specjalistów od kultur, którymi owe muzea się zajmują. W jego ocenie ideologiczne zaangażowanie muzeów państwowych, w których jednym z głównych zadań stała się ostatnio praca na rzecz „praw człowieka”, zostało doprowadzone do przesady. Jako przykład podawał ogłoszenie o poszukiwaniu pracownika do sklepiku w Scenkonstmuseet (Muzeum Sztuk Performatywnych). Informowano w nim, że pracownik ten powinien rozumieć „perspektywę równościową i nienormatywną”. „To już nawet kasjer nie może być niezaangażowany politycznie albo myśleć inaczej? Formalne kompetencje (jak na przykład zdolność do efektywnego prowadzenia sklepu) niewiele znaczą w porównaniu z chęcią znalezienia kogoś, »kto ceni sobie różnorodność i rozumie, jaki jest jej wpływ na niego samego i na innych« – zżymał się Wong na łamach „Svenska Dagbladet”.

To jedna z dyskusji, które można prowadzić bez końca. Trudno w niej o jednoznaczne wnioski, choć ja sama sędzę, że zawsze najlepiej odwoływać się do zasady złotego środka. Jestem też pewna, że poszukiwanie nowych perspektyw dobrze zrobiło stałej wystawie w Nationalmuseum. Zarezerwuj sobie na jego zwiedzanie sporo czasu. Naprawdę warto!

www.nationalmuseum.se

Artipelag – centrum sztuki w sercu
Archipelagu Sztokholmskiego

Zapytana przez osobę spoza Szwecji o to, gdzie mieszkam, odpowiadam, że w Sztokholmie, bo rzeczywiście od mojego domu jest ledwie kilkanaście minut autobusem do ścisłego centrum miasta. Jednak administracyjnie mieszkam w Nacka – gminie, która wchodzi w skład Dużego Sztokholmu. Najwspanialszą cechą Nacka jest wszechobecność natury i wody. Niby nie jest to nic szczególnego w stolicy Szwecji, ale w Nacka natura jest ciekawsza niż gdzie indziej, bardziej dramatyczna. Okolica jest skalista, naznaczona dużą liczbą jezior, bliskością morza i archipelagu, lasami, w których można się zgubić; dużo tu wrzosowisk i przestrzeni.

Ponieważ prowadzimy dom otwarty, często mamy gości z różnych stron świata, których zawsze zabieram w te same miejsca. Przez wiele lat były to Saltsjöbaden, Nyckelviken i Älgö – okolice o najwspanialszych krajobrazach, jak gotowe do wysłania pocztówki z idealnie sielskiej Szwecji. Po to, by obcować z kulturą, jechaliśmy do miasta, czasem wpadaliśmy do Gustavsberg, gdzie znajduje się ciekawe Muzeum Porcelany. Jednak w 2012 roku wszystko się zmieniło, bo właśnie wtedy otwarto Artipelag. Od tej pory moi goście, nawet jeśli przyjeżdżają na krótko, muszą odwiedzić to położone w Nacka, a zarazem już na Archipelagu Sztokholmskim, centrum sztuki. Z mojego domu to tylko piętnaście minut samochodem. Do Artipelagu łatwo się też dostać z centrum miasta, to jakieś dwadzieścia kilometrów. Można wsiąść w autobus (są także specjalne autokary należące do muzeum i zabierające gości z centrum) albo do jednej z pływających do Artipelagu łodzi. Po krótkim czasie dociera się do Värmdö nad zatoką Baggensfjärden. To tu leży jedno z najbardziej niezwykłych muzeów na tej ziemi. Uwierzcie mi, nie przesadzam.



W Artipelagu widok z okna jest najważniejszym elementem projektu wnętrza.

Stary człowiek i Archipelag Sztokholmski

Położone nad wodą wśród sosnowych i liściastych lasów centrum sztuki jest tak zrośnięte z otaczającą je naturą, że nawet pośrodku muzealnej restauracji wyrasta dostojna skała. W Artipelagu niezwykle jest wszystko, także historia jego powstania. Dlatego by w pełni zrozumieć i docenić to miejsce, warto poznać jego genezę.

Artipelag to muzeum prywatne, państwo nie wyłożyło na nie ani korony. To hojny prezent dla społeczeństwa szwedzkiego od jednego z najbogatszych ludzi w kraju, Björna Jakobsona.

– Kiedy na stare lata zorientowaliśmy się z żoną, że mamy do zagospodarowania pewną sumę pieniędzy, postanowiliśmy, że damy coś od nas innym ludziom. Oboje wychowaliśmy się na Archipelagu Sztokholmskim, więc to tu szukaliśmy miejsca na centrum sztuki, o którym zaczęliśmy marzyć – opowiada Jakobson.

Spotykamy się w Artipelagu w poniedziałek, kiedy część muzealna centrum jest nieczynna. Björn uważa, że to błąd i że należy to zmienić. Ma 84 lata, opaloną twarz pokrytą siecią zmarszczek i szczupłą sylwetkę. Jest zdecydowany i konkretny. Widać to w każdym geście, w sposobie chodzenia i noszenia głowy, pomimo kruchości, której dodał mu wiek. Nosi aparat słuchowy i głośno narzeka, że nic nie słyszy.



Budynek Artipelagu jest doskonale wkomponowany w otaczającą go naturę.



Rzeźby i instalacje artystyczne wokół Artipelagu. Są wszędzie: nad wodą, w lesie i na łąkach.

– Usiądź tak, żebym widział twoje usta – mówi bez ogródek.

Nadal jest głównym zarządzającym dziełem swojego życia, ma energię człowieka młodego i wiedzącego od dziecka, czego chce. To prawdziwy szwedzki self-made man. Gdyby nie to, że w iście luterzańskim duchu lubi podkreślać, że droga do sukcesu prowadzi przez skromność i oszczędność, można by go uznać za bardzo przedsiębiorczego Amerykanina. Dorobił się fortuny na produkcji nosidełek dla dzieci.

Firmę Babybjörn AB tworzył od zera, na początku miał zaledwie 3000 koron. Przez pierwsze lata łączył działalność firmy z pracą na etacie, bo inaczej nie byłby w stanie utrzymać rodziny. Dość szybko zaczęła mu pomagać żona, projektantka Lillemor. Krok po kroku stworzyli międzynarodowe imperium, jednocześnie wychowując czworo dzieci.

Nosidełka Baby Björn to wielki sukces eksportowy, sprzedawane są w pięćdziesięciu pięciu krajach. Jakobsonowie pracowali na to latami,

przemierzając świat wzdłuż i wszerz, nawiązując międzynarodowe kontakty i przywożąc do Sztokholmu gości z innych kontynentów. Sami też bywali hojnie podejmowani, zapraszani do najlepszych restauracji i na fascynujące wycieczki. Zależało im na tym, aby ich zagraniczni partnerzy także mogli się czymś w Szwecji zachwycić. Ponieważ kochają żeglarstwo oraz *tripskate* (jazdę na specjalnych łyżwach, którymi można przemierzać jeziora i zatoki z prędkością nawet 30 kilometrów na godzinę), sporo wolnego czasu spędzali na archipelagu. Kiedyś zaczęli tam także zabierać gości i okazało się, że nic w Szwecji nie robi na nich takiego wrażenia, jak właśnie ten kawałek dzikiej skandynawskiej przyrody.

– Mieliśmy kiedyś z wizytą współpracowniczkę z Korei. Stały nad brzegiem wody, właśnie tutaj nad zatoką Baggensfjärden, to był maj czy czerwiec, jasny wieczór. Było tak pięknie, że Koreanki wzruszyły się tym widokiem do łez. Naprawdę po policzkach płynęły im łzy jak grochy!

Doświadczenie dla wszystkich zmysłów

Do Artipelagu prowadzi wiele ścieżek. Można do niego dojść ciągnącym się wzdłuż wody i skał długim drewnianym pomostem albo którąś z prowadzących przez las drózek; nie na skróty, żeby nie deptać zieleni – to dla Jakobsonów istotne.

Bez względu na to, z której strony idziesz, po drodze odkrywasz ukryte pomiędzy drzewami rzeźby, aż w pewnym momencie zaczynasz czuć delikatny zapach dziegciu, którym pokryte są drewniane ściany centrum. To „architektura zapachu” – pomysł Johana Nyréna, autora projektu Artipelagu. Było to bliskie koncepcji Jakobsona, który chciał zapewnić odwiedzającym „przeżycie absolutne”. Chodziło o połączenie doświadczenia bliskości spektakularnej natury z uczestnictwem w kulturze oraz z możliwością przeżycia przygody gastronomicznej. Wygląda to przykładowo tak, że wystawie *Lars Wallin – Fashion Stories*, poświęconej słynnemu szwedzkiemu projektantowi mody,

towarzyszyło wystawianie opery o Coco Chanel (centrum poza wielką przestrzenią wystawową ma też scenę teatralną), restauracja serwowała trzydaniowy obiad skomponowany z ulubionych dań projektanta, a cukiernia – inspirowane jego projektami ciastka. To wszystko odbywa się w otoczeniu przepięknej przyrody, którą da się podziwiać z wielkich okien, z tarasów, a także z dachu, na którym uprawiane są zioła i warzywa podawane w restauracji. Jednak zanim stało się to możliwe, musiał powstać projekt.

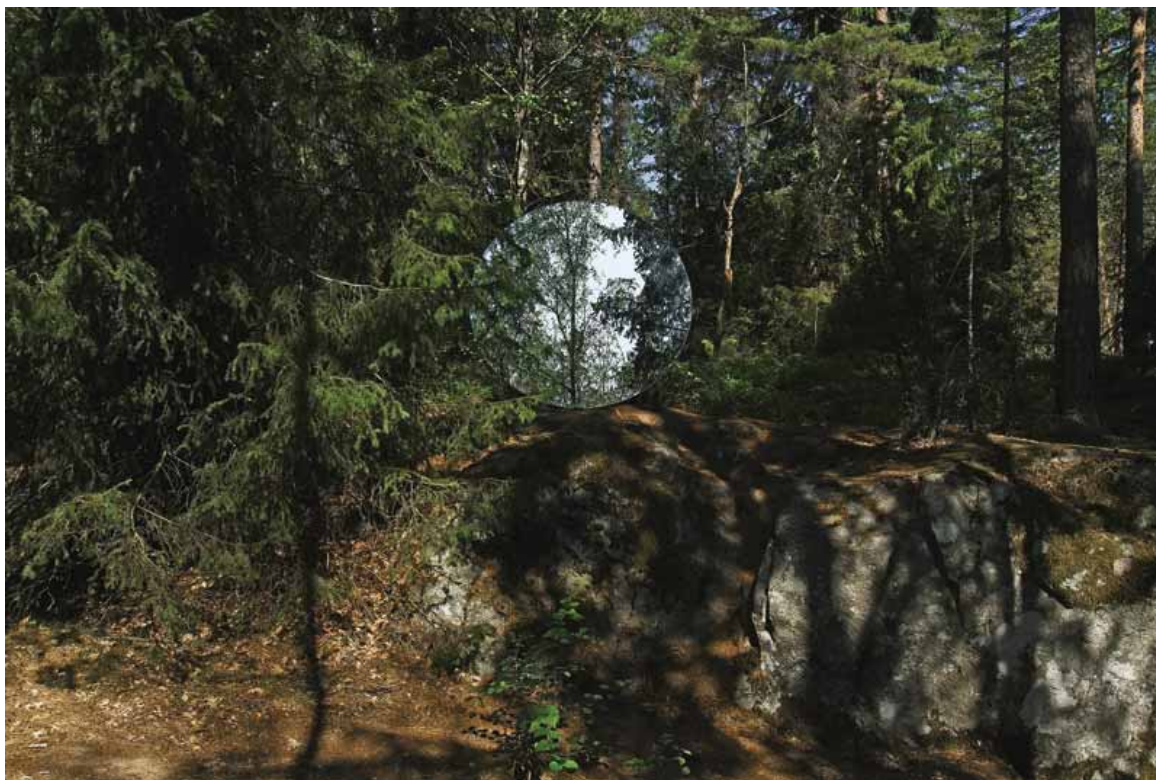
– Nie znałem się na architekturze – opowiada Björn – więc zapukałem do pierwszego lepszego biura architektonicznego. Zrobili projekt, który mi się nie podobał. Zmieniłem biuro. Potem zatrudniałem kolejnych architektów i żaden z ich pomysłów mi nie odpowiadał. Wszyscy mówili, jacy są fantastyczni, tworzyli spektakularne wizje, które z pewnością mogły zebrać sporo nagród, ale nie pasowały do miejsca, w którym miał stanąć mój budynek. Dla mnie i dla Lillemor najważniejsze było, żeby wyeksponować tutejszą naturę. Wreszcie w 2008 roku znalazłem kolejnego architekta, Johana Nyréna. Było już mało czasu, nasze pozwolenie na budowę traciło ważność. Kiedy Johan usłyszał, że ma siedemdziesiąt dni na stworzenie projektu, powiedział: „Niemożliwe, nie da się go wykonać tak szybko”. Ale jednocześnie uważnie mnie słuchał i w końcu uznał: „Może wam się do czegoś przydam”. Zrozumiałem, że znalazłem właściwego człowieka.



I rzeczywiście tak było. Nyrén zaprojektował budynek idealnie wkomponowany w otoczenie. Wzniesiono go z dostępnych w okolicy materiałów, dbając o to, by jak najmniej zniszczyć, na przykład nie wysadzać skał, tylko uczynić je częścią projektu. Dach pokryto rosnącą na archipelagu odmianą rozchodnika, który wchłania wilgoć i pomaga utrzymywać właściwą temperaturę wewnątrz.

Budynek stanął w miejscu, z którego roztaczają się najlepsze widoki. Björn Jakobson twierdzi, że najpiękniej jest tu w... listopadzie.

– Poznaje, że jest listopad, kiedy pracownicy zamiast pracować, stoją przy oknie. Słońce jest wtedy tak nisko, że na niebie dzieją się niesamowite rzeczy. Chmury odbijają się w zatoce. Popołudniowe światło w listopadzie jest niezwykle.



Instalacja artystyczna w lesie obok muzeum.

Wystawy organizowane w Artipelagu mają charakter interdyscyplinarny, od fotografii i malarstwa przez design do mody. Na scenie teatralnej można regularnie oglądać spektakle Cirkus Cirkör –

szwedzkiego poetyckiego odpowiednika Cirque du Soleil. Jakobsonowie zrobili wszystko, by ich raj był dostępny dla ludzi niepełnosprawnych oraz starszych. Björn od dawna prowadzi lobbying wśród lokalnych polityków, by częstymi gośćmi Artipelagu byli mieszkańcy domów starców z Nacka. Uważa, że daje im się zbyt mało możliwości przebywania blisko natury. Podobno rozmawiał o tym nawet z samym premierem, kiedy ten z małżonką odwiedził Artipelag.

I jeszcze jedna rzecz: założę się, że nigdy nie widzieliście tak pięknych toalet jak w Artipelagu. To autentyczne dzieła sztuki. Jakobson śmieje się głośno, kiedy o nich mowa.

– Pomyśleliśmy, że jeśli ludziom nie spodoba się nasz Artipelag, to powinni chociaż uznać, że warto było zajrzeć do ubikacji!

www.artipelag.se

Hallwylska museet (Muzeum baronostwa von Hallwyl)

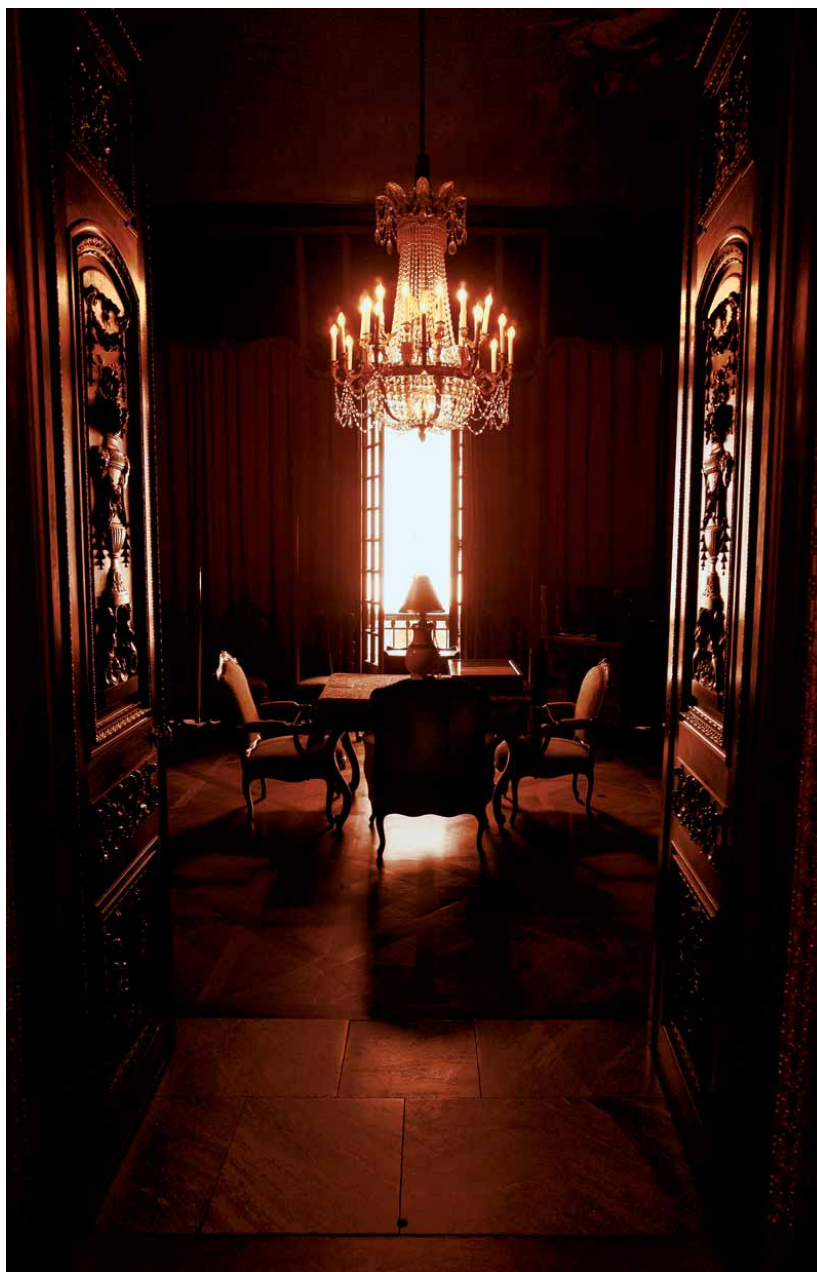
Hallwylska museet jest położone w miejscu idealnym: niedaleko Dramaten, Stureplan i Kungsträdgården na ulicy Hamngatan, naprzeciw Berzelli Park. Wstęp jest za darmo. Bywam w tej okolicy bardzo często, a mimo to minęły długie lata, zanim do tego muzeum zajrzałam. Było warto. Nie wiem dokładnie, co moja muzealna prokrastynacja mówi o ogólnej ludzkiej tendencji, ale mam wrażenie, że coś istotnego. Łatwo przeoczamy bowiem to, co jest w pobliżu i zawsze dostępne, nie odkrywamy rzeczy, które są pod nosem.

Hallwylska museet znajduje się w wybudowanym w 1898 roku pałacyku projektu Isaka Gustafa Clasona. Pałacyk był od początku własnością baronostwa von Hallwyl – Wilhelminy i Walthera. Baronowa pochodziła z rodziny zamożnych przemysłowców z Niemiec. Odziedziczyła po rodzicach wielki majątek, który pomnażał jej szwajcarski mąż. Walther

z kolei to potomek jednej z najstarszych rodzin europejskich, której korzenie sięgały XIII wieku. Para ta miała trzy córki: Ebbę, Ellen i Irmę. Kiedy rozpoczęła się budowa pałacu, córki były już dorosłe i prowadziły dostatnie życie u boku własnych mężów. Pałacyk miał się stać zimowym domem baronostwa, ale przede wszystkim idealną przestrzenią dla wielkiej kolekcji sztuki, broni i przedmiotów codziennego użytku, którą tworzyła od lat Wilhelmina i która jest dziś częścią muzeum.



Wnętrze domu baronostwa von Hallwyl.



W 1920 roku baronostwo von Hallwyl oddało swój dom państwu szwedzkiemu z zastrzeżeniem, że będą w nim mieszkać do końca życia. To także była inicjatywa Wilhelminy, kobiety, która wyprzedzała swoją epokę. Baronowa, jedynaczka kształcona przez guwernantki, nigdy nie chodziła do szkoły. W młodości prowadziła pamiętnik, w którym z dużą świadomością siebie pisała, że „pomimo surowego wychowania wyrosła na kobietę niezależną”. Kiedy odchowała dzieci, nie dała się zamknąć w świecie herbatek z ciasteczkami dla pań z wyższych sfer. Czas

spędzała na aukcjach antyków oraz na podróżach po całym świecie w poszukiwaniu nowych przedmiotów do kolekcji. Myślała o niej nowatorsko, bo nie żyła w epoce, w której muzea poświęcały wiele miejsca wzornictwu użytkowemu.

Cechowała ją nie tylko wielka ciekawość świata i pasja, ale także skrupulatność i profesjonalizm. Wszystkie nabytki do kolekcji były katalogowane. Oprawione w skórę grube księgi ze szczegółowymi informacjami na temat każdego przedmiotu zajmują dziś połowę jednego z siedemdziesięciu ośmiu pałacowych salonów.

Ponieważ nie miała rodzeństwa ani wielu przyjaciół, a w dalekich podróżach nie towarzyszył jej mąż, Wilhelmina zatrudniła dla siebie damę do towarzystwa z Niemiec. Ushe towarzyszyła Wilhelminie i pomagała w powiększaniu kolekcji. Była jej rówieśnicą. Wykształcona, pochodziła z „dobrej, protestanckiej rodziny”, niezamężna. Kobiety spędziły ze sobą w wielkiej bliskości aż pięćdziesiąt lat. To Ushe zarządzała służbą i opiekowała się wnukami Wilhelminy, kiedy ta poświęcała się swojej pasji. Kiedy były już wiekowymi damami i Ushe zaczęła ciężko chorować, Wilhelmina kupiła dla niej luksusowe siedmiopokojowe mieszkanie niedaleko pałacu, na Strandvägen, i codziennie ją odwiedzała i pielęgnowała. Podobno nie chciała, by Ushe umarła w pałacu Hallwylska, bo... śmiertelnie bała się duchów. Przeżyła swoją przyjaciółkę o sześć lat.

Dzieło życia Wilhelminy, czyli pełen cudów pałacyk Hallwylska, zostało zaprojektowane w stylu późnego gotyku weneckiego z elementami renesansu hiszpańskiego. To śródziemnomorskie, eklektyczne *palazzo* zaskakuje w centrum stolicy kraju położonego na północy. Małżonkowie von Hallwyl byli tak bogaci, że architekt tworzący ich dom nie musiał się ograniczać. Mógł użyć najlepszych na świecie materiałów i zatrudnić najdoskonalszych rzemieślników. Budowa pochłonęła bająćskie sumy, koszty wyniosły 1,5 miliona koron. Także dziś jest to spora suma, a pod koniec XIX wieku wydatek był tak ogromny, że pałac Hallwylska stał się w Szwecji najdroższą prywatną rezydencją wszech

czasów. Choć projekt domu nawiązuje do wcześniejszych epok, to budynek był niesamowicie nowatorsko zaprojektowany, z centralnym ogrzewaniem i elektrycznym oświetleniem w każdym pokoju. Także pałacowa łazienka zaskakuje nowoczesnością.

Dziś wnętrza pałacu wyglądają dokładnie tak, jak chciała tego Wilhelmina, i oglądając je, można się wiele dowiedzieć o stylu życia wyższych sfer szwedzkich końca XIX wieku oraz poczuć ducha i moc kobiety z wizją.

www.hallwylskamuseet.se

VI.

Archipelag Sztokholmski,
czyli tam, gdzie rosną poziomki



*I zawsze jasne zdumienie
gdy wyspa podaje rękę
i wyciąga mnie z melancholii^[18].*

Per Wästberg, pisarz zasiadający na dwunastym krześle Akademii Szwedzkiej, debiutował w wieku piętnastu lat zbiorem opowiadań, których akcja rozgrywała się na Archipelagu Sztokholmskim. Opowiadania zachwyciły krytykę. Wästberg na archipelag powracał wielokrotnie także w innych książkach. *Sommaröarna* (Wyspy lata) to jego opowieść o życiu na archipelagu, jakie sztokholmczycy wiedli od drugiej połowy XIX wieku. Według Wästberga w drewnianych ścianach domów na szkiepowych wyspach i wysepkach kryje się ważna część historii szwedzkiej kultury; to na archipelagu najłatwiej zrozumieć, na czym polega wyjątkowość szwedzkich wakacji.

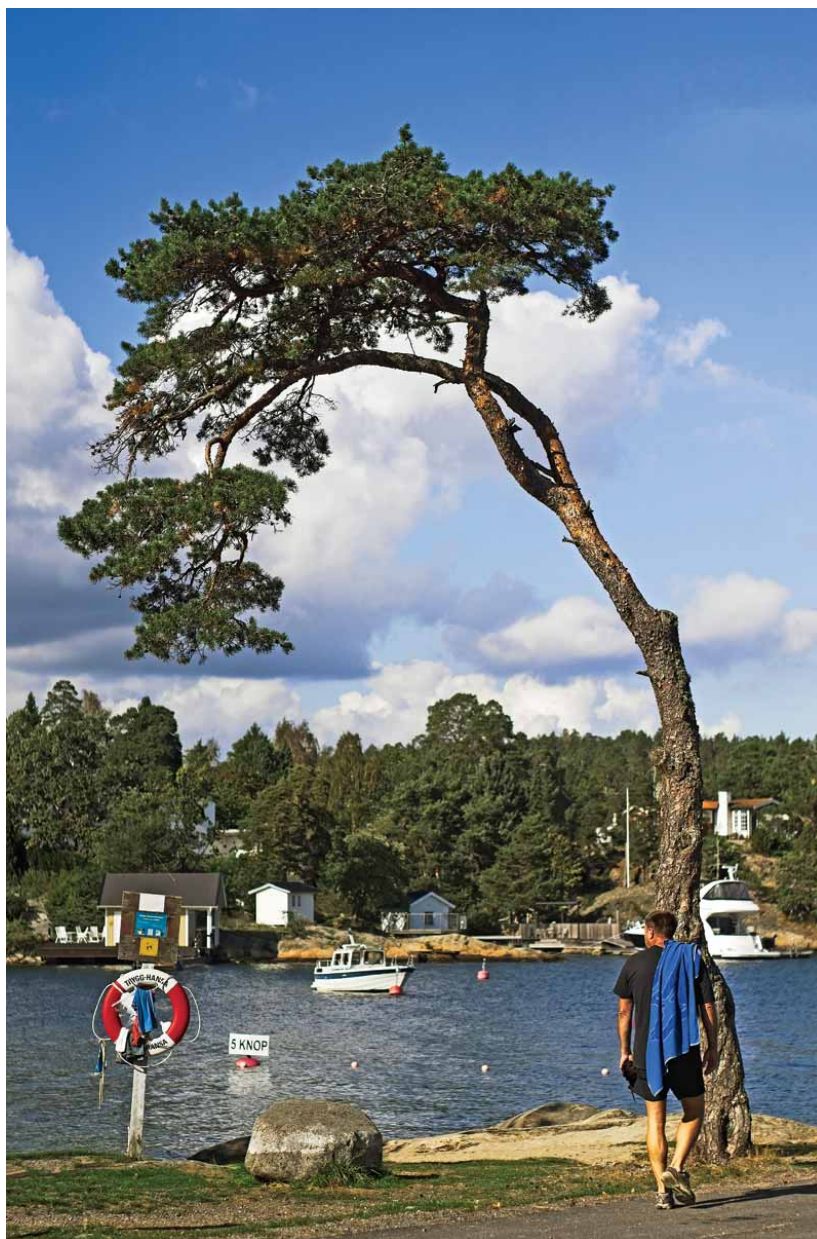
„Pytam jednego z przyjaciół, czym jest dla niego archipelag. Odpowiada:

– Wszystkim, co wiąże się z latem, zarówno kiedyś, jak i teraz, koniecznie w Szwecji, to późny wieczór, przyszli goście, a ty schodzisz do piwnicy, gdzie na półce stoją marynowane śledzie, a na zimnej podłodze piwo i wódka. Świeże kartofle niemal się rozpadają, są żółte jak masło. Nakrywasz do stołu na werandzie, nie ma za dużo komarów, lekki chłodek, rozmowy toczą się do późnej nocy, która właściwie nie jest nocą, przed pójściem spać jeszcze raz obchodzisz dookoła mokry od rosy trawnik. Nic więcej, a przecież tak wiele.

Letnie życie może sprawiać wrażenie serii beczynnych chwil. Jednak gdzieś tam zawsze jest ktoś, kto uważa, że nie da się ich zapomnieć...”^[19].

Archipelag Sztokholmski to po szwedzku Skärgården, czyli w dosłownym tłumaczeniu ogród szkierowy, co chyba lepiej przemawia do wyobraźni niż słowo „archipelag”. Składa się on ze skalistych wysp powstałych w wyniku działania lodowca skandynawskiego, który zaczął się topić jakieś 10 tysięcy lat temu. To wówczas z morza wydobyły się pierwsze wyspy dzisiejszego archipelagu. Co ciekawe, proces ich wynurzania nie dobiegł końca i każdego roku wyspy unoszą się o około pięć milimetrów. Jest ich bardzo dużo, trudno dokładnie zliczyć ile, bo nie ma zgodności co do tego, gdzie archipelag się kończy, a gdzie zaczyna. Należy przyjąć, że w jego skład wchodzi jakieś 24 tysiące wysp – od Arholma na północy do Öja na południu. Niewyobrażalnie dużo. To unikat na skalę światową.

Przez lata świat szkierów traktowany był przez sztokholmczyków jako rzeczywistość obca i nieokielznana, ziemia niczyja. I choć od XVIII wieku na wyspach żyli już ludzie, głównie rybacy i myśliwi, w przeważającej mierze samotnicy, to wzbudzali oni podejrzliwość. Uważano ich za nieprzystosowanych. Może nawet niebezpiecznych. Dzikich. W połowie XIX wieku sytuacja ta się zmieniła, bo mniej więcej wtedy medycy doszli do wniosku, że świeże powietrze służy zdrowiu. Rozpoczęła się wówczas eksploracja wysp archipelagu jako miejsca na wakacje. Z centrum miasta ruszyły turystyczne łodzie, najpierw do Vaxholm i na Dalarö, potem coraz dalej. Wsiadały do nich elegantki z Östermalm razem z dziećmi, mężami i służbą.



Älgö znajduje się bardzo blisko centrum miasta, a to zupełnie inny świat.

Dzisiaj archipelag to ukochany cel letnich podróży sztokholmczyków, choć warto dodać, że nadal nie wszystkich. Rzadziej trafiają tu rodziny imigranckie i ludzie z biednych dzielnic. Archipelag jest rajem klas średniej i wyższej.

Szwedzi dużo i chętnie podróżują za granicę, ale raczej zimą lub jesienią. Na święta Bożego Narodzenia bez większych sentymentów rzucą wszystko i polecą do Tajlandii, na Wszystkich Świętych wybiorą

się podziwiać dynie w Nowym Jorku, ale latem zamieniają się w skrajnych lokalnych patriotów (choć słowa „patriota” żaden Szwed w tym kontekście by nie użył). Lato jest krótkie, nie chcą z niego tracić ani jednego dnia, nawet gdyby miał być deszczowy. Z tego powodu wielu sztokholmczyków spędza wakacje w letnich domkach bez wygód rozsypanych na wyspach archipelagu. Bywa, że na wysepce mieści się tylko jedna dacha (celowo używam tu słowa, które przerzuca kolejny most na drugi, już nie szkierowy brzeg Bałtyku).

Domy letniskowe są najczęściej rodzinną własnością kilku pokoleń. Szwedzi – którzy słyną ze swojego indywidualizmu, z wczesnego pozbywania się dorosłych dzieci z domu (co ostatnio jest utrudnione przez kryzys mieszkaniowy w dużych miastach), z tendencji samotniczych oraz z tego, że w przeciwieństwie do kultur klanowych szukają wsparcia w instytucjach państwa, a nie u krewnych – na okres lata robią od tych wszystkich zasad wyjątek. Latem tłoczą się w drewnianym domu z widokiem na morze i z wychodkiem na zewnątrz. Blisko własnoręcznie skonstruowanego pomostu. Pośród lasów pełnych jagód i kleszczy. Rodziny z dziećmi, babcie, dziadkowie i przyjaciele – wszyscy na kupie. Nie jest to czas pozbawiony napięć. Przed nadejściem lata w magazynach kobiecych i w popołudniówkach można znaleźć stosowne porady: jak wytrzymać z rodziną na wakacjach? Albo: jak znaleźć czas na romantyczną chwilę we dwoje na wakacjach z teściami i dziećmi? Gdzie uprawiać seks, gdy kilka rodzin mieszka razem na małej przestrzeni?

Pod koniec sierpnia zaczynają się artykuły podsumowujące letnie katastrofy: „Wakacje niszczą związki”, „Pary rozwodzą się po urlopie” i „Za dużo rodziny latem”. Istotę problemu wyjaśnia tekst na temat najpoważniejszych przyczyn letnich kryzysów małżeńskich zamieszczony w gazecie „Expressen”. „Chociaż cudownie jest spędzać czas w letnim domu, który dzielicie z teściami, szwagrem, szwagierką i kuzynami waszych dzieci, to jednak co roku myślicie, że pora już kupić własną działkę i zbudować na niej coś oddzielnego. Wasz związek

dałoby się uratować, gdybyście nie musieli siedzieć sobie na głowie z innymi”.

Pomimo tych trudności Szwedzi powracają na archipelag, tęsknią za nim i idealizują go. Dla wielu jest to słynne szwedzkie *smultronställe* (w dosłownym tłumaczeniu „miejsce, gdzie rosną poziomki”, a w przenośni ukochana przestrzeń na ziemi). Prywatna oaza, w której naprawdę wypoczywają. Wielu ludzi pływa po archipelagu żaglówką lub łodzią motorową. Od wyspy do wyspy, z portu do portu, z nocowaniem na pokładzie. Jeśli dopisuje pogoda, a do tego załoga potrafi uważnie czytać mapy (skalista uroda archipelagu stanowi nawigacyjne wyzwanie), jest to bajkowe przeżycie.

Kiedy Daniel miał jakieś siedem lat, nasi szwedzcy przyjaciele zabrali nas na weekendowy rejs po archipelagu. Był już wrzesień, było słonecznie, ale zimno. W kapokach nałożonych na ciepłe kurtki podziwialiśmy popołudniowe słońce. W słynnym świetle krajów północy jest coś, co uwodzi, ale i stawia do pionu. Jakaś klarowność i przejrzystość. Tak jakby spojrzeć wokół po mocnym przetarciu oczu i zobaczyć wszystko jeszcze raz, ale dużo wyraźniej.

Mocno wiało, nasza łódź nabierała rozpędu, przesuwała się zgrabnie pomiędzy innymi łodziami. Dzieci, a było ich na pokładzie kilkoro, szalały ze szczęścia. Dorośli zebrali się na dziobie, tylko ja – matka Polka (wiadomo) – siedziałam na rufie, zerkając na brykających chłopców. I nagle zobaczyłam, jak jeden z nich wpada do wody – cicho niczym opadający z drzewa liść. Niezauważalnie. Tym chłopcem był oczywiście Daniel i nikt poza mną nie dostrzegł, co się stało. Wskoczyłam za nim natychmiast w moim ciepłym ubraniu, chociaż pamiętam jak przez mgłę, że chyba ściągnęłam buty. Teraz byliśmy już w lodowatej wodzie razem. Sporo czasu trwało, zanim łodzi udało się po nas zawrócić, ale niebezpieczna sytuacja zamieniła się w interesującą przygodę, którą przypłaciliśmy katarem. Nasi szwedzcy przyjaciele byli trochę zdziwieni: „Dlaczego zamiast krzyczeć »człowiek za burtą«, skaczesz za

dzieckiem do wody? Przecież miało kapok. Mogłaś najpierw rzucić przymocowane do łodzi liną koło ratunkowe”.



Alfredsbadet – musimy tu być każdego lata, Kocham ten widok.



Na Archipelagu Sztokholmskim nie ma wielu piaszczystych plaż, najczęściej opalasz się na skałach lub na pomoście.

No tak... Po co ta gorliwość? Po co ta histeria? Chyba wyszła ze mnie dramatyzująca słowiańskość. Albo wspomniana już matka Polka. A może skandynawski opanowany racjonalizm zderzył się z niecierpliwym polskim romantyzmem. Ci sami szwedzcy przyjaciele do dziś jednak wspominają tamtą historię z rosnącym z roku na rok uznaniem dla mojej reakcji (tak się chyba tworzą mity). No i Daniel przez długi czas rysował obrazki, na których „dzielna mama” skakała ratować go do wody. Tak że miało to jakiś sens, choć być może rzucenie koła byłoby skuteczniejsze. Mój mąż do dziś miewa koszmary senne, podczas których Daniel się topi. Siedząc na dziobie, nie widział, co się stało, i była to dla niego trauma. Ja śpię jak suseł. Można więc chyba pokusić się o stwierdzenie, że dramatyczne rzucanie się za dzieckiem do wody dobrze robi ludziom na psychikę. Na archipelagu można to na pewno przetestować. Dzieci na łodziach muszą mieć zawsze kapoki, bo wpadają do wody jak śliwki w kompot. Słyszałam nawet historię

o dzielnej załodze, która wyłowiła z morza spokojnie dryfującego w kapoku trzylatka, i to jeszcze zanim jego zniknięcie zauważyli ciesząc się dobrym wiatrem rodzice na płynącym gdzieś z przodu jachcie.



Każda wycieczka promem z centrum miasta pozwala zachwycić się wyspami archipelagu, zobaczysz je także w drodze do Helsinek.

Archipelag Sztokholmski jest dostępny dla wszystkich, ale dla wielu turystów pozostaje nigdy nieodkrytą tajemnicą. Wyjeżdżają ze Sztokholmu, nie mając pojęcia, że byli blisko raju i nawet do niego nie zajrzeli. Żeby odkryć którąś z wysp, nie trzeba ani mieć przyjaciół z żaglówką, ani wynajmować drewnianego domku na skierowej wyspie. Wystarczy wsiąść na prom w samym centrum miasta. Do niektórych miejsc można też wybrać się samochodem, kolejką podmiejską albo autobusem. W dobie internetu znajdziesz w sieci

wszystkie konieczne informacje. A pierwsze cele twoich wycieczek na archipelag mogą być na przykład takie:

Vaxholm – stolica archipelagu

Malowniczo położone miasteczko Vaxholm jest uważane za stolicę archipelagu i było moim pierwszym wyspiarskim odkryciem. Ze Strandvägen w samym centrum Sztokholmu płynie się tam promem trochę ponad godzinę. Można też dojechać autobusem, ale podróż wodna stanowi połowę przyjemności. To niezwykle piękne miejsce z drewnianymi domkami, malowniczymi willami położonymi tuż nad wodą, sklepikami, w których pełno różnych uroczych i kompletnie niepotrzebnych rzeczy, które i tak bardzo chcesz mieć.

www.vaxholm.se

Fjäderholmarna – blisko centrum

Będąc w Sztokholmie, wyspy Fjäderholmarna masz naprawdę w zasięgu ręki, bo znajdują się zaledwie pół godziny promem od centrum miasta. Wszyscy turyści trafiają na największą z nich: Stora Fjäderholm. Można tu wpaść na parę godzin, by poopalać się na nadmorskich skałach i popływać w bardzo charakterystycznym dla archipelagu krajobrazie. Podobnie jak w Vaxholm jest tu kilka dobrych restauracji, a do tego mała fabryka czekolady i warsztaty garncarzy.

www.fjaderholmarna.se

Sandhamn – szwedzki Sopot

„– Chodź tu, Pixie, do nogi! – nawoływał poirytowany mężczyzna.

Mimo że przez kilka dni jego jamnik był zamknięty na łądce, powinien okazać trochę zdyscyplinowania. Tak naprawdę należałoby go prowadzić na smyczy. Na Sandhamn psom nie wolno latem biegać samopas. Mężczyzna nie miał jednak serca przestrzegać tego nakazu, widząc, jak Pixie cieszy się, że wreszcie jest na wolności.

Poza tym o tak wczesnej porze nie było tu żywej duszy. Mieszkańcy nielicznych domów stojących wzdłuż plaży jeszcze spali. Ciszę zakłócało jedynie skrzeczenie mew. Deszcz, który spadł w nocy, uczynił powietrze rześkim. Słońce grzało mocno. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Piasek był mocno zbity, przyjemnie się po nim szło. Niskie sosny ustąpiły miejsca trawom wydmowym i bylicom oraz rzadko rozsianym kępom żółtych kwiatów. Na brzegu leżały wyrzucone przez fale wodorosty. Samotna żaglówka płynęła od strony Falkenskär na wschód. Gdzie się podział ten przeklęty pies?”^[20].

Sandhamn, znane w Polsce z licznych książek Viveki Sten, to duża wyspa słynąca z pięknych plaż i olśniewających lasów. W centrum miasteczka urzekają drewniane wille z przełomu XIX i XX wieku, wielki port i liczne restauracje. Sandhamn to także centrum nocnego życia na archipelagu i ukochane miejsce ludzi kultury. Bywał tu na przykład August Strindberg. Co ciekawe, na wyspie nie ma w ogóle samochodów. Dlatego jest to raj dla rowerzystów oraz spacerowiczów. Młodzi sztokholmczykcy odwiedzają wyspę po to, by za dnia pływać i grać w tenisa, a nocami szaleńczo imprezować. W tym sensie Sandhamn przypomina trochę Sopot, choć poza bliskością morza i intensywnością nocnego życia nic go z tym miastem nie łączy.

Wyprawa na wyspę poza sezonem wymaga trochę zachodu, bo trzeba najpierw dostać się do Stavnäs w Nacka, skąd płyną promy na Piaszczystą Wyspę. W sezonie można tam popłynąć ze Strandvägen w centrum miasta i zajmuje to jakieś półtorej godziny.

www.sandhamn.se

Älgö – na zły dzień

Älgö, czyli Wyspa Łosi, jest w rzeczywistości niedużym półwyspem w gminie Nacka, tuż obok Saltsjöbaden. Można tu dojechać samochodem lub autobusem z centrum miasta. O Älgö mało kto słyszał, a jest to jedno z najbardziej magicznych miejsc, jakie znam. Na początku XIX wieku była to malutka wioska rybacka. Jej mieszkańcy żyli głównie z dostarczania do Sztokholmu kolejnych porcji solonego śledzia. Potem zaczęli tu przyjeżdżać pierwsi letnicy z miasta, nad zatoką Erstaviken pojawiły się wspaniałe wille. Dziś większość ludzi mieszka tu przez cały rok. Tym, co mnie najbardziej w Älgö urzeka – poza wyjątkowo malowniczą naturą, w której jest pod dostatkiem wszechobecnej wody, skał i lasów – są okolice małej plaży (dwa pomosty, kilka skał) o nazwie Alfredsrobadet. Rozpościera się stamtąd wspaniały widok na zatokę i wijące się wzdłuż jej brzegów czerwone drewniane domy oraz stojące przy pomostach malutkie domki – sauny. To jedno z tych miejsc, w których nie sposób się nie uśmiechać.



Na Älgö sporo jest takich maleńkich saun tuż nad wodą.

VII.

Sztokholm widziany z wody



Przy bulwarze Strandvägen w centrum miasta.

*Stoję na skale i patrzę na zatokę.
Łodzie spoczywają na powierzchni lata.
„Jesteśmy lunatycy. Dryfujące księżyce”
Tak prawią białe żagle... ^[21]*

Sztokholmska obsesja pogody

Tak się składa, że tę część mojej opowieści o Sztokholmie napisałam w okresie, który przejdzie do historii szwedzkiej meteorologii, to znaczy w maju 2018 roku. W mieście panowały upały, jakich o tej porze roku nie odnotowano od 120 lat. Zamiast zbyt długo wyczekiwanej wiosny – zima roku 2018 również zajmie specjalne miejsce w annałach – przyszło gorące bezdeszczowe lato. W lipcu miało ono spowodować suszę w wielu częściach kraju oraz wielkie pożary, które gasili także polscy strażacy (witani w Szwecji jak zbawcy i bohaterowie). Jednak w maju nikomu nie przyszło do głowy, że nadmiar ciepła może być problemem w mieście, które do znudzenia bywa nazywane Wenecją Północy.

W maju Sztokholm oszalał ze szczęścia. Dosłownie. Zresztą jak co roku. Nie wiem, czy jest jakieś miejsce na ziemi, w którym dobra pogoda budzi większą ekscytację mieszkańców i w którym bardziej docenia się wiosnę niż w stolicy Szwecji. Nie wiercie, że to Londyn ma pierwszeństwo w konkurencji miast, w których najczęściej rozmawia się o pogodzie i najczęściej na nią narzeka. Tym miastem na sto procent jest Sztokholm. Nie dlatego, że ma znacznie surowszy klimat na przykład od Warszawy. Sztokholmskie zimy nie są ani dużo mroźniejsze, ani nawet bielsze, nad czym ubolewam jako miłośniczka sportów zimowych. Problem polega na mniejszej ilości światła, na krótkości dni i przytłaczającej szarości wczesnej wiosny. Krótko

mówiąc, chodzi o niezaspokojoną tęsknotę za światłem, na którą nie pomaga zalecane w Szwecji łykanie witaminy D.

Dlatego kiedy w końcu wychodzi słońce, a dni robią się cudownie długie (w czerwcu w Sztokholmie można doświadczyć niemal białych nocy), ludzie wpadają w ekstazę. Panujący na ulicach nastrój określiłabym mieszanką greckich bachanaliów ze świętem słońca Imperium Inków. Serca wyrywają się z klatek piersiowych, ludzie zagadują do siebie na ulicy, co jest rzeczą w ciemnej połowie roku niespotykaną. Mam wręcz wrażenie, że wiosną Szwedzi, ten najbardziej świecki naród świata, zaczynają wierzyć w istnienie cudów. Słoneczny dzień oznacza tłumy roześmianych ludzi w kawiarnianych ogródkach (gestykulują wówczas niczym Włosi). Inni piknikują na trawnikach parków w centrum miasta. Elegancko ubrani pracownicy biur zamiast iść na lunch, jedzą kanapki popijane kawą ze Starbucksa na schodach teatru Dramaten, z widokiem na zacumowane w zatoce Nybroviken statki i promy. Sztokholmczycy jak armia kameleonów zmieniają też barwy ochronne. Porzucają ukochaną w zimnych miesiącach czerń na rzecz popularnej latem bieli (podczas święta Midsommar większość kobiet poza obowiązkowym wiankiem nosi białą sukienkę). Inna rzecz, że dla nastawionych na perfekcjonizm sztokholmczyków słońce bywa też przyczyną stresu. Jedna z moich znajomych twierdzi, że wiosną i latem nie może się uporać z poczuciem winy.

– Zwłaszcza w weekendy, jeśli zamiast umówić się ze znajomymi w parku, decyduję się zostać w domu i oglądam zaległe odcinki ulubionego serialu...

Dobrze ją rozumiem. W słoneczne dni uparcie sprawdzam, czy nie da się pisać na tarasie, ale koniecznie bez dającego cień parasola, bo chodzi o to, żeby opalać ramiona. Nigdy się to nie udaje, ale co roku próbuję. Dobrą pogodę trzeba wykorzystać – to sztokholmska mantra. Nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa lato. Ludzie żartują czasem:

– Lato w tym roku było 23 lipca.

Rzecz jasna można dowolnie zmieniać tę datę.

Oczywiście na ogół aż tak źle nie jest, szwedzkie lato ma sporo ciepłych dni, które kończą się trochę chłodniejszymi wieczorami. I to właśnie latem można w pełni nacieszyć się wodną stroną miasta.



Wiosną w kawiarniach na powietrzu siedzą tłumy.



Kvarnholmen, Nacka, tuż obok centrum.

Miasto wysp i mostów

Sztokholm to miasto wysp i mostów. Otaczają je wody jeziora Mälaren i zatoki Saltsjön, która jest częścią Morza Bałtyckiego. Słodka woda miesza się ze słoną w położonym w samym centrum miasta Slussen, czyli śluzie.

Według Wikipedii i większości przewodników Sztokholm leży na 14 wyspach. Natomiast autor kilku książek o tym mieście Hans Harlén wylicza ich aż 22. Są to według niego: Kungsholmen, Djurgården, Stora Essingen, Långholmen, Lilla Essingen, Lambarön, Skeppsholmen, Reimersholme, Hässelby holme, Beckholmen, Bergsholmen, Kastellholmen, Alholmen, Lillholmen, Lindholmen, dwie wyspy Skrubba holmar (wschodnia i zachodnia), Rotholmen, Kaninholmen Drevviken, Kaninholmen Magelungen, Strömsborg i Bullerö.



Most Wazy, nazwany na cześć króla Gustawa Wazy.



Przed Grand Hotelem, najlepszym hotelem w Sztokholmie, znajduje się port Strömkajen, z którego można popłynąć łódką turystyczną.

Nie da się ukryć, że Harlén wprowadził do swojej statystyki naprawdę malutkie wysepki. Dość powiedzieć, że na znajdującej się w samym centrum miasta Strömsborg mieści się tylko jeden budynek! Z kolei Bullerö, wyspa, do której dotrzeć można jedynie prywatną łodzią albo wodną taksówką, położona jest tak daleko od miasta, że każdy rozsądny obserwator uzna, że to Archipelag Sztokholmski. Jest jednak prawdą, że

formalnie Bullerö od 1967 roku uznawana jest za wyspę przynależną administracyjnie do stolicy.

Co do liczby mostów w Sztokholmie, to także nie ma na ten temat zgodności w źródłach. Cóż, to logiczna konsekwencja problemu z ustaleniem liczby wysp. Powiedzmy więc, że na oficjalnej stronie miasta można przeczytać, że Sztokholm to miasto 57 mostów, i tego się trzymajmy.

A teraz zamknij oczy i wyobraź sobie słoneczny dzień w mieście wszechobecnej wody. Jak chciałbyś go spędzić? Załóżę się, że unosząc się na falach. W Sztokholmie jest to możliwe do zrealizowania na wiele sposobów.

Łódka turystyczna z przewodnikiem

Po całym mieście i wokół niego krążą liczne łodzie turystyczne. Można się nimi wybrać na wycieczkę pod sztokholmskimi mostami, opłynąć centralnie położoną wyspę Kungsholmen albo niezwykle malowniczą i pełną zieleni Djurgården. Można zrobić trzygodzinny wypad na Archipelag Sztokholmski, a jeśli jest akurat zima, wybrać się na wyprawę po tych fragmentach zbiorników wodnych, których nie skuł lód. Ceny takich wycieczek wahają się w granicach 200–300 koron. Niektóre firmy mają w swojej ofercie koncepcję łączoną: ważny przez 24 godziny bilet pozwala na zwiedzanie miasta łódką oraz turystycznym autobusem w indywidualnym tempie – wskakujesz do łodzi albo autobusu na dowolnym postoju i wysiadasz, kiedy i gdzie chcesz. Taki bilet kosztuje 400–500 koron.

Miejsca na turystycznych łodziach warto rezerwować z wyprzedzeniem przez internet, ale można też postawić na spontaniczność i wybrać się do przystani w centrum miasta. Bilet na przejażdżkę łodzią po mieście można kupić przy Strömkajen – w niedużym porcie z widokiem na Zamek Królewski i starówkę, który znajduje się tuż obok najbardziej luksusowego w mieście Grand Hotelu, albo kilka kroków dalej przy

Nybroplan (port dla łodzi turystycznych jest naprzeciw teatru narodowego Dramaten).

www.stromma.se

www.redsightseeing.se

Wyprawa amfibią

Kiedy Daniel miał pięć lat, wybraliśmy się z nim w długą podróż po Stanach Zjednoczonych. Nasze dziecko przetrwało dzielnie wszystkie szaleństwa rodziców, łącznie z przejazdem samochodem przez pustynię Mojave w czterdziestostopniowym upale. Ale pomimo licznych atrakcji największą przyjemnością podczas pierwszego pobytu w Ameryce był dla Daniela... hotelowy basen. Znalazło się też miejsce, w którym Daniel przeżył olśnienie czymś zupełnie innym niż sztuczny zbiornik wody. W dość nudnym z perspektywy dziecka Bostonie zachwyciły go jeżdżące po tym mieście żółte amfibie, słynne Boston Duck Tours. Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy: „Jakie to dziwne, że tak chętnie podchwytyjący modne trendy Sztokholm nie oferuje turystom przejazdów po mieście identycznymi pojazdami”. Ponieważ jedyną gwarancją, jaką mamy w życiu, jest to, że wszystko się zmienia, Daniel dorósł i nie kocha już basenów, a Sztokholm doczekał się własnej amfibii! Jeździ ona po mieście od 2013 roku, oferując turystom zwiedzanie miasta połączone z opowieściami o nim (w 80 procentach po angielsku). Dzięki tej atrakcji można też poczuć, jak to jest, kiedy bardzo ciężki samochód wjeżdża do wody i zamienia się w łódkę.

Wyprawę amfibią firmy Ocean Bus polecam wszystkim, którzy lubią trochę szaleństwa podczas zwiedzania. Oczywiście jest to wariactwo w pełni kontrolowane. O Szwedach mawia się czasem, że mają obsesję na punkcie bezpieczeństwa i są *trygghetsnarkomaner* (narkomanami ochraniają się), więc pasażerowie amfibii otrzymują na wszelki wypadek kamizelki ratunkowe. Ocean Bus to wybór także dla tych, którzy chcą wspierać młodych, kreatywnych ludzi walczących

z okowami biurokracji. Właściciele amfibii noszącej imię księżniczki Estelle, Mikael Odell oraz bracia Paul i Max Ekwall, często opowiadają o tym, jak ciężką walkę musieli stoczyć ze szwedzkimi, a także unijnymi urzędnikami, aby zrealizować swoje marzenie. Dobrze, że się uparli i pospieszyli, bo marzenia mają przecież to do siebie, że się zmieniają. Na przykład Daniel w ogóle już nie marzy o przejażdżce amfibią – ani w Bostonie, ani w Sztokholmie.

www.oceanbus.se

Gdzie popływać kajakiem

Oglądanie miasta z perspektywy sunącej po tafli wody kaczki to nie jest zwykle zwiedzanie, ale rozkosz i medytacja w ruchu. To najlepszy sposób na opalanie, trening ramion oraz mięśni brzucha, a także świetna okazja, by w spokoju pogadać z najbliższymi. Pływanie po Sztokholmie kajakiem stało się ważną tradycją dla mnie i mojej mamy. Pływamy każdego lata, testując różne wypożyczalnie i zbiorniki wodne. Moja mama twierdzi, że to jedna z rzeczy, które kocha w życiu najbardziej. Zabawnie jest więc przypomnieć sobie, że kiedy pierwszy raz zabrałam ją na kajak, mimo że sama nie byłam żadną ekspertką, mama wpadła w panikę.

– Jak możesz mnie na coś takiego narażać? Nie jestem młodą kobietą! – krzyczała.

Ja oczywiście też krzyczałam. Jesteśmy w naszej relacji raczej polskie i bardzo mało bergmanowskie: żadnych stłumionych uczuć. Po chwili stresu nastąpiło ukojenie i radość.



Pływanie kajakiem po Sztokholmie gwarantuje przestrzeń na rozpostarcie wiosł, łagodną taflę wody i niesamowite widoki. Nijak się to ma do uroczego, ale nieco zatłoczonego spływu Krutynią, podczas którego nadmiar entuzjastów kajakarstwa wokół bywa stresujący. Wypożyczalni jest tu pod dostatkiem, wszystkie zapewniają wliczone w cenę kapoki, zdarza się, że można też dostać wodną mapę miasta. W sezonie warto zarezerwować kajak z wyprzedzeniem. Cena wypożyczenia waha się w granicach 400–600 koron za dwie godziny

w dwójce i 200–300 koron za dwie godziny w jedyńce. Niektóre wypożyczalnie mają też w ofercie wycieczki z przewodnikiem.

Dobre i sprawdzone wypożyczalnie kajaków

Långholmen kajak i Rålis kajak

Obie wypożyczalnie znajdują się blisko siebie, choć na różnych wyspach: jedna na Långholmen, druga na Kungsholmen. Położone są w centrum, wystarczy więc kilka ruchów wiosła, żeby oglądać z wody Gamla Stan, czyli sztokholmską starówkę, lub majestatyczny Stadshuset. W obu miejscach można także wypożyczyć deskę SUP. W okolicach Midsommar Rålis kajak organizuje pływanie o północy (w Sztokholmie jest wtedy zupełnie jasno!), a dochód z tego wydarzenia przekazywany jest na cel dobroczynny.

www.langholmenkajak.se

www.raliskajak.se

Sjöcaféet

Połączona z kawiarnią wypożyczalnia pod mostem Djurgårdsbron poza kajakami ma też w swojej ofercie rowery wodne i zwykłe rowery. To miejsce idealne dla tych, którzy chcą najpierw zobaczyć popularne atrakcje turystyczne Sztokholmu, takie jak Vasamuseet (Muzeum Vasa), muzeum dla dzieci Junibacken, Muzeum Abby albo skansen, a potem odpocząć na kajaku sunącym powoli wokół wyspy Djurgården, na której owe atrakcje się znajdują.

www.sjocafeet.se

Brunnsvikens Kanotklubb

Jedna z największych i najtańszych wypożyczalni w mieście położona nad zatoką Brunnsviken jest idealnym miejscem dla początkujących kajakarzy (ja sama też zaczęłam tu swoją kajakarską przygodę). Można stąd popłynąć do Haga parken, gdzie mieszka księżniczka Victoria z rodziną, albo zawinąć do jednego z licznych mijanych po drodze kąpielisk (łącznie ze słynną skalistą plażą dla naturystów).

www.bkk.se

Gdzie pływać i plażować

Przed wskoczeniem do wody w Sztokholmie może powstrzymać brak pogody, ale na pewno nie brak kąpielisk i przestrzeni do rozłożenia ręcznika lub plażowego koca. Pływać można w samym centrum miasta i na przedmieściach, w morzu i w jeziorze (a raczej jeziorach, bo jest ich wokół miasta wiele).





Pływanie paddle board i sup board to obok kajaków jeden z lepszych sposobów na odkrywanie letniego Sztokholmu (deski wypożyczysz w tych samych miejscach, co kajaki).

Plaże w centrum miasta

Tantobadet

Duża piaszczysta plaża nad zatoką Årstaviken na wyspie Södermalm. Są tu też pomosty i trampoliny do skoków, a nawet ścianki do wspinania. Bez problemu kupisz tu coś do jedzenia i weźmiesz prysznic po całym dniu opalania.

Brunnsvikens strandbad

Kolejna piaszczysta plaża, w której pobliżu znajdują się też skały dla osób wolących rozłożyć ręcznik na rozgrzanym słońcem kamieniu. Leży niedaleko Östermalm i uniwersytetu.

Långholmens strandbad

Świetne plaże i spokój w samym centrum miasta znajdziesz na niedużej wyspie Långholmen, pomiędzy Södermalm a Kungsholmen. Do 1975 roku znajdowało się tu

tylko więzienie. Dziś na wyspie nadal mieszka niewiele osób, większość miejsca zajmują wspaniałe tereny rekreacyjne.

Plaże i kąpieliska blisko centrum

Kąpielisko w Saltsjöbaden

Saltsjöbaden to luksusowa dzielnica w gminie Nacka, na południe od centrum Sztokholmu. Łatwo tu dojechać autobusem lub kolejką podmiejską Saltsjöbanan. Warto to zrobić także po to, by zażyć kąpieli w legendarnym Saltsjöbadens Friluftsbad uważanym za najpiękniejsze kąpielisko pod gołym niebem w Szwecji.

Wybudowano je na początku XX wieku na wzór powstających wówczas w Europie kąpielisk uzdrowiskowych. Można tu się opalać i pływać nago, dlatego zaplanowano oddzielne miejsca do kąpieli dla kobiet i dla mężczyzn; jest też wspólna plaża dla rodzin z dziećmi. Kąpielisko jest wyposażone w przyprawiające o zawrót głowy wieże do skoków, sauny i restauracje, a wszystko w pomalowanych na bładozielono drewnianych budynkach, które wyglądają tak samo jak sto lat temu. Gdy tu trafisz, koniecznie skorzystaj z którejś z czarujących oldskulowych przebieralni i połóż się na wielkim drewnianym tarasie, z którego można wskoczyć prosto do morza.

www.saltisbadet.se

Hellasgården

Tereny rekreacyjne nad jeziorem Källtorpssjön warte są odwiedzenia zarówno zimą, jak i latem. I można tu pływać także przez cały rok! Latem warto ulokować się na którymś z pomostów lub plaż wokół jeziora. Zimą można posiedzieć w saunie, a potem wybiec na dwór i skoczyć do przerębla wyrąbanego w lodzie! Zdarza mi się jeździć na tym jeziorze na łyżwach lub śmigać wokół niego po świetnych trasach dla narciarzy biegowych. I nic mnie tak wówczas nie cieszy, jak widok entuzjastów kąpieli o każdej porze roku, którzy wybiegają z sauny nago... ale w czapce!

www.hellasgarden.se

Plaże naturystów

Szwedzi mają zupełnie inny stosunek do ciała niż Polacy. Nie wstydzą się nagości, nie otulają ciasno ręcznikami w basenowych przebieralniach. Niektóre badania mówią, że 60 procent Polaków nie ogląda swoich małżonków nago, a Szwedzi chodzą całymi rodzinami do

koedukacyjnych saun. W takiej saunie chętnie zasiądą również koledzy i koleżanki z pracy; toalety także coraz częściej są koedukacyjne. Jednak wzrastająca liczba muzułmanów w Szwecji prowadzi do zaognionych dyskusji na temat wprowadzania na publicznych basenach godzin „tylko dla kobiet” oraz rozdzielania chłopców i dziewczynek podczas zajęć wychowania fizycznego w szkole. Szwecja wielokulturowa jest wstydliva. Imigrant zasłania ciało, Szwed przebiera się bez ręcznika i chętnie pływa nago. Dlatego w Sztokholmie i okolicach nie brakuje plaż nudystów. Najpopularniejsze to: Ågesta naturistbad Magelungen, jedna ze skalistych plaż Långholmen, równie skalista plaża nad zatoką Brunnsviken (tuż obok Instytutu Botaniki Uniwersytetu Sztokholmskiego), kąpielisko obok sauny nad jeziorem Källtorpssjön w Nacka, Breviksbadet w Åkersberga.

Miejskie spacery nad wodą

Powierzchnia Polski wynosi 312 679 kilometrów kwadratowych. Powierzchnia Szwecji – 447 435 kilometrów kwadratowych. W Polsce mieszka 38,5 miliona ludzi, a w Szwecji 10 milionów. Prosta matematyka wyjaśnia, dlaczego Szwecja to kraj, w którym na spacerze zawsze czujesz wokół siebie przestrzeń. Nawet w Sztokholmie, chodząc po centrum, możesz wziąć głęboki oddech i poczuć, jaki świat jest wielki, a człowiek w nim mały, ale wolny. W Polsce różnie z tym bywa, także podczas spacerów nad wodą. Na bulwarach nad Wisłą w Warszawie potrafi być tak tłoczno, że trudno wcisnąć szpilkę. Wędrując wzdłuż nadbrzeży sztokholmskich, masz zagwarantowany spokój i względną ciszę. Chyba że wybierzesz się w upalny weekend na jeden z głównych deptaków miasta, Strandvägen.

Sama uwielbiam chodzić, prowadząc podczas spaceru długie rozmowy. Uprawiam tę sztukę z moją mamą, z mężem i z synem. Chodzimy,

dyskutując jak uczniowie Arystotelesa – można chyba powiedzieć, że jesteśmy perypatetykami.

Czasem lubię też posnuć się po mieście samotnie, jak rasowy sztokholmski *flanör* (spacerowicz). Najsłynniejszym melancholijnym spacerowiczem w tym mieście był jeden z moich ulubionych szwedzkich pisarzy, Hjalmar Söderberg (1869–1941). Jego podobiznę znajdziesz w parku Humlegården przed Kungliga biblioteket (Biblioteką Królewską). Söderberg był doskonałym obserwatorem i w czasie długich wędrówek po mieście podglądał i podsłuchiwał ludzi oraz zapamiętywał obrazy z miejskiego życia. W jednej z pierwszych scen jego powieści *Doktor Glas* główny bohater wędruje wieczorną porą po Sztokholmie. Jego spacer zaczyna się na Vasabron (Moście Wazy) łączącym dzielnicę Norrmalm z Gamla Stan. Most ten, położony nad cieśniną Norrström w samym centrum, oferuje jedną z piękniejszych panoram miasta. Widać z niego okrągły budynek Riksdagshuset – siedzibę szwedzkiego parlamentu – i Zamek Królewski.



Blå Porten – Błękitna Brama na Djurgården.

Nadwodnych tras spacerowych jest w Sztokholmie pod dostatkiem. Na przykład trzykilometrowa przechadzka po centrum Saltsjöstråk. Trzymając się tej przygotowanej dla turystów ścieżki, można przejść nadbrzeżem od Slussen przez Nybrokajen i Strandvägen do Djurgårdsbron, czyli mostu prowadzącego na wyspę Djurgården. Ponieważ Slussen na kilka najbliższych lat pochłonie przebudowa, spacer warto zacząć na wysokości starówki, najlepiej od Zamku Królewskiego.

Mój ulubiony spacer nad wodą, który chętnie zamieniam na wyprawę rowerową tym samym szlakiem, prowadzi jednak wokół Djurgården. Najlepiej zacząć go od symbolicznego wejścia na wyspę przez Blå Porten – cudownie kiczowatą błękitną bramę, którą zdobią trzy złote

jelenie. Stanowi ona wspomnienie po ogrodzeniu, które w XVII wieku otaczało cały ten teren. Zbudował je król Karol XI, dla którego wyspa była prywatnym terenem łowieckim. Płot chronił sarny przed wilkami i powstrzymywał zwierzynę przed wychodzeniem zimą na lód.

Po przejściu przez bramę skręcamy w prawo, potem w lewo i idziemy chwilę wzdłuż wody, podziwiając najpiękniejsze kamienice Östermalm, a potem przecinamy Djurgården pośrodku, na przykład idąc wzdłuż Valmundsvägen, żeby dostać się na południowy brzeg wyspy. Jeśli po drodze chcemy przez cały czas trzymać się wody, możemy też wędrować lub pedałować wzdłuż kanału Djurgårdsbrunnskanalen. To właśnie tu najczęściej widzi się bernikle białolice – dzikie gęsi, które naturalnie zamieszkują Grenlandię, Arktykę i północną Norwegię. Do Sztokholmu trafiły za sprawą znajdującego się w Skansenie na Djurgården zoo, z którego część z nich po prostu uciekła i rozpoczęła życie na własną rękę (a raczej skrzydło).



Danvikshem był kiedyś szpitalem psychiatrycznym, który brytyjska flota pomyliła z Zamkiem Królewskim. Ten wspaniały budynek widać z przylądka Biskupsudden na Djurgården.

Wspaniałe widoki gwarantuje pójście w stronę przylądka Biskupsudden, gdzie znajduje się nieduży port i kawiarnia Café Ekorren (U Wiewiórki). Po drugiej stronie zatoki widać z oddali Södermalm, a bliżej Nacka z imponującym, podobnym do pałacu budynkiem Danvikshem, w którym znajduje się dom starców. Daniel pracował tam ostatniego lata na oddziale pacjentów z demencją. Praca ta, oferowana młodym ludziom przez gminę, polegała głównie na rozmowach z pacjentami, graniu w gry planszowe, wspólnym oglądaniu filmów i spacerowaniu. Dlatego jeśli miałabym przenieść do Polski jakieś szwedzkie metody wychowawcze, to na pewno postawiłabym na tego typu letnie prace dla młodzieży. Uczą dojrzałości. Dają też poczucie robienia czegoś sensownego.

Wracając do budynku Danvikshem, wcześniej mieścił się w nim szpital psychiatryczny. Tak okazały, że do dziś krąży po Sztokholmie anegdota

o tym, jak brytyjska flota podczas oficjalnej wizyty w Szwecji oddawała przed szpitalem psychiatrycznym salwy honorowe, bo kapitan był pewien, że właśnie mija Zamek Królewski.



Willa na Djurgården.



„Wielorybie cielska” promów i statków są jednym z charakterystycznych elementów miejskiego krajobrazu.



W nowoczesnym Hammarbysjöstad nawet pomosty mają oryginalną formę.

Z Biskupsudden proponuję iść cały czas wzdłuż wody w stronę przylądka Blockhusudden. Po drodze minie nas z pewnością kilka potężnych promów płynących w stronę Helsinek. To bardzo malowniczy widok. Jednocześnie można podziwiać dostojne stare dęby, które pierwotnie sadzono tu dla drewna na budowę okrętów (są wśród nich trzystuletnie okazy). Uwielbiam przyglądać się ciągnącym się wzdłuż nabrzeża willom, wśród których można zobaczyć autentyczne cuda architektury. Na Blockhusudden polecam „lody z widokiem” w kawiarni Blockhusporten. Można tu też wsiąść na prom, który zabierze nas na wyspę Lidingö lub do Nacka Strand. Jeśli nie chcemy nigdzie płynąć, idźmy dalej wzdłuż linii brzegowej. W ten sposób da się wrócić do centrum i Blå Porten. Po drodze można też zażyć kąpieli, choć w tym miejscu morze jest zimne, nawet w najbardziej upalne lato.

Najlepsze miejsca piknikowe

Rålambshovsparken – potocznie zwany Rålis

Jeden z największych parków w Sztokholmie. Znajduje się na wyspie Kungsholmen nad jeziorem Mälaren z widokiem na położoną w samym sercu miasta zatokę Riddarfjärden. Można tu nie tylko piknikować, ale także zagrać w bule i pojeździć na deskorolce (według Daniela Rålis ma najlepszy skatepark w mieście). Można też zjeść w którejś z licznych restauracji albo zobaczyć darmowy spektakl Teatru Parkowego. Do godziny 24 (do której zezwala prawo) piknikujący mogą swobodnie popijać wino lub piwo.

Humlegården – zwany Humlan

To mój ulubiony sztokholmski park, także dlatego, że znajduje się w nim wspaniała Biblioteka Królewska oraz wyjątkowo piękne i potężne kasztanowce. Humlegården nie sposób przegapić, ta oaza spokoju i zieleni znajduje się tuż obok często odwiedzanego przez turystów, zawsze gwarne Stureplan w eleganckiej dzielnicy Östermalm^[22]. Jeśli chcesz zobaczyć, jak piknikują sztokholmscy prawnicy i bankowcy, wybierz się do Humlegården w słoneczny dzień w porze lunchowej. Jeśli chcesz zobaczyć demonstracje lewicowych aktywistów, idź do Humlegården w weekend. Tam jest też zawsze sporo studentów i eleganckich starszych pań z niedużymi pieskami, łatwo tu wpaść na sztokholmskich celebrytów z dziećmi, bo Humlan ma bardzo dobry plac zabaw, a wokół parku znajdują się najlepsze i najdroższe adresy w mieście.

Kungsträdgården – znany jako Kungsan

To park w dzielnicy Norrmalm, w samym centrum miasta. Odbywają się tu koncerty, zimą można pojeździć na łyżwach. Są tu restauracje, a obok budynku opery jest też spory trawnik, gdzie można rozłożyć piknikowy koc. Rozciąga się stąd wspaniały widok na przesmyk wodny Strömmen i znajdujący się po drugiej stronie Zamek Królewski. Na początku maja lepiej przenieść się na ławkę w głębi parku, bliżej ulicy Hamngatan. To wyjątkowy czas, kiedy Kungsan zamienia się w najbardziej magiczne miejsce w mieście. W mediach społecznościowych krążą wtedy zdjęcia robione wyłącznie tutaj, tysiące selfie i fotek zakochanych par w pastelowej poświacie na tle kwitnących wiśni. Tak, w Kungsträdgården sztokholmczycy kultywują japońskie *hanami*, czyli tradycję podziwiania *sakura*, kwiatów wiśni. Drzewka wiśni znajdujące się w tym parku były darem dla króla Szwecji od cesarza Japonii. Zostały posadzone w 1998 roku, kiedy Sztokholm był Europejską Stolicą Kultury.

Vasaparken

Miejski park w dzielnicy Vasastan, niedaleko S:t Eriksplan. Jest tu mnóstwo miejsca dla bawiących się dzieci i ławeczki dla babć czytających im *Karlssona z dachu* (Karlsson skakał właśnie po dachach Vasastan!). Jest tu placyk Astrid Lindgrens Terrass – naprzeciwko ulicy Dalagatan 46, gdzie mieszkała pisarka. Poza tym bardzo dużo trawników i przestrzeni. W Vasaparken o każdej porze dnia i nocy można popijać przyniesione na piknik wino.

Djurgården

Na najbardziej zielonej wyspie miasta można urządzić piknik właściwie wszędzie, a miejsca jest tu pod dostatkiem. Idealny punkt z widokiem na wodę znajdziesz, jeśli skęcisz w lewo po przejściu mostu Djurgårdsbron i wejdiesz na Djurgården przez wspomnianą już bramę Blå Porten (zwaną też Djurgårdssporten). Zaprojektowana przez Johana Adolfa Hawermana i zbudowana w 1849 roku jest w stanie wprowadzić w dobry nastrój, nawet jeśli nie dopisuje pogoda.



Na osiedlu Järla sjö w Nacka domy dosłownie wyrastają z wody, a właściciele mieszkań parkują swoje kajaki na balkonach.

VIII.

W górę albo w dół



Widok z okna na ostatnim piętrze Kulturhuset.

Sztokholm widziany z góry

Sztokholm to miasto tak malownicze, że czasem trzeba na nie popatrzeć z lotu ptaka. Jednocześnie urok miasta bierze się także stąd, że nie ma w nim zbyt wielu wysokich budynków. Sztokholm przez lata bronił się przed wieżowcami, choć ostatnio zaczęło się to zmieniać. Włodarze miasta zamierzali o własnych drapaczach chmur. W dzielnicy Vasastan budowane są na przykład apartamentowce Norra tornen (Północne wieże), które wyglądają jak konstrukcje ułożone z kartonowych pudełek. Zaprojektował je holenderski architekt Reinier de Graaf; mają mieć 125 i 110 metrów wysokości. Ilekroć przejeżdżamy obok nich z Marcinem i Danielem, wdajemy się w dyskusję na temat tego, czy to projekt genialny, czy okropny. Moi panowie są wieżami zachwyceni, we mnie na ich widok budzi się konserwatystka. Nie pasują mi do Sztokholmu i już! Nie zmienia to faktu, że aby przyjrzeć się temu miastu jak najlepiej, należy się czasem gdzieś wspiąć. Oto kilka propozycji.

Kaknästornet

Licząca 155 metrów wieża telewizyjna Kaknäs do 2000 roku była najwyższym budynkiem w całej Skandynawii. Na szczycie wieży znajduje się taras widokowy. Jest też dobra restauracja i Sky Bar. A także sporo turystów.

Fåfången

Fåfångan (czyli... Próżność) to skalista góra położona na wschodnim krańcu Södermalm tuż nad wodą. Jest idealnym celem wycieczkowym, bo na szczycie znajduje się pod dostatkiem miejsc, z których widać całe miasto oraz zatokę i sunące po niej majestatyczne promy. Jest też restauracja i kawiarnia. Dla mnie Fåfångan to poza licznymi wspomnieniami z letnich spacerów także pewien bardzo deszczowy sylwester, który spędziliśmy z przyjaciółmi w jednym z niewielu otwartych tej nocy barów na Södermalm (w Sztokholmie w sylwestra nie ma co liczyć na spontaniczne wypadki do barów czy restauracji. Jeśli nie wykupisz biletów na jakąś zamkniętą imprezę, pozostają ci domówki). Przed dwunastą zdecydowaliśmy, że szampana należy otworzyć na szczycie Fåfångan, bo stamtąd będą widoczne wspaniałe fajerwerki. Ponieważ do północy było już mało czasu, skończyło się tak, że z szampanem w kieliszkach biegliśmy w deszczu na szczyt.

Narty z widokiem

Bardzo blisko Fåfångan znajduje się sztucznie usypana góra Hammarbybacken. Zimą działają tu dwa wyciągi narciarskie (jest też wypożyczalnia sprzętu), można więc sobie poszusować, napawając się przy okazji pięknymi widokami na miasto. Latem na Hammarbybacken warto wspiąć się z kocem i kanapkami.

Po dachach niczym Karlsson

Miłośników przygód zachęcam do wybrania się na spacer... po sztokholmskich dachach. Wycieczki takie organizuje firma Takvandring. W ofercie są niezapomniane przeżycia oraz pełne bezpieczeństwo, które gwarantują ochronne kaski i opieka doświadczonych wspinaczy.

www.takvandring.com



Zimą na Hammarbybacken szaleją narciarze, a latem ekstremalni rowerzyści.



Oczywiście w Sztokholmie nie brakuje też lodowisk.



Jedna z wielu bibliotek w Kulturhuset.

Himlen

Himlen, czyli Niebo, to najlepsza restauracja z widokiem na Sztokholm. Znajduje się na szczycie wieżowca Skrapan na Södermalm.

www.restauranghimlen.se

Gondolen

To „zawieszona” pod mostkiem prowadzącym do windy Katarinahissen, nieco oldskulowa restauracja z widokiem na miasto i wodę (w ostatnim czasie także na wielką przebudowę Slussen). Kiedy pracowałam w Instytucie Polskim, bywałam w tym miejscu bardzo często. Niezbyt miła obsługa, średnie lunchy, ale dla widoku naprawdę warto to miejsce odwiedzić.

www.eriks.se/gondolen/

Kulturhuset

To miejsce wspaniałe nie tylko ze względu na panoramę centrum miasta roztaczającą się z ostatniego piętra, gdzie znajdują się restauracja i tarasy widokowe. Ten zaprojektowany przez Petera Celsinga i wybudowany na przełomie lat 60. i 70. zeszłego wieku pełen rozmachu i światła dom kultury jest najczęściej odwiedzaną instytucją kulturalną w Szwecji. Odbywają się tu wystawy (zawsze kilka naraz), działa teatr, kino, kawiarnie i liczne biblioteki. Jedną nazywa się TioTretton i jest przeznaczona dla dzieci w wieku dziesięć–trzyście lat. Powstała, bo ktoś mądry zauważył, że ta grupa wiekowa czuje się już za stara na to, by nadal odwiedzać biblioteki dla dzieci, ale jest wciąż za młoda na bibliotekę dla młodzieży. Co więcej, dzieciom w tym wieku rzadziej już czytają rodzice, a same nie zawsze chętnie sięgają po książki, bo powoli wciągają je pochłaniacze czasu takie jak Facebook czy Instagram. W bibliotece TioTretton dzieci mogą czytać, leżąc na wielkich pufach (na których można też w przerwie od czytania poskakać) lub na wygodnej leżance pod sufitem i z widokiem na miasto. Mogą także wziąć udział w zajęciach teatralnych, nagrywać piosenki, uczyć się animacji i gotować we wspólnej kuchni. Wszystko to w pobliżu książek. Jedynymi dorosłymi, którzy mają prawo przebywać razem z nimi w tym pobudzającym wyobraźnię miejscu, jest świetna kadra pedagogiczna biblioteki. Rodzice nie przekraczają symbolicznej, narysowanej na podłodze granicy. W Kulturhuset jest również biblioteka dla najmłodszych Rum för barn, w której poza półkami z książkami są też zjeżdżalnie, zabawne dziuple do zabawy w chowanego i bardzo dużo miłych zakątków do czytania razem z mamą lub tatą. Działa tam także najlepsza w Sztokholmie międzynarodowa scena literacka, na której można usłyszeć prowadzone w języku angielskim rozmowy z pisarzami tej rangi co Paul Auster czy Donna Tartt. Niestety do roku 2020 Kulturhuset będzie remontowany.

www.kulturhusetstadsteatern.se



Widok na plac Sergels torg z okien biblioteki komiksów.

Sztokholm od dołu

Sztokholm – poprzecinane niekończącymi się tunelami miasto wybudowane na skałach – słynie z wyjątkowych stacji metra. Większość z nich to prawdziwe dzieła sztuki. Czasami mówi się, że sztokholmskie metro jest największą na świecie galerią, bo aż 90 spośród 100 stacji jest ozdobionych freskami, malowidłami, mozaikami, rzeźbami i artystycznymi instalacjami. Pracowało nad nimi prawie 200 artystów. Duża część stacji została wykuta w skale, co dodatkowo zainspirowało twórców i stworzyło im niespotykane nigdzie indziej na świecie możliwości kreowania przestrzeni. Stało się to możliwe również dzięki temu, że w Szwecji od 1971 roku dwa procent kosztów każdej finansowanej przez państwo budowy przeznacza się na sztukę;

a wcześniej, od 1937 roku, przekazywano na ten cel jeden procent budżetu budowy.

Jedną z najbardziej spektakularnych stacji metra jest Kungsträdgården, ale warto zobaczyć także takie stacje jak Solna Centrum, Rinkeby, Stadion i T Centralen.

Bezpłatne wycieczki:

<https://www.visitstockholm.com/art-in-the-subway/stadion/>



Stacja metra Kungsträdgården znajduje się w pobliżu parku o tej samej nazwie (Kungsträdgården, czyli Ogród Królewski).





Stacja znajduje się 40 metrów pod ziemią. Skaliste ściany porasta w wielu miejscach mech i inne dobrze znoszące brak światła rośliny. Jest to zgodne z artystyczną wizją stworzenia podziemnego ogrodu.



Rzeźby na stacji Kungsträdgården są kopiami rzeźb ze słynnego, wspaniałego architektonicznie pałacu De la Gardieska zwanego Pałacem Makalös, który został zbudowany w XVII wieku w pobliżu Kungsträdgården i spłonął w 1825 roku.

IX.

Śladami poloników.

Pamiętki nie tylko po „potopie”



W zamku Skokloster można podziwiać imponującą kolekcję sztuki.

Profesor Ewa Teodorowicz-Hellman to w naukowym środowisku Sztokholmu kobieta instytucja – dzięki pracy i zaangażowaniu jej i profesora Leonarda Neugera przez długie lata polonistka na Uniwersytecie Sztokholmskim istniała i miała się świetnie. Ta kobieta o skromnej posturze i energii wulkanu zbudowała wiele mostów pomiędzy Szwecją a Polską. Zawsze przy tym wspierała inne kobiety.

Spotykałyśmy się na różnych etapach mojego szwedzkiego życia. Zawsze miała w sobie mnóstwo życzliwości. Gdy krótko po tym, jak przeprowadziłam się do Sztokholmu, nie wiedziałam nic i nie znałam nikogo, a zdecydowałam się skończyć tu drugie studia, pomogła mi w przeliczaniu punktów z kulturoznawczych studiów w Polsce. Potem zostałam dyrektorką Instytutu Polskiego w Sztokholmie i zaczęłyśmy ze sobą regularnie współpracować, między innymi w związku z wielką wystawą *Szwedzkie łupy wojenne* w sztokholmskim Livrustkammaren (Królewskiej Zbrojowni). W moim kolejnym, tym razem pisarskim życiu zdarzało mi się na jej zaproszenie prowadzić na sztokholmskiej polonistyce zajęcia na temat kultury polskiej. Ewa, bo od lat jesteśmy ze sobą na ty, jest skarbnicą wiedzy o tym, co zostało skrzętnie ukryte w szwedzkich muzeach i bibliotekach i co powinno zainteresować „historycznie wnikliwych” Polaków odwiedzających Sztokholm.



Zamek Skokloster nie przypadkiem do złudzenia przypomina warszawski Zamek Ujazdowski.

POLSKA HISTORIA ZACHOWANA W SZWEDZKICH MURACH

rozmowa z prof. Ewą Teodorowicz-Hellman

Przez wiele lat prowadziłaś badania nad polonikami w Szwecji. Czy mogłabyś wytłumaczyć, czym one są?

W moich pracach badawczych termin *polonika* rozumiany jest jako dokumenty, rękopisy, druki, które znajdują się w szwedzkich bibliotekach, muzeach i archiwach; są to materiały o polskiej proweniencji, czyli napisane przez polskich autorów, wydane w Polsce albo dotyczące Polski i polskiej kultury. W szerszym znaczeniu za polonika uważa się także przedmioty i dzieła sztuki polskiego pochodzenia lub z Polską związane. Niekoniecznie są to obiekty z dalekiej przeszłości i nie muszą być wcale zdobyczami

wojennymi. Mnie jednak zawsze interesowały przede wszystkim zbiory polskie wywiezione przez Szwedów z terytorium Rzeczypospolitej w czasie wojen szwedzko-polskich.

Jak to się stało, że się nimi zajęłaś?

Już jako studentka ostatnich lat polonistyki i germanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego marzyłam o tym, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat poloników w Szwecji. Podczas studiów wybrałam się do Sztokholmu, do Riksarkivet (Archiwum Państwowego), aby tam obejrzyć polskie manuskrypty, druki i książki zrabowane w czasie wojen szwedzko-polskich, z których najcięższą był tak zwany potop szwedzki, czyli wojna w latach 1655–1660.

Uczyłam się już wtedy szwedzkiego, więc z bijącym sercem podeszłam do zatrudnionego w archiwum bibliotekarza i powiedziałam mu, że jestem z Polski, a potem zapytałam, czy posiadają w swoich zbiorach polonika. Przyjaźnie się uśmiechnął, podszedł do półki z katalogami i podał mi niewielki, ale niezwykle elegancko przygotowany rejestr. Przeglądając jego zawartość, zorientowałam się jednak, że to tylko spis dokumentów dyplomatycznych z czasów panowania dynastii Wazów w Polsce i w Szwecji. Byłam rozczarowana. Nie było tam bowiem ani słowa na temat szwedzkich łupów wojennych z dawnej Rzeczypospolitej. A przecież wojska szwedzkie wywoziły z Polski wiele dokumentów, zbiorów bibliotecznych i muzealnych, mnóstwo dzieł sztuki, militaria, na przykład zbroje. Oddając rejestr, postanowiłam sobie w duchu, że jeśli tylko kiedyś będę mogła, zajmę się polonikami w Szwecji. Z czasem wyszłam za mąż za pracującego w Polsce Szweda. Z powodu coraz silniejszych napięć politycznych w naszym kraju mąż musiał wracać na drugą stronę Bałtyku. Zdecydowaliśmy, że wyjedziemy razem.

Jako polonistka pracowałam naukowo i dydaktycznie najpierw w Akademii Pedagogicznej w Sztokholmie, potem na Uniwersytecie Sztokholmskim. I pamiętałam o złożonym sobie przyrzeczeniu. Pracę nad polonikami zaczęłam od zbioru Skokloster (*Skoklostersamlingen*)

przechowywanego w Riksarkivet. Kiedy zapraszałam do wspólnych badań polskich naukowców, nie bardzo mi wierzyli, że jest jeszcze w Szwecji coś interesującego do zbadania, opisanie i ewentualnego wydania. Ostatecznie udało mi się pozyskać do współpracy profesor Alinę Nowicką-Jeżową z Uniwersytetu Warszawskiego i w ten sposób powstał projekt *Polonika w Riksarkivet w Sztokholmie*. Prace zakończyły się po paru latach rejestracją, opisem zbioru i wydaniem mało znanych lub unikalnych tekstów literackich.

Z tego projektu zrodził się kolejny – *Polonika na zamku Skokloster*. Polscy naukowcy zajęli się polonikami we wszystkich oddziałach biblioteki zamkowej, ja natomiast ograniczyłam pracę do zawartości drewnianej skrzyni, w której przez wieki nienaruszone przeleżały do lat 70. zeszłego stulecia spisane najczęściej po łacinie, ale też po polsku XVII-wieczne druczki. Zbiorek ten nosi nazwę *Polonicasamlingen*, czyli „Kolekcja poloników”.



W Skokloster zatrzymał się czas.



We wnętrzach zamku Skokloster zawsze można spotkać ludzi ubranych w stroje z epoki (nie tylko pracowników, goście także mają szansę pobawić się w przebieranki).

Jest w nim coś szczególnie ciekawego?

Mieliśmy ogromne szczęście, bo znalazło się tam parę dotąd nieznanych tekstów literackich, wśród nich kolęda *Jezus – Bóg i człowiek – w stajence betlejemskiej narodzony* pióra wileńskich studentów, Jana i Krzysztofa Denhoffów. Powstała wówczas pod moją redakcją wydana po angielsku i po polsku książka *Unikalna polska kolekcja z biblioteki zamku Skokloster* (2011), gdzie znajdują się między innymi zdjęcia i tekst kolędy oraz jej współczesna parafraza przygotowana przez sztokholmską poetkę Danę Rehowicz. Odnaleziona kolęda została też kilkakrotnie nagrana w różnych wykonaniach.

Po pracach nad polonikami w Skokloster przyszedł czas na polonika w mieście Strängnäs. Tam w katedrze mieści się najstarsza w Szwecji, dobrze zachowana biblioteka, której początki sięgają średniowiecza, a w niej polonika. I tym razem pracowałam wspólnie z naukowcami z Polski i ze

Szwecji. Rezultatem badań była książka *Polonika w Bibliotece Katedralnej w Strängnäs* (2011). Następnie poszukiwałam materiałów na temat tak zwanych tańców polskich, jakie były grane i być może tańczone na balu pokoronacyjnym Zygmunta III Wazy w katedrze uppsalskiej (1594). Odnalazłam je po wielu perypetiach w Musik- och teaterbiblioteket (Bibliotece Muzyki i Teatru) w Sztokholmie. Były nazywane w Szwecji z niemiecka *Polnischer Tantz (sic!)*. I tym razem konieczna była współpraca kilku osób, zwłaszcza znawców kultury muzycznej okresu panowania Wazów w Polsce i w Szwecji. Udało mi się stworzyć odpowiedni zespół badawczy i wspólnie wydaliśmy książkę *Polonika muzyczne w Szwecji. Cztery tańce z repertuaru dworskiej kapeli Zygmunta III Wazy* (2014). Powstał także spektakl, podczas którego wykonywano owe tańce w strojach z epoki. Był grany w Muzeum Historii w Sztokholmie, potem także w Królewskiej Zbrojowni. Sporo było tych „moich” badań i poszukiwań, które nierzadko miały niemal detektywistyczny charakter.

Czy można powiedzieć, że zbiory polskie w szwedzkich bibliotekach zostały już w pełni zbadane?

Nie, w Szwecji nadal znajdują się polonika, które nie są do końca zbadane. Jest to niemal niewyczerpane źródło dla badań natury historycznej, politycznej, literackiej, językowej, kulturowej, kartograficznej i tak dalej. Obecnie prowadzone są na Uniwersytecie Sztokholmskim dalsze prace nad zbiorem poloników w Skokloster, w Uppsali zaplanowany jest nowy projekt badawczy na temat wywiezionych do Szwecji bibliotek poznańskich, a w Polsce przygotowany jest album polskich chorągwi zdobytych przez szwedzkie wojska w czasie wojen polsko-szwedzkich.

Warto w tym miejscu dodać, że Szwedzi gwarantują naukowcom pełny dostęp do materiałów znajdujących się w ich bibliotekach, archiwach, muzeach. Badania w każdym zakresie i w każdej dziedzinie można więc prowadzić bez najmniejszych ograniczeń.

Gdzie w Sztokholmie i okolicach można znaleźć szwedzkie łupy wojenne?

Myślę, że warto odwiedzić przynajmniej trzy miejsca: Królewską Zbrojownię (Livrustkammaren), Muzeum Wojska (Armémuseum) i zamek Wazów Gripsholm (Gripsholms slott) koło Mariefred. Najpierw jednak warto skierować kroki do Zamku Królewskiego (Kungliga slottet) i zobaczyć tam wspaniałe i groźne lwy strzegące głównego wejścia. Dawniej znajdowały się na Krakowskim Przedmieściu przed zniszczonym w 1656 roku w czasie potopu szwedzkiego pałacem Kazanowskich (odbudowanym po drugiej wojnie światowej); zostały wywiezione do Szwecji po zdobyciu i splądrowaniu Warszawy.

W murach zamkowych mieści się Królewska Zbrojownia. Oficjalną decyzję o jej założeniu podjął król Gustaf II Adolf w 1628 roku, przekazując do jej zbiorów strój, w którym walczył na terenach Rzeczypospolitej. Zaznaczył przy tym, iż powinien on być zachowany dla pamięci potomnych. Odtąd możemy mówić o zbrojowni jako muzeum związanym z historią dynastii królewskich w Szwecji. Znajdziemy tam liczne polonika, zarówno te, które były darami, jak i różnego rodzaju obiekty zrabowane w czasie wojen.

W muzeum można między innymi zobaczyć paradną zbroję Zygmunta Augusta, która jest darem Anny Jagiellonki dla Jana III Wazy – męża Katarzyny Jagiellonki, róg myśliwski Zygmunta III Wazy wykonany z rogu ostatniego tura z Puszczy Sochaczewskiej, kilka zbroi Władysława IV, w tym jego uzbrojenie młodzieńcze. Poza tym tarcze, szable, kolczugi i hełmy... Wszystko to świadczy o wspólnej historii polskich i szwedzkich Wazów, czasem przyjaznej, innym razem pełnej konfliktów.



Te drzewa zostały posadzone w 1680 roku!

Gdzie jeszcze w Sztokholmie można znaleźć wspomnienia i pozostałości polsko-szwedzkich wojen?

Wiele trofeów z wojen Królestwa Szwecji z Rzeczpospolitą, a także z Rosją i Danią znajdziemy w Armémuseum w Sztokholmie. Są tam między innymi liczne zdobycze z czasów wojen o Inflanty, wojen z okresu „potopu” oraz tak zwanej wojny północnej. Możemy podziwiać proporce, sztandary, chorągwie i armaty zdobyte w walce z polską armią, na przykład chorągiew państwową króla Zygmunta III Wazy, chorągwie Jana Kazimierza i sztandar z napisem Vivat Casimirus Rex Poloniae – „Niech żyje Kazimierz, Król Polski”. Choć polska linia Wazów utraciła realne prawo do korony szwedzkiej, Zygmunt III Waza oraz jego synowie – Władysław IV oraz Jan Kazimierz – zachowali prawo do honorowego tytułowania się władcami Polski i Szwecji, na co wskazuje między innymi łaciński napis na zdobytej przez Szwedów chorągwi z polskim białym orłem – Ladislaus IV, rex Poloniae et Sueciae – „Władysław IV, król Polski i Szwecji”.

W Armémuseum można też zobaczyć XVII-wieczne armaty pochodzące z terytorium Rzeczypospolitej. Jedna z nich jest opatrzona herbem Trąby Radziwiłłów.

A co znajdziemy w niedalekich okolicach Sztokholmu?

Warto odwiedzić zamek Gripsholm w pobliżu miasteczka Mariefred, gdzie więziono Jana III i Katarzynę Jagiellonkę podejrzewanych przez szalonego króla Szwecji Eryka o szpiegostwo na rzecz Polski. Mało kto wie, że w tym warownym zamkowym więzieniu urodził się Zygmunt, przyszły król Polski i Szwecji. Dzisiaj znajduje się tam jedyna w swoim rodzaju Narodowa Galeria Portretu, a w jej zbiorach portrety arystokracji polskiej i więzionej rodziny królewskiej. W pobliżu, w miejscowości Strängnäs, można odwiedzić katedrę z pięknym sarkofagiem zmarłej przedwcześnie córeczki Jana III i Katarzyny Jagiellonki. W tym samym kościele jest także biblioteka, która do dziś zachowała stary, niemal średniowieczny wygląd. W jej zbiorach znajdują się również polonika, między innymi księgi, w których własnoręcznie czynił notatki Mikołaj Kopernik, jest tam także tak zwany *polska blocket* – foliał polski, czyli dość gruby tom będący zbiorem kilkunastu polskojęzycznych tekstów z przełomu XVI i XVII wieku.

W poszukiwaniu poloników warto też wyprawić się do Uppsali, to tylko godzina pociągiem ze Sztokholmu. W katedrze uppsalskiej, która od czasów średniowiecza była miejscem koronacji wielu królów i królowych szwedzkich, w roku 1594 koronowano Zygmunta III na króla Szwecji. W nawie wschodniej znajdują się sarkofagi jego rodziców: Jana III Wazy i Katarzyny Jagiellonki oraz fresk z widokiem na stary Kraków.

No i oczywiście powinno się pojechać do zamku Skokloster.

Dlaczego?

Ponieważ można tam zobaczyć część polskiej historii zachowanej w szwedzkich murach zamkowych i w pobliskiej kaplicy. Zamek w Skokloster znajduje się ponad pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Sztokholmu. Bardzo przypomina warszawski Zamek Ujazdowski.

Budowano go pod osobistym nadzorem generała szwedzkiej armii i feldmarszałka Carla Gustafa Wrangla, zdobywcy Warszawy, najprawdopodobniej wzorując się na architektonicznych projektach zamku w Ujazdowie.

Najbardziej interesująca dla polonisty jest biblioteka Wrangla, gdzie znajdują się książki i druki luźne wywiezione z terytorium Rzeczypospolitej. Pamiętać jednak należy, że są tam również książki sprowadzane z zagranicy w celu skompletowania zbiorów. Wrangel kolekcjonował literaturę i zdarzało się, że posiadał jedno i to samo dzieło wydane w różnych krajach i w różnych językach. Dużą wagę przykładał w swych wyborach do książek o tematyce wojennej i wojskowej, interesował się też architekturą, sztuką, polityką, teologią.

Polonika na zamku w Skokloster to nie tylko książki w bibliotece zamkowej. Są tam również obrazy z Polski, zwłaszcza portrety, liczne zbroje polskiej husarii, szable, miecze, buławy i muszkiety. Zbrojownia Wrangla może zadziwić każdego. Warto też wejść do kościoła w pobliżu zamku, gdzie mieści się kaplica Wrangłów, wyposażona w zdobycze wojenne: ołtarz, chrzcielnicę i ambonę, które szwedzki generał zrabował z kościoła w gdańskiej Oliwie.



Przeniesiony w czasie Daniel.

Co jakiś czas słysząc głosy nawołujące do tego, by domagać się zwrotu łupów wojennych.

Obecnie zwroty i ewentualne roszczenia co do zwrotów regulowane są prawem ogólnoeuropejskim. Aby bliżej wyjaśnić tę sprawę, muszę w skrócie naszkicować problem rewindykacji przez Szwecję łupów wojennych.

Za czasów mocarstwowości Szwecji w basenie Morza Bałtyckiego do archiwów i bibliotek szwedzkich trafiły różnego rodzaju łupy wojenne,

w tym obiekty kultury piśmiennej państw, z którymi Królestwo Szwecji w XVII wieku prowadziło liczne wojny. Jedna z nich pozostawiła trwały ślad w pamięci Polaków.

Rabunek dóbr kulturowych innych krajów był działalnością zaplanowaną i zorganizowaną przez szwedzkich królów. Sprowadzając do Szwecji zrabowane skarby kultury, usiłowali stworzyć podstawy rozwoju kultury własnego kraju, która nie nadążała wówczas za rozwojem kulturowym w Europie. Władcy Szwecji – Gustaw II Adolf, Karol X Gustaw i królowa Krystyna – zatrzymywali dla siebie część najcenniejszych zdobyczy, a pozostałe – sprowadzane z podbitych krajów zbiory biblioteczne – przekazywali ważnym w epoce ich panowania miastom szwedzkim: Uppsali, Strängnäs, Västerås. Rabunek polskich bibliotek, muzeów i archiwów był zatem częścią polityki szwedzkich władców, a rozmiary tych poczynań powiększały jeszcze grabieże o charakterze indywidualnym, nierzadko dokonywane na rozkaz szwedzkich wojskowych i urzędników państwowych. Wzoruując się na królu i magnatach, starali się oni tworzyć własne biblioteki, wyposażając je w cenne, zrabowane zdobycze kulturowe. I tak na przykład już w roku 1626 do Uppsali trafiła niemal w całości Biblioteka Braniewska, czyli biblioteka kolegium jezuitów w Braniewie.

Liczne zrabowane w czasie wojen szwedzko-polskich obiekty kultury miały również pewne znaczenie polityczne: dzięki nim można było studiować politykę zagraniczną państwa polskiego, jego kontakty dyplomatyczne z krajami ościennymi i relacje z mocarstwami europejskimi. Na ich podstawie można było też zapoznać się z organizacją wewnętrzną państwa, administracją, kartografią i wojskowością.

Na mocy traktatu pokojowego zawartego w Oliwie 3 maja 1660 roku zbiory biblioteczne o polskiej proveniencji miały być Polsce zwrócone. Szwecja oddała ich część zaraz po zakończeniu wojny, reszta zaś pozostała, często rozproszona w szwedzkich księżnicach i archiwach, jak w przypadku książek z dawnej biblioteki Mikołaja Kopernika (Copernicana). Prawdopodobnie część łupów z Rzeczypospolitej spaliła się także w czasie wielkiego pożaru Sztokholmu w 1697 roku.

Polacy zaakceptowali tę zaledwie częściową realizację postanowień pokojowych?

O polskie zbiory biblioteczne upominali się kilkakrotnie polscy królowie i magnaci, na przykład Jan III Sobieski, Stanisław August Poniatowski czy książę Adam Czartoryski, który w roku 1810 odkupił od Szwedów część polskich zbiorów, po czym pospiesznie wywiózł je do kraju i złożył w bibliotece Czartoryskich w Puławach. W czasie rozbiorów o polskie materiały archiwalne dopominały się również władze pruskie i rosyjskie. Jednak Szwecja była zawsze niezwykle restryktywna w sprawie zwrotów łupów wojennych. Używano następujących argumentów: zagrabianie kultury duchowej i materialnej innych krajów dokonywało się zgodnie z XVII-wiecznym obyczajem i prawem wojennym. Obecnie nie ma możliwości zwrotu dawnych łupów wojennych ich prawowitym właścicielom, ponieważ granice Europy przez wieki zmieniały się nieustannie: jedne monarchie upadały, inne się rodziły, jedno państwo dyktowało granice, inne podważały ich prawomocność. Ewentualne zwroty XVII-wiecznych zdobyczy mogłyby dziś stać się przyczyną wielu nowych konfliktów. Dawne łupy wojenne, w tym polonika, są związane z historią Szwecji i dlatego powinny należeć do Szwecji.

To dość wygodny dla Szwecji sposób argumentowania, nie da się ukryć...

Zasadę tę złamano jednak w roku 1974, kiedy Olof Palme, ówczesny premier Szwecji, w czasie swojej wizyty w Polsce przekazał premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi łup wojenny ze Zbrojowni Królewskiej w Sztokholmie, tak zwany polsk rulle – rolkę polską, zwaną w Polsce rolką lub rulonem sztokholmskim. Rulon długości ponad 16 metrów jest kolorowym malowidłem (gwaszem) na papierowej tapecie. Przedstawia wjazd Zygmunta III do Krakowa w 1605 roku, po tym jak zawarł małżeństwo z austriacką arcyksiężniczką Konstancją. Po 319 latach obraz powrócił do kraju i przechowywany jest obecnie na Zamku Królewskim w Warszawie. Fakt wydania go ze zbrojowni oraz akt zwrotu tegoż malowidła wzbudził w Szwecji burzliwą dyskusję. Podniosły się głosy krytyczne, podkreślające, że

łupy wojenne są własnością zdobywcy, przynależą do jego historii i na zawsze powinny pozostać w Szwecji.

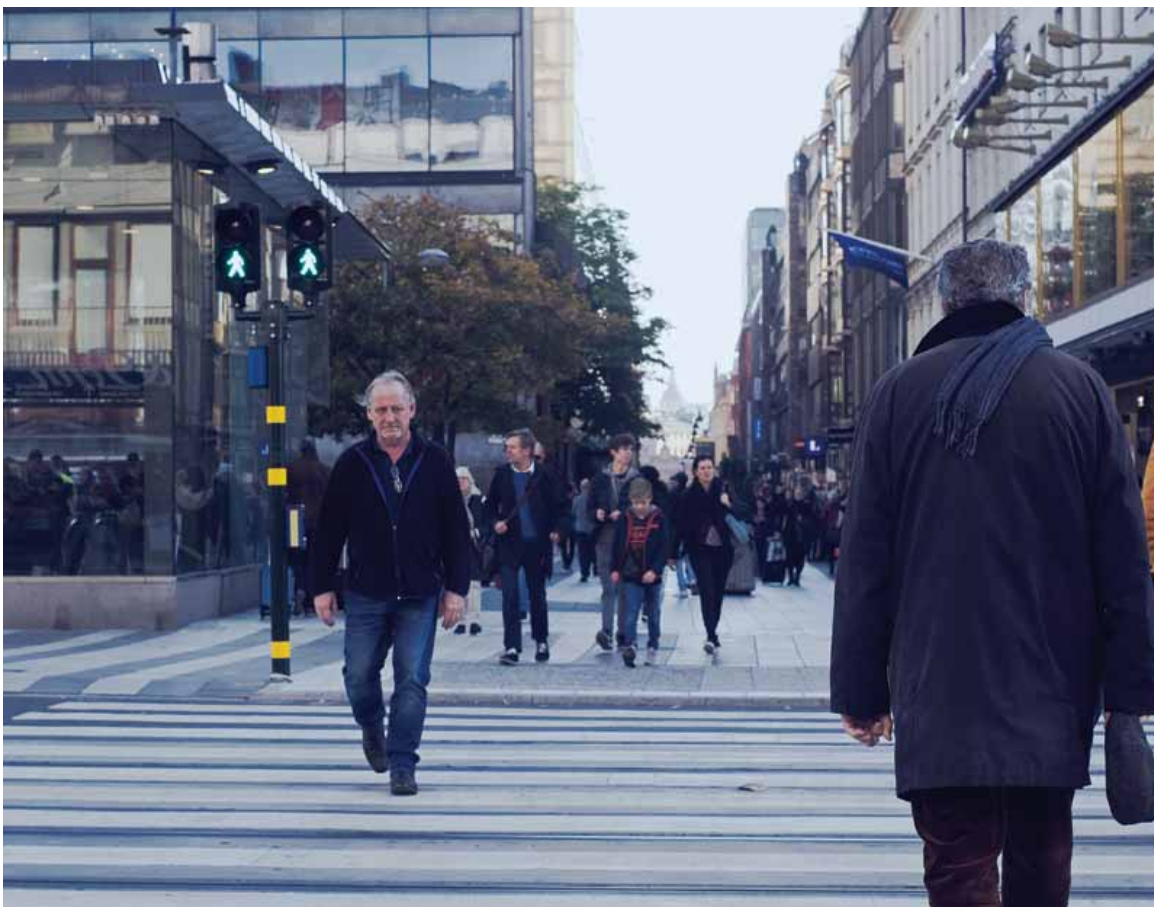
Czyli żeby oglądać polonika, trzeba wybrać się do Sztokholmu i jego okolic.

Tak. Lecz warto dodać, że status dawnych łupów wojennych uległ dziś zmianie nie tylko w Szwecji, ale także w całej Europie. Kraje wchodzące w skład Unii Europejskiej utworzyły bowiem w latach 2001–2004 cyfrową Bibliotekę Europejską (Europeana), której członkami jest ponad 40 bibliotek narodowych, w tym także te w Polsce i w Szwecji. Celem Biblioteki Europejskiej jest stworzenie w ramach Europeany wspólnego europejskiego dziedzictwa kulturowego i zapewnienie wszystkim zainteresowanym pełnego dostępu do zasobów bibliotecznych, muzealnych i archiwalnych. W najbliższej przyszłości ogromne, po części rozproszone skarby kulturowe Europy mają stać się ogólnie dostępne w postaci cyfrowej. Z tego powodu bezpośredni kontakt z oryginałami nie zawsze już będzie konieczny.

W temacie zwrotu łupów i grabieży wojennych nastąpił więc status quo. Państwa członkowskie Europeany zobowiązały się do zaopiekowania się zbiorami pochodzącymi z innych krajów, jak też zagwarantowały pełną dostępność do wszystkich swoich zasobów bibliotecznych, muzealnych i archiwalnych, w tym łupów wojennych, wśród których znajdują się polonika. Ewentualne wnoszenia roszczeń odnośnie do zwrotów tracą w tej sytuacji w znacznym stopniu swoje uzasadnienie.

X.

Sztokholm uchodźców
i imigrantów



Jesienią i zimą Sztokholm nie jest miastem szczególnie radosnym, pod tym względem przypomina Warszawę.

Szwecja jest krajem od dziesięcioleci otwartym, w 2015 roku przyjęto tu najwięcej uchodźców *per capita*. Poświęciłam temu tematowi moją książkę *Moraliści* i mam poczucie, że pisząc o Sztokholmie, nie da się nie wspomnieć o przybyszach. Imigranci współtworzyli i zmieniali to miasto, a w ostatnim czasie liczba uchodźców znacznie tu wzrosła. Widać ich w metrze, na ulicach. Łatwo rozpoznać, kto jest z Afganistanu, trudniej – kto z Syrii, a kto z Iraku. W mediach i w gminnych samorządach nieustannie toczą się dyskusje na temat tego, jak zapewnić im mieszkania, na jak długo oraz gdzie ich umieścić. Brak dostatecznej liczby lokali spowodował, że w tymczasowe domy dla uchodźców zamieniano szkoły i świetlice. W kilku miejscach na przedmieściach, a także w centrum wybudowano pospiesznie mieszkania z kontenerów. Nie zdołają one miasta. Wywołują kontrowersje. Ale są. Jedno z takich małych osiedli powstało nawet na kultowym Södermalm, w pobliżu parku Tantolunden i znajdujących się w nim uroczych działek. Miejsce to jest w jakimś sensie symboliczne. Sto lat temu ten kawałek ziemi w Tanto, jak się o parku pieszczotliwie mówi, uratował od śmierci głodowej wielu mieszkańców Söder. Było to w 1917 roku, kiedy w Sztokholmie racjonowano żywność, a bieda i głód doprowadzały do zamieszek. Władze miasta zdecydowały wtedy, by dać najbiedniejszym po kawałku ziemi i ziemniaki do sadzenia. Każdemu po dziesięć kilo. Na Östermalm uprawiano więc ziemniaki w eleganckim parku Humlegården, a na Södermalm w Tantolunden. Dziś na obrzeżach Tanto stanęły kontenery dla nowo przybyłych, bo po szwedzku o uchodźcach, którzy już są w Szwecji, mówi się właśnie tak: *nyanlända* – ci, którzy dopiero co przyjechali.

Kryzys uchodźczy spowodował w Szwecji sporo logistycznych problemów, doprowadził do zwiększenia społecznej polaryzacji i skomplikował na wiele sposobów sytuację polityczną. Wydobył też z ludzi, zarówno tych, którzy są w Szwecji od pokoleń, jak i tych, którzy

właśnie tu dotarli, to, co najlepsze, i to, co najgorsze. Tego, co najlepsze, było i jest sporo. Sztokholm, zwłaszcza na początku kryzysu uchodźczego, stał się miastem wolontariuszy. Można było udzielać się w „kawiarenkach językowych”, pomagać w domach dla uchodźców, oddawać ubrania, jedzenie i artykuły higieniczne. Po roku, dwóch siły i entuzjazm nieco opadły, ale jest wielu niezłomnych ludzi, którzy nadal poświęcają swój wolny czas na to, by pomagać. Wśród nich są także Polacy. Tacy jak Kasia Syty – nauczycielka szwedzkiego, dziennikarka i menedżerka kultury, która od kilku lat jest nauczycielką i koordynatorką kursów szwedzkiego dla uchodźców LGBT. W ich rodzinnych krajach grozi im często śmierć lub prześladowania z powodu orientacji seksualnej. W Szwecji nie mają jeszcze pozwolenia na pobyt. Być może nie dostaną go nigdy, bo Szwecja zaostrzyła politykę azyłową.

Centrum Sztokholmu, ulica Sveavägen. Godzina osiemnasta z minutami. Budynek ABF, czyli działającego od ponad stu lat Stowarzyszenia Oświatowego Robotników, które ma wielką sieć ośrodków w całym kraju. ABF organizuje przeróżne kursy, wykłady, zajęcia i warsztaty. W dzień na Sveavägen odbywają się zajęcia SFI, czyli lekcje szwedzkiego dla imigrantów i uchodźców mających prawo pobytu w Szwecji. Wieczorem też są kursy językowe, ale dla innej grupy uczniów.

Ahmed står utanför en skola.

(Ahmed stoi przed szkołą).

Han tror i alla fall att det är en skola.

(W każdym razie wydaje mu się, że to szkoła).

Adressen är rätt.

(Adres się zgadza).

Men det ser inte ut som en skola.
(Ale to nie wygląda jak szkoła).

Allt är nytt här i Sverige. Vädret är kallare, och det luktar annorlunda.
(Wszystko tu w Szwecji jest nowe. Zimniejsza pogoda, inne zapachy).

Kasper, modnie ubrany blondyn po czterdziestce, czyta na głos kolejne zdania z podręcznika do szwedzkiego dla początkujących. Cała klasa powtarza za nim na głos. Christer, sympatyczny mąż Kaspera, pisze na tablicy tłumaczenia zdań na angielski. Ma staranne, okrągłe pismo. Później uczniowie sami czytają, każdy po jednym wersie. Najpierw Fiona z Ugandy, z burzą warkoczyków. Bardzo trudno jej wymówić słowo *utanför*. Po Fionie przychodzi kolej na Mohammada z Afganistanu. Drzwi klasy otwierają się i do środka wpada drobna ciemnoskóra kobieta w średnim wieku. Kasper uśmiecha się szeroko.

– Witaj, witaj – mówi. – Usiądź!

Tak samo reaguje na kolejnych spóźnialskich, a jest ich kilkoro. W tej szkole stawia się na pełną otwartość i zrozumienie.

Daniel, który siedzi razem ze mną w ostatniej ławce, robi zdjęcia. Umówiliśmy się, że będzie fotografował uczniów od tyłu. Na początku lekcji Kasper przedstawił nas i zapytał zebranych po angielsku:

– Czy ktoś z was się ukrywa i nie chce być fotografowany?

Pytanie z serii nieprzypadkowych. To nie jest klasa uchodźców, którzy otrzymali zgodę na pobyt w Szwecji. W tej lekcji biorą udział osoby niemające azylu ani właściwych dokumentów. Ludzie bez papierów. Nielegalni, choć nikt spośród zebranych nie użyłby tego słowa. Pochodzą z różnych stron świata. Łączy ich jedno – tożsamość seksualna, identyfikują się jako osoby homoseksualne, trans, queer. W Szwecji mogą być w pełni akceptowani, w swoich krajach ryzykowali życie. Często byli prześladowani i mobbowani. Szkopuł w tym, że

Szwecja ich jeszcze do siebie nie przyjęła. Znajdują się w przedsiönku raju, z którego łatwo trafić z powrotem do piekła.

Nauczyciele, Kasper i Christer, są wolontariuszami. Jak wszyscy nauczyciele w tej szkole. Na co dzień mają zupełnie inne prace. Są ludźmi sukcesu. Tu chcą się przydać. O zajęciach ze szwedzkiego dla uchodźców LGBT dowiedzieli się dzięki RIFS –*Riksförbundet för homosexuellas, bisexuellas och transpersoners rättigheter* (Krajowemu Związkiowi na rzecz Praw Osób Homoseksualnych, Biseksualnych, Trans i Queer).

W kolejnej sali pracuje grupa bardziej zaawansowana. Mniej osób. Lekcję prowadzi Kasia Syty. Pomaga jej Peter. Kasia jest jedyną skandynawistką i nauczycielką szwedzkiego z dyplomem wśród współpracujących z RFSL wolontariuszy. To ona wypracowała formułę kursów języka dla nowo przybyłych uchodźców LGBT. Napisała nawet dla nich specjalny queerowy podręcznik do nauki szwedzkiego.

– Co jadłaś dziś na śniadanie? – pyta krótko ostrzyżoną, siwą mimo młodego wieku Golnaz z Teheranu. Ubrana w dzinsy i kraciastą koszulę kobieta odpowiada. Niektóre słowa jej się płaczą, ale Kasia zadaje pomocnicze pytania i umiejętnie podtrzymuje rozmowę. Wychodzi na to, że Golnaz jadła płatki owsiane z mlekiem. Siedzący obok niej młody Afgańczyk mówi lepiej, z większą swobodą. Rano jadł kanapki. Poza tym późno dziś wstał. Ma od jakiegoś czasu pracę. W metrze. Jest w Szwecji o rok dłużej niż Golnaz, to słyhać.



Nauczyciele wolontariusze (w środku: Kasia Syty, autorka podręcznika do szwedzkiego dla osób LGBT).



– Zróbcie nam zdjęcie! Chcemy być w waszej książce!

Asystent Kasi Peter na co dzień jest informatykiem. W przeciwieństwie do większości współpracujących z RFSL wolontariuszy nie jest homoseksualny. Któregoś dnia przeczytał w gazecie o pobitym w sztokholmskim metrze transseksualiście i wzburzyło go to tak bardzo, że skontaktował się z RFSL. Zapytał, czy może jakoś pomóc w walce o tolerancję. Okazało się, że potrzebni są nauczyciele szwedzkiego. Zdecydował się w to zaangażować. Pomaga Kasi. Starannie kaligrafuje na tablicy wypowiedziane przez nią zdania.

Kasia zadaje kolejne pytania. Zaraża entuzjazmem. Dodaje odwagi. Kiedy patrzę na nią, przychodzą mi do głowy dwie myśli. Po pierwsze, jak niezwykłą rzeczą jest talent fonetyczny, który sprawia, że niektórzy ludzie mówią w obcych dla siebie językach jak we własnych. Po drugie, że gdyby w Szwecji było więcej takich nauczycieli szwedzkiego, to dręczące ten kraj problemy z integracją imigrantów byłyby co najmniej o połowę mniejsze. Zawsze to mówiłam i powtórzę jeszcze raz: problemy z integracją imigrantów mogą rozwiązać sami imigranci.

– Mam kłopot ze Sztokholmem: im dłużej tu mieszkam, tym większy staje się mój problem z tym miastem – mówi Kasia, popijając cappuccino w kawiarni Rival na Mariatorget. Jesteśmy niedaleko Instytutu Polskiego, w którym do niedawna pracowała, robiąc tam naprawdę wspaniałe rzeczy. To dzięki niej Moderna Museet w Malmö pokazało wystawę *Strzemiński i Kobro*, a Göteborgs konstmuseum kolekcję sztuki młodopolskiej.

– Podobnie jest z Kopenhagą, w której mieszkałam przez pół roku – ciągnie Kasia. – Skandynawskie miasta są jak niesamowicie piękne osoby, które po głębszym poznaniu nie dają ci w zamian tego, czego oczekujesz. Wasz kontakt jest zbyt powierzchowny. Sztokholm jest przepiękny, doceniam wszechobecną bliskość wody, marzyłam, żeby tu mieszkać, i staram się o tym pamiętać. Nie potrafię już sobie wyobrazić niebycia tu, niemieszkania w tym mieście. Jednocześnie często czuję, że to miasto mnie od siebie odpycha. Wynika to między innymi z ogromu podziałów w Sztokholmie, z wielkiej segregacji mieszkaniowej. Pod tym względem wolę Malmö od Sztokholmu. Mieszkałam tam dwa lata i w Malmö ludzie mieszkają się ze sobą w sposób dla Sztokholmu niewyobrażalny. A jeśli kupujesz w Malmö gazetę „Dagens Nyheter”, to ma ona dodatek sztokholmski. To pokazuje stosunek Sztokholmu do reszty Szwecji. Całkowicie wyższościowy. Mam więc ambiwalentny stosunek do tego miasta. Może tak to jest, że im dłużej gdzieś mieszkasz, tym więcej zauważasz problemów.

Kasia mieszka w Sztokholmie od ośmiu lat. Kiedy tu przyjechała, była już skandynawistką z dyplomem, nauczycielką szwedzkiego. Przez pierwsze lata uczyła imigrantów na państwowych kursach SFI.

– Było to wspaniałe, ale też frustrujące. I nie chodzi o uczniów, lecz o stosunek do nich. Wielu nauczycieli czuło to samo co ja. Irytował mnie brak odwagi, by mówić otwarcie imigrantom z odległych kultur, że na przykład w Szwecji samotne kobiety mogą mieć dzieci i nie muszą wiedzieć, kto jest ich ojcem. Nie mogłam znieść tego, że podczas

wycieczek rozdzielano kobiety i mężczyzn, żeby dostosować się do ich przyzwyczajęń, do ścisłego podziału na świat kobiecy i męski, który często znają ze swoich krajów, zamiast uczyć ich tego, jak to działa w Szwecji, w której wszystko jest koedukacyjne. Ja wciągałam dziewczyny do gry w koszykówkę i wszyscy grali razem, bez względu na płeć. I to się podobało! Dyskusowanie o tego typu kwestiach w zespole nie należało do rzeczy łatwych. W ogóle w Szwecji dość trudno jest przełamywać przyzwyczajenia i zbaczać z utartych szlaków. Po jakimś czasie zdajesz sobie sprawę z tego, że musisz znać swoje miejsce w szeregu, nie wolno ci się wychylać. Wychylenie się nie prowadzi do niczego dobrego. Psuje atmosferę. Należy udawać, że wszystko jest okej. Miałam poczucie, że zabija mnie to od środka – opowiada.

Znając dobrze szaloną atmosferę pracy w Instytutach Polskich, pytam Kasię, czy lekarstwem jest polska egzaltacja, niedobór politycznej poprawności, nadmiar kreatywności i śmiałe dążenie do konfliktów. W odpowiedzi słyszę, że w polskim środowisku pracy przeszkadza jej brak struktury i hierarchiczne relacje pomiędzy pracownikiem a przełożonym.

– W Szwecji miałam zawsze świetnych szefów. Czasem trochę nieobecnych, ale niezwykle inspirujących. Brak hierarchii sprzyja kreatywności.

Dochodzimy do wniosku, że idealny świat powstałby z wymieszania Polski ze Szwecją oraz Warszawy ze Sztokholmem.

– Czuję się bogata przez to, że mam te dwa światy, że po Sztokholmie mogę czasem pooddychać Warszawą, pomimo smogu. W Warszawie jest taki rodzaj międzyludzkiego luzu, którego tu brakuje. Inna rzecz, że wszystko zależy od pory roku. Zawsze namawiam ludzi do odwiedzania Sztokholmu latem. Wtedy w mieszkańców tego miasta wstępuje życie. Jak jest ładna pogoda, wszyscy się otwierają po to, by wczesną jesienią znów się zamknąć w swojej skorupie. To jedno z obiegowych wyobrażeń na temat mentalności skandynawskiej, w którym naprawdę jest sporo prawdy. Trochę mnie to irytuje. Znajomości zawierane podczas ładnej

pogody często nie przetrwają zimy. Wielu obcokrajowców w Szwecji ma podobne doświadczenia: w Sztokholmie trudno jest nawiązać długotrwałe znajomości. Zupełnie inaczej jest w Warszawie. To pokazuje, jak bardzo klimat wpływa na społeczeństwo. W Polsce zawsze wolałam jesień od lata. Jesienią polskie życie towarzyskie kwitnie, wszyscy się spotykają. To tak jak w piosence zespołu T. Love *Warszawa*: „Jesienią zawsze zaczyna się szkoła, a w knajpach zaczyna się picie. Jest tłoczno i duszno, olewa nas kelner. I tak skończymy o świcie”. W Szwecji, w Sztokholmie jest odwrotnie. Jesienią życie się kończy.

Kiedy Kasia zaczęła pracować w Instytucie Polskim, szybko zatęskniła za uczeniem.

– Nie brakowało mi biurokracji silnie związanej z zawodem nauczyciela, szwedzkich zebrań, ale brakowało mi świetnego kontaktu z ludźmi, który rodzi się, gdy uczysz ich języka. Miałam też bardzo dobre wspomnienia z pracy z uchodźcami. Któregoś dnia zobaczyłam, że RFSL szuka wolontariuszy chcących pomagać uchodźcom LGBT. Zapytałam, czy interesowałoby ich prowadzenie lekcji szwedzkiego. Okazało się, że właśnie o tym marzą, i zaraz miałam pierwszą, dwudziestoosobową grupę uczniów.

Zanim pojawiła się Kasia, RFSL oferowało uchodźcom LGBT wiele różnych zajęć, na przykład warsztaty taneczne i aktorskie, ale bez prawa pobytu nie przysługiwał im bezpłatny państwowy kurs. Ludzie ci nie mieli więc możliwości uczenia się szwedzkiego.

– A to przecież język jest pierwszą i najważniejszą potrzebą w nowym kraju – mówi z naciskiem Kasia.



Pracownicy restauracji na Södermalm.

Organizowane przez nią lekcje odbywają się już czwarty rok. Przybyło zarówno nauczycieli, jak i uczniów. Pochodzą z wielu stron świata: z Ugandy, Gambii, Sudanu, Etiopii, Syrii, Afganistanu, Egiptu, Maroka i Libii. Często pojawiają się na chwilę i zaraz znikają, bo zostają wydaleny z kraju.

– Jest wiele dramatycznych historii, które bardzo mnie dotykają – mówi Kasia. – Nigdy nie wiem, kogo będę uczyła w kolejny poniedziałek, kto się pojawi.

Po pierwszej godzinie zajęć na Sveavägen przychodzi czas na przerwę. Kasia jak zwykle przyniosła ze sobą sporo jedzenia. Nie zarabia na uczeniu, ale RFSL przydziela jej pewną sumę pieniędzy na materiały do nauczania, a także na mleko, ciastka, chleb.

– Spotykamy się wieczorem, po długim dniu. Szybko zauważyłam, że moi uczniowie są zwyczajnie głodni – wyjaśnia.

Na korytarzu panuje hałas. Dużo wymiany serdeczności i przytuleń. Rozmawiam z Golnaz. Mówi, że nie tęskni za niczym w Teheranie, może tylko za pogodą. Fascynuje ją i zachwyca szwedzka demokracja.

Przysiadam się do Kaspera. Rozmawiamy o uczeniu języka; mówi, że nie czuje się pewny w roli nauczyciela, ale ogromnie lubi to zajęcie. Opowiada o Ahmedzie – jednym z uczniów w jego grupie. Ma dwadzieścia lat, pochodzi z Egiptu, dom rodzinny opuścił jako dziecko.

– Musisz zmienić jego imię. I wszystkie szczegóły – zastrzega.

Ahmed pracował od dwunastego roku życia! A kiedy jego krewni odkryli, że jest gejem, chcieli go zabić. Musiał uciekać z kraju. Zanim dotarł do Szwecji, tułał się trochę po Europie i dlatego, zgodnie z międzynarodowym prawem, to nie Szwecja jest krajem, w którym może ubiegać się o azyl. Jest tu nielegalnie. Ahmed zamieszkał u Kaspera i Christera.

– To bardzo miły chłopak. Uczymy go też angielskiego, bo nie znał żadnych języków. Jest typem domatora, mówimy mu: „Słuchaj, jesteś młody, wyjdź się z kimś spotkać, my jesteśmy dla ciebie za starzy!”. A on woli siedzieć z nami i oglądać seriale.

Słowo po słowie dowiaduję się, że przyjęli do siebie Ahmeda najpierw na kilka tygodni. Żeby pomóc. Szybko stwierdzili, że nie mogą go zostawić, że chłopak sobie nie poradzi. Dlatego będzie z nimi mieszkał tyle, ile potrzeba, by mógł w końcu dostać pozwolenie na pobyt w Szwecji i pracę. Może parę lat.

– Wiesz, my wcale nie uważamy, że się poświęcamy. Możliwość pomagania drugiemu człowiekowi daje dużo dobrej energii. Poza tym mieszkamy w willi, mamy dużo miejsca. Obecność Ahmeda to nie jest dla nas problemem.

Przychodzi mi do głowy, że to jest właśnie Sztokholm i Szwecja w pigułce. Z jednej strony – niepisane kody, dystans i skandynawska samotność. Z drugiej – totalna bezinteresowność i gotowość niesienia pomocy każdemu, kto jej potrzebuje. Także obcemu.

– Christer i Kasper są genialni – mówi Kasia. – Sama chciałabym chodzić na ich lekcje. I ja naprawdę także Kocham Sztokholm. To jest po prostu trochę *hassliebe*, uczucie między miłością a nienawiścią. Chciałabym chyba, żeby to miasto było takie jak w najcieplejsze dni lata, kiedy wszyscy są już tak spoceni i zmęczeni upałem, że nie mają siły na snobizm czy granie wystudiuowanych ról.

Myślę sobie, że wystarczyłoby, gdyby Sztokholm był zawsze taki jak w ABF na Sveavägen w poniedziałkowe wieczory...

XI.

Moje magiczne miejsca



„Rzeczy, które ci się podobają, zawsze stworzą harmonijną całość”.

Svenskt tenn

Jeśli należysz do osób, które kojarzą szwedzki design jedynie z umiłowaniem prostoty, jasnych barw i funkcjonalnych form, to warto, żebyś odwiedził Svenskt tenn – jeden z najbardziej niezwykłych sklepów wnętrzarskich w mieście, a może i na świecie. Svenskt tenn położony jest przy paradnej ulicy Strandvägen 5 (znajduje się tam nieprzerwanie od 1927 roku), tuż obok nieco kiczowatego, ale robiącego wrażenie budynku teatru narodowego Dramaten oraz muzeum Performing Arts. Robią tu zakupy członkowie rodziny królewskiej i wszyscy zainteresowani designem Szwedzi. Ten sklep to prawdziwa feeria barw i wyrafinowanych wzorów, fantazyjne tkaniny w kolorowe ptaki i zwierzęta, buzujące nadmiarem kwiatów i owoców tapety, unikalne meble i przepiękne drobiazgi.

Większość produktów oferowanych przez Svenskt tenn zaprojektował Josef Frank. Ten urodzony w 1885 roku w Wiedniu austriacki Żyd uznawany jest za współtwórcę wiedeńskiej szkoły architektury. W 1933 roku wyemigrował do Szwecji i zaczął współpracę z Estrid Ericson, twórczynią sklepu Svenskt tenn. Stali się świetnym teamem (ona nazywała go czule Pepi). Razem stworzyli styl, który do dziś bywa określany mianem „szwedzkiej nowoczesności”. Cechuje go artystyczny nieład i „harmonia kontrastów”. Frank był zwolennikiem białych ścian i lekkich mebli nie do kompletu. Swobodnie mieszał ze sobą we wnętrzach piękne lampy, kolorowe poduszki, barwne kanapy i wyrafinowane w kształcie krzesła i stoliki. Według niego dobrze urządzone wnętrze sprawia wrażenie pewnej przypadkowości, ale przemysłanej. Ukuł na to termin *accidentism*. Odrzucał banalność ortodoksyjnego modernizmu, nie lubił standaryzacji, kochał światło,

domagał się pluralizmu kształtów i kolorów, wolności wyobraźni. Nie znosił pozbawionego fantazji funkcjonalizmu. Podkreślał, że urządzenie wnętrza nigdy nie jest zakończone, że ono żyje i zmienia się wraz z zamieszkującymi je ludźmi.

„Salon, w którym można swobodnie żyć i myśleć, nie jest ani piękny, ani harmonijny, ani homogeniczny – pisał. – Powstał z przypadków, nigdy nie będzie gotowy i może w nim pojawić się wszystko, co zaspokoi zmieniające się potrzeby mieszkańców”^[23].

Oczywiście przypadkowość stylu Franka była przemyślana. Precyzyjna. Jego doskonałe wnętrza miało jedynie sprawiać wrażenie, że wystrój jest wynikiem zbiegów okoliczności. Ważne były też odwaga i wyobraźnia pozwalające na łamanie konwencjonalnych zasad dobrego smaku. Frank był na przykład mistrzem łączenia ze sobą pozornie niepasujących do siebie wzorów. „Łatwo uniknąć bezguścia, jeśli ograniczysz się do martwego ascetyzmu i zdusisz wszelkie przejawy temperamentu – twierdził. – Ale gustowność staje się wówczas potwornie nudna”^[24].



W Svenskt tenn nie ma nic nudnego. Co ciekawe, meble i tkaniny, które są tu sprzedawane, można też oglądać kilka ulic dalej w Muzeum Narodowym. Dzieło imigranta Franka to narodowy skarb Szwecji. Nie da się znaleźć szwedzkiego magazynu wnętrzarskiego (a jest ich wiele i są świetne), w którym nie będzie jakichś poduszek, tapet, podkładek na stół lub mebli ze Svenskt tenn. Ich obecność w domu uważa się za kwintesencję dobrego stylu i smaku (nie ukrywam, że sama mam poduszki z magicznego sklepu na Strandvägen).

Poza tym sporo przywiązujących wagę do wystroju wnętrz Szwedów stosuje się – z większą lub mniejszą świadomością źródła – do następującej porady Josefa Franka na temat tego, jak urządzać przestrzeń wokół siebie: „Mieszaj stare z nowym, łącz swobodnie kolory i wzory. Rzeczy, które ci się podobają, zawsze stworzą harmonijną całość. Mieszkanie czy dom nie muszą być zaplanowane w każdym detalu, nie muszą być dziełem sztuki, wystarczy, że mieszają się w nich rzeczy, które cieszą mieszkańców i są przez nich kochane”.

Dla mnie te słowa to kwintesencja recepty na swobodę, styl i domową przytulność oraz odtrutka na zbyt sterylne wnętrza zaprojektowane przez kochających totalną prostotę architektów. Ich mieszkańcy wydają się dość często zaledwie dodatkiem do własnego mieszkania.

W Svenskt tenn można się też napić herbaty w bardzo paryskiej w stylu herbaciarni. Niestety jest to najdroższa herbata w mieście, więc chyba trudno mi ją polecać. Do herbaciarni jednak także warto zajrzeć. Siedzi w niej zawsze sporo typowych mieszkank Östermalm.



W Svenskt tenn kupisz ozdobne talerze Piero Fornasettiego z ikoniczną twarzą śpiewaczki operowej Liny Cavalieri.

Rosendals Trädgård

W sercu Sztokholmu na wyspie Djurgården znajduje się Ogród Rosendal. To oaza spokoju i niespieszności w przepięknym otoczeniu. Prowadzi tam ścieżka tuż nad wodą z widokiem na secesyjne kamienice dzielnicy Östermalm. Ogród Rosendal jest jednocześnie sadem, zespołem szklarni, kawiarnią i ekologiczną restauracją. Większość gości zamiast stolików wybiera tu miejscówki na trawie, często wśród kanadyjskich gęsi – bernikli. Zimą i jesienią jada się w przerobionych na restauracje cieplarniach.

To królestwo zrównoważonego rozwoju w XIX wieku było siedzibą ogrodów królewskich oraz słynnej szkoły ogrodników. Dziś także można się tu sporo dowiedzieć. Na przykład tego, jak wyglądałby świat

wokół nas, gdybyśmy mądrzej i bardziej świadomie nim zarządzali. W Rosendal jest przepięknie, a poza tym podawana jest tu wyłącznie organiczna, biodynamiczna żywność, w większości z należących do Rosendals Trädgård upraw. Na miejscu jest też piekarnia. Przyprawiam tu kogo się da i uwierzcie, nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś się Ogrodem Rosendal nie zachwyił.

www.rosendalstradgard.se

Kungliga biblioteket

Biblioteka Królewska jest miejscem wyjątkowym i jednym z tych, które w Sztokholmie kocham najbardziej. Ma też znaczenie dla tej książki, bo pisząc o różnych historiach miasta, dużo czasu spędzałam w stylowych czytelnich KB, jak zwykle się o niej mówić potocznie. Kungliga biblioteket istnieje od 1661 roku. Kiedy powstała, uchwalono prawo zobowiązujące wydawców, by przekazywali do niej minimum po jednym egzemplarzu każdej opublikowanej książki. Dziś w zbiorach, z których najstarsze mają po tysiąc lat, jest tak dużo książek, gazet (w większości zdigitalizowanych), filmów, muzyki, a nawet gier komputerowych, że aby zapoznać się ze wszystkimi, potrzeba by 10 milionów godzin, czyli ponad tysiąc lat! Z kolei gdyby wszystkie drukowane zbiory Biblioteki Królewskiej ustawić w równym rzędzie na jednej półce, zajęłyby 175 kilometrów. Są wśród nich przede wszystkim dzieła wydawane po szwedzku, ale nie brakuje książek obcojęzycznych, zwłaszcza takich, które w jakiś sposób o Szwecji opowiadają.

Budynek KB projektu Gustava Dahla kryje wiele niespodzianek, między innymi wykute w skale podziemia, które ciągną się 40 metrów w dół i mają rozmiary dwóch pięciopiętrowych budynków. To tam znajduje się większość drukowanych zbiorów.

300a

Stary budynek biblioteki został rozbudowany i ma w sobie elementy bardzo nowoczesne.

300b

Podziemia biblioteki kryją całą masę skarbów i tajemnic.

Najcenniejszą książką w KB jest *Codex Gigas*, czyli „Wielka Księga” – największy na świecie średniowieczny manuskrypt, zwany także biblią szatana, bo znajduje się w nim portret diabła. *Codex Gigas* został spisany pomiędzy 1204 a 1230 rokiem na terenie dzisiejszych Czech w benedyktyńskim klasztorze w Podlażicach. Do Szwecji trafił w XVII wieku jako łup wojenny. Legenda mówi, że potężna księga została spisana w ciągu jednej nocy przez grzesznego mnicha, który chciał w ten sposób odkupić swoje grzechy. Ponieważ nie był w stanie ludzkimi siłami poradzić sobie z ogromem pracy, zawarł pakt z diabłem. Ten pomógł mu, ale zażyczył sobie w zamian duszy zakonnika oraz portretu na kartach świętej księgi. Według naukowców praca nad biblią, którą najprawdopodobniej przepisał i zilustrował jeden człowiek, musiała trwać około trzydziestu lat!

Siedziba biblioteki znajduje się w parku Humlegården, niedaleko snobistycznego Stureplan (to pełen butików i restauracji plac – centrum nocnego życia miasta oraz miejsce, gdzie znajduje się najlepsza w Sztokholmie księgarnia Hedengrens). O otaczającym Kungliga biblioteket parku Humlegården pisał Hjalmar Söderberg: „Był jeden z wielkich dni jesieni. Drzewa w Humlegården miały rzedniejące żółto-czerwone korony. Niczym olbrzymie ptaki wędrowne, których szerokie czarne skrzydła na całe minuty mogły zaćmić słońce i pogrążyć ziemię w cieniu, ciągnęły porwane strzępy chmur, pospiesznie i niespokojnie, po październikowym niebie tak jaskrawo błękitnym, jakby jego przeznaczeniem było lśnić nad cieplejszą jesienią bardziej na południu”^[25].

Pomnik Söderberga znajduje się bardzo blisko głównego wejścia do biblioteki. Był to genialny pisarz, doskonały stylistą i melancholijny znawca duszy ludzkiej, autor *Doktora Glasa* nazywanego szwedzką *Zbrodnią i karą*. Jest uwielbiany i wysoko ceniony w Szwecji, ale nie zaznał międzynarodowej sławy Strindberga. Szkoda, dlatego że był wyjątkowym portreciście Sztokholmu.

„Tomas zatrzymał się na chwilę, przyglądając się charakterystycznej scenografii Vasagatan z angielskim kościołem, małym, pieczołowicie wykończonym zabawkowym kościółkiem z bladoczerwonego piaskowca. Tuż za nim wznosi się ogromny pomarańczowy budynek z niebieskimi roletami w oknach, obrzeżony niejako na tym samym planie sześcioma ciemnymi, smukłymi topolami. Całość przypomina tkaninę pozbawioną perspektywy, płaską kulisę ustawioną dla zabawy na ulicy, z osobliwą japońszczyzną kolorów i konturów...

(...) Szkuty w Nybrohamnen kołysały się sennie, ich ciemne szare żagle były rozpięte, gdyż w nocy padało. Na östermalmskim kościele wybiła dziewiąta. Tomas wyszedł już z domu. W sklepie z owocami przy Hamngatan kupił kilka niemieckich gruszek w torebce, zamierzał zjeść je w cieniu jakiegoś wiekowego dębu na Djurgården. Przejechał pusty tramwaj, Tomas wskoczył do niego”^[26].

W Kungliga biblioteket wszystkie książki Hjalmara Söderberga są dostępne także w języku polskim. Wystarczy je zamówić w katalogu Regina, spokojnie usiąść w jednej z najpiękniejszych czytelni świata z oknami wychodzącymi na park i zanurzyć się w Sztokholmie, tym sprzed stu lat, w którym ludzkie namiętności i niemożności były tak samo dotkliwe i poruszające jak dziś. W książkach Söderberga życie boli, ale i tak bardzo chce się żyć.

„Nie wiem, czy Kocham życie, czy go nienawidzę, ale czepiam się życia całą swoją wolą i wszystkimi pragnieniami. Nie chcę umrzeć. Nie, nie chcę umrzeć – ani dzisiaj, ani jutro, ani w tym roku, ani w przyszłym”^[27].



„Grzybek” na Stureplan, pod którym często umawiają się sztokholmczy, tuż obok Kungliga biblioteket.

Centralbadet

Jest takie miejsce w Sztokholmie, do którego wybieram się tylko raz na jakiś czas, bo bilet wstępu do niego nie należy do najtańszych. Ale po dłuższym pobycie w nim każdą komórką ciała czuję, że żyję, jestem i sam fakt mojego istnienia to cud i dzika radość. Coś takiego można także poczuć po długiej i intensywnej praktyce jogi, ale w Centralbadet nie trzeba specjalnego wysiłku. Wystarczy tam być.

Ten secesyjny basen i spa w najbardziej ruchliwym centrum miasta przy Drottningatan 88, a jednocześnie jakby w zupełnie innym świecie, został zbudowany na przełomie XIX i XX wieku. Otwarto go w 1904 roku. Stał się manifestacją ideałów początku nowej epoki: wiary w przyszłość, odkrycia znaczenia higieny i sportu, przekonania, że

należą się one wszystkim, nie tylko elitom, tęsknoty za naturą i marzeń o ucieczce od nie tak dawno zindustrializowanego, głośnego miasta.

Do secesyjnego budynku basenu przechodzi się przez secesyjne podwórze z piękną fontanną i wspaniałą zielenią. Widać tu jeszcze ślady ogrodu Hårlemanska malmgården, który powstał w tym miejscu w XVIII wieku. Założyła go wdowa po naczelnym ogrodniku królewskim Johanie Hårlemanie. Na początku XIX wieku miejsce to zapragnął zmienić Wilhelm Klemming, twórca Centralbadet. Był nieco szalonym człowiekiem renesansu, entuzjastą wprowadzania zieleni gdzie się da. Lubił mówić o „otwieraniu okna na naturę”. Pracował jako architekt, nie będąc nim w rzeczywistości, ponieważ nie ukończył studiów na sztokholmskiej politechnice (przerwał je, bo były „nudne i nieinteresujące”). Jego rysunki i projekty zawierały wiele błędów, ale osiągał wyjątkowo dobre efekty, gdyż rolę architekta łączył z funkcją szefa budowy; po zakończeniu prac nad Centralbadet został jego dyrektorem.

Na początku swojego istnienia Centralbadet był najnowocześniejszą pływalnią w Szwecji. Znajdowały się tam trzy baseny dla mężczyzn, dwa dla kobiet, zimne i gorące kąpiele, kąpiele bąbelkowe, taras do opalania na dachu, restauracja, sklep z cygarami, fryzjer i fotograf. Wiele z tych atrakcji zostało do dziś. W Centralbadet pływasz w bajkowo podświetlonym basenie o naprawdę ciepłej wodzie, w pięknej architektonicznie przestrzeni pełnej zieleni i zapalonych świec, a kiedy zmęczysz się pływaniem, czytasz książkę na którymś z wygodnych foteli schowanym w ciągnących się wzdłuż brzegu basenu staromodnych pokoikach dla gości.

Po pływaniu idziesz do sauny, ale nie jest to zwykła sauna. W Centralbadet są pachnące sauny ziołowe, sauna, w której słychać odgłosy pustyni, sauna turecka oraz fińska, sauny koedukacyjne i te tylko dla jednej płci. Można też posiedzieć w jednym z wielkich jacuzzi i poćwiczyć wchodzenie po szyję do lodowatej wody, by na końcu zanurzyć się w gorącej. Można zjeść w ekologicznej restauracji, zażyć

sztucznego słońca w oranżerii (w czasie długiej szwedzkiej zimy to prawdziwe zbawienie). Potem wracasz na basen, na którym nikt nie krzyczy i nie skacze do wody, i zanurzasz się ponownie w błękitno-różowej bańce lepszego, secesyjnego, trochę staromodnego świata. Latem poopalasz się na tarasie, a jeśli chcesz, możesz też zamówić masaż, zażyć kąpieli zdrowotnej i wszystkiego tego, co oferuje dobre spa. Według mnie wystarczy jednak rozkoszować się wyjątkowym basenem i wyjątkową sauną. Do tego miejsca wracam zawsze z moją mamą. Po pobycie w nim każda z nas czuje się jak księżniczka.

www.centralbadet.se

Vete-Katten

Do Vete-Katten zabrał mnie po raz pierwszy znajomy szwedzki dziennikarz, który pracował w znajdującej się w pobliżu redakcji „Svenska Dagbladet”. Dziennikarz ten jest szalenie interesującym i mądrym człowiekiem, a do tego lekkim snobem i prawdziwym smakoszem życia. Uwielbia lunchy w sąsiadującej ze sztokholmską operą legendarnej restauracji Operakällaren, a czekoladki najchętniej kupuje w Nordiska Kompaniet, czyli sztokholmskim odpowiedniku Harrodsa. Dlatego na kawę i coś słodkiego, czyli słynne szwedzkie *fika* (Anglicy wciąż piją herbatę, a Szwedzi kilka razy dziennie robią sobie przerwę na *fika*), zaprosił mnie do kultowej cukierni Vete-Katten. Prosty wystrój, trochę głośno, wspaniałe wypieki. Miejsce słynie między innymi z ciasteczek truflowych w trzydziestu smakach i *afternoon tea* serwowanej od piętnastej ze świeżo upieczonymi *scones*.

Cukiernia ma już prawie sto lat, bo została otwarta 20 grudnia 1928, choć wcześniej znajdowała się w nieistniejącej dziś, bo prawie w całości wyburzonej dzielnicy Klara. Vete-Katten stworzyła Ester Nordhammars, co było niezwykle, bo w Szwecji lat 20. zeszłego wieku nie było wielu kobiet przedsiębiorczyń. Nazwę kawiarni można by

próbować tłumaczyć jako kota (*katten*) z mąki pszennej (*vete*), ale w rzeczywistości jest to idiom, który znaczy „bez pojęcia”. Podobno Ester zapytana przez kogoś, jak nazwie swoją kawiarnię, odparła: *Ja, det vette katten* („No nie mam pojęcia”) i tak już zostało.

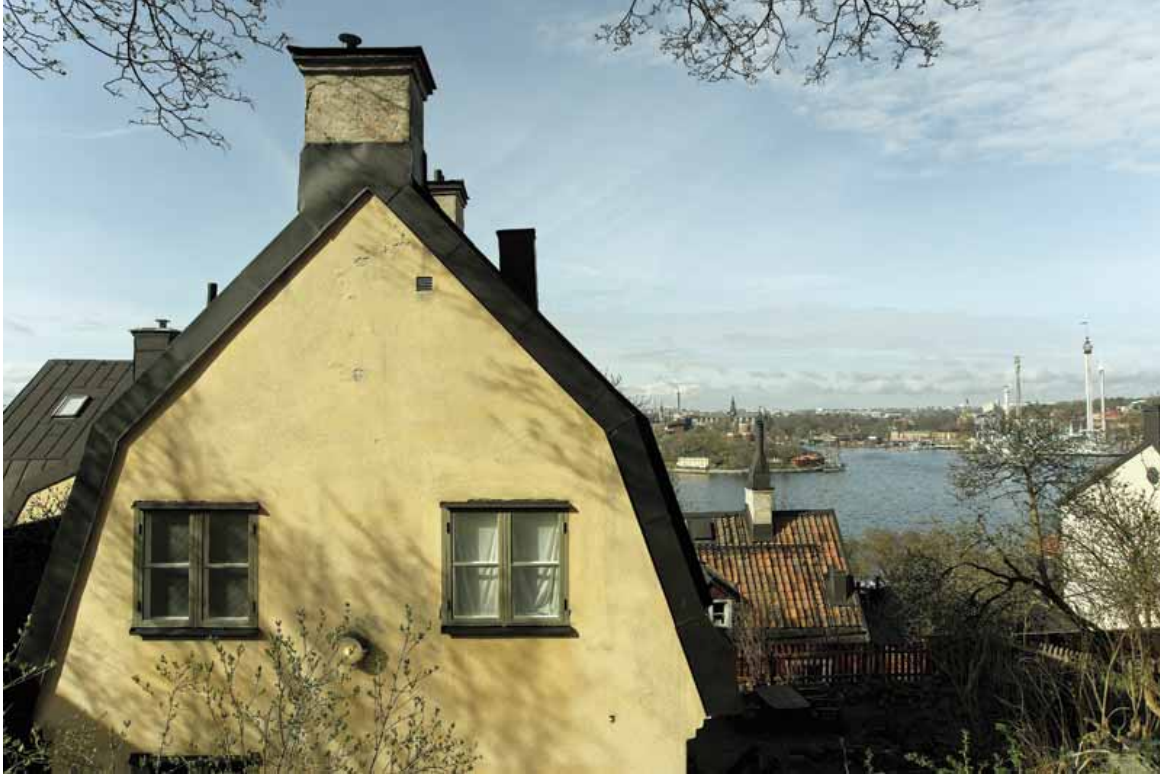
Vete-Katten jest większa niż zwykle kawiarnie. Można tu także zjeść lekki lunch.

Bardzo lubię tam wracać.

www.vetekatten.se

Fjällgatan

Sztokholmczycy uwielbiają swoje miasto i często dyskutują o tym, skąd najlepiej widać, jak bardzo jest wyjątkowe. W większości rankingów wygrywa położona w dzielnicy Södermalm uliczka Fjällgatan. Znajduje się ona na wysokiej skarpie, więc widać z niej dobrze starówkę, dużą część centrum oraz wyspę Djurgården, na której brzegu mieści się wesołe miasteczko Gröna Lund (sama nie jestem „wesołomiasteczkową” osobą, ale miłośnicy tej formy rozrywki nie będą w Sztokholmie zawiedzeni). Poza widokiem na Fjällgatan można oglądać też stare, przytulone do siebie drewniane domki, w większości XIX-wieczne (ale są też zabudowania z XVIII wieku), które dobrze pamiętają czas, gdy u stóp Fjällgatan znajdował się wielki port przeładunkowy, a w domkach mieszkali jego pracownicy, a także, podobno, liczni żeglarze. Wzdłuż domków zamiast chodnika wciąż leżą kocie łby.



Jeżeli spacerując Fjällgatan zobaczysz drewniane schody – wejdź na górę i twoim oczom ukaze się ten widok.



W oknach domów na Fjällgatan można zobaczyć specjalne lusterka do podglądania przechodniów – relikw z epoki robótek ręcznych i braku telewizji.

O uroku widoku na miasto z Fjällgatan pięknie napisał Torsten Fogelqvist: „Nie da się opisać tej symfonii perspektyw, linii, barw i dźwięków. Trzeba by do tego najpiękniejszych poetyckich metafor oraz dni niczym niezmaconego spokoju. Ten, kto po raz pierwszy w życiu zaciągnął się sztokholmskim powietrzem właśnie w tym miejscu i zrobił to w złoty jesienny poranek, będąc jeszcze młodym, niezblazowanym wszelkimi możliwymi widokami świata człowiekiem, nie będzie już nigdy mógł zobaczyć Sztokholmu inaczej (...). Jest rzeczą niewykonalną, by w takiej chwili i z takiej perspektywy nie zachłysnąć się atmosferą dużego miasta, a dokładniej mówiąc, nie zachłysnąć się Sztokholmem. Sam doświadczyłem Sztokholmu po raz pierwszy właśnie na Fjällgatan. I cieszę się, że nie stało się to w innym miejscu”^[28].

Myślę, że wiadomo, dlaczego zabieram na Fjällgatan wszystkich moich gości. Często odwiedzamy przy okazji świetną wegańską restaurację

Hermans, która znajduje się w okolicy. To także miejsce ze wspaniałym widokiem.



Widok na wesołe miasteczko Gröna Lund z Fjällgatan (to zdjęcie nie powstałoby bez pomocy mojego męża Marcina, który wstał o 2.30 i pojechał razem z Danielem fotografować miasto nocą).

XII.

LOVE TO STOCKHOLM,
czyli miasto po zamachu



Kungsträdgården w słoneczny, zimowy dzień. Niedaleko stąd doszło do zamachu.

Pamięci ofiar ataku terrorystycznego w Sztokholmie

Poniższy tekst napisałam dzień po zamachu terrorystycznym w Sztokholmie w kwietniu 2017 roku^[29]. Pomyślałam, że powinien znaleźć się w tej książce, i to z kilku ważnych powodów.

Przede wszystkim dlatego, że moja opowieść o tym, jak zareagowało miasto, sporo mówi zarówno o stolicy Szwecji, jak i jej mieszkańcach. I chyba jednak daje nadzieję. Poza tym, jak już wspominałam we wstępie do tej książki, atak na Drottninggatan pozostawił we mnie głęboki ślad i na długie miesiące zamknął mnie w strachu i niechęci do miasta, które kocham. Na tym właśnie polega siła rażenia terroru – gasi kilka istnień ludzkich, ale w tysiącach innych osób niszczy radość życia i zaufanie, które jest tak potrzebne do życia w mieście. Bez zaufania do drugiego człowieka miasto staje się potworem. Pisanie tej książki pozwoliło mi pozbyć się strachu i znowu uwierzyć w świat. Elementem tej wiary jest jednak przekonanie, że o pewnych rzeczach nigdy nie wolno zapominać. To jedna z takich historii.

NIE W SZTOKHOLMIE. NIE W KRAJU ASTRID LINDGREN. MAM NADZIEJĘ, ŻE JUŻ NIGDY WIĘCEJ

Obudziłam się dziś o trzeciej nad ranem. Całe ciało bolało mnie jak po dużym wysiłku fizycznym. W mojej głowie przewijał się film z wydarzeń poprzedniego dnia.

Jest 7 kwietnia, godzina 15.10, siedzę w samochodzie w drodze do sklepu. Dzwoni mój mąż.

– Przed chwilą był atak terrorystyczny na Drottninggatan, Daniel w porządku, już z nim rozmawiałem.

Przestraszona, ale wciąż spokojna, dzwonię do syna przekonana, że znajduje się gdzieś w pobliżu swojego liceum. Chcę powiedzieć, że podjadę po niego samochodem, jestem blisko, będzie nam obojgu różnie. Daniel od razu odbiera i ku mojemu przerażeniu mówi, że jest z kolegą w centrum miasta, są w ich ulubionym sklepie ze skaterskimi ciuchami, bardzo blisko miejsca ataku. W mojej głowie włącza się syrena alarmowa, lawina myśli, dociskam gaz.

– Czekajcie na mnie! Nie wychodźcie na ulicę! – wołam do słuchawki.

Wiemy, że ciężarówka wjechała w tłum przechodniów na największej handlowej ulicy miasta, ale nie mamy pojęcia, czy to koniec ataku. Może gdzieś tam rusza kolejny samochód śmierci? Może coś się wydarzy w metrze? Rozmowa z synem zostaje przerwana. Ponownie dzwonię, Daniel zdąży mi powiedzieć, że ludzie w sklepie płaczą, i połączenie znów zaczyna szwankować.

Za pół godziny ciężko gdziekolwiek się dodzwonić, linie telefoniczne są maksymalnie przeciążone, wszyscy mieszkańcy Sztokholmu próbują kontaktować się z bliskimi, żeby sprawdzić, gdzie są, czy jeszcze są...

Serce wali mi jak oszalałe, każde czerwone światło sprawia, że klnę i wrzeszczę jak wariatka. Jestem opętana jedną myślą: muszę jak najszybciej dostać się pod cholerny sklep, na cholernie wąskiej ulicy (jest wąska, powtarzam sobie, w wąską trudno wjechać ciężarówką), mój syn czeka na mnie, nie mogę go zawieść. Zbliżam się do centrum, nad którym krążą policyjne helikoptery, samochody na sygnale jadą we wszystkich możliwych kierunkach, jakby nie były pewne, gdzie mają być. Jednocześnie wygląda na to, że większość przechodniów, których mijam, jeszcze nie wie, co się stało. Od zamachu upłynęło jakieś dwadzieścia minut, a oni są za daleko od miejsca ataku...







Melancholijne okolice Slussen.

Nawet nie wyobrażacie sobie, jak bardzo skuteczna jest matka, którą prowadzi strach o dziecko. Wybieram najwłaściwsze drogi, wciskam się tuż za wozy policyjne, zdążam przejechać skrótem obok budynku Riksdagu dosłownie chwilę przed tym, jak przejazd ten zostanie zamknięty (podobnie jak parlament, a w nim szwedzcy politycy), łamię ten czy inny zakaz drogowy, byle szybciej, byle do przodu. Każda sekunda dłuży się jak kilkanaście minut, słucham radia, mój strach narasta. Kątem oka widzę

rosnącą liczbę wiadomości na moim Messengerze. W końcu cudem docieram do celu, chłopcy wskakują do samochodu, nasza ulga nie zna granic.

Jeszcze o tym nie wiemy, ale w tym czasie przestaje działać metro, a za kolejne kilkanaście minut w ogóle nie da się wjechać do centrum. Kina i restauracje zostaną zamknięte. Tłumy mieszkańców podmiejskich dzielnic będą wędrować do domów wzdłuż autostrad. Mieszkańcy centrum napiszą na Facebooku, że znajomi, którzy utknęli w mieście, mogą u nich przenocować.

Będzie coraz więcej dobrych ludzkich gestów, jakby sztokholmczyzy instynktownie rozumieli, że choć brzmi to banalnie, naprawdę jedyną obroną przed złem jest miłość. Na wieży Stadshuset zawiśnie wielki plakat z rysunkiem serca i napisem „Love to Stockholm”.

Na razie panuje chaos, nie do końca wiadomo, co się dzieje, więc w drodze do domu omijam na wszelki wypadek mosty (to nie jest proste, w końcu Sztokholm to miasto wysp) i wybieram najmniej uczęszczane drogi. W końcu i tak lądujemy w korku na starówce. I wtedy siedzący na tylnym siedzeniu chłopcy mówią mi, że media donoszą o strzelaninie na Fridhemsplan. Nie mamy pojęcia, że to powodowany ogólną histerią *fake news* i że podobnych, równie nieprawdziwych wiadomości będzie więcej. Zaczynam odczuwać panikę. Każę chłopcom położyć się na siedzeniach. Histryczna reakcja? Z pewnością tak, ale następnego dnia będę czytać w gazecie opowieść dziennikarki siedzącej w chwili ataku w pociągu, który miał ruszyć ze stacji centralnej do Göteborga. Pociąg nie ruszył, za to zamknięto wszystkie drzwi, a pasażerowie mogli widzieć przez okna uciekających ludzi (Dworzec Centralny w Sztokholmie znajduje się niedaleko Drottninggatan). Dziennikarka i jej współpasażerowie spędzili kolejne pół godziny, leżąc plackiem na ziemi. Na wszelki wypadek. Inna dziennikarka opowiadała o tym, że w momencie ataku jej dzieci znajdowały się same w mieszkaniu w centrum miasta. Tata zadzwonił do nich i kazał im trzymać się jak najdalej od okien.

W takich momentach nie wiesz nic i jedyne, czego chcesz, to chronić swoich najbliższych. Włącza ci się w środku alarm i jedyne imperatyw to: musimy przetrwać.



Wszeghobecne w mieście rzeźby lwów stały się niespodziewanie nowym symbolem walki z terroryzmem – produkowane w cięższej niż kiedyś wersji mają zabezpieczać deptaki, zatrzymując w razie potrzeby rozpędzające się na przechodniów ciężarówki.

Kiedy w końcu udaje nam się dotrzeć do domu, wpadamy w dziwny rodzaj euforii. Jesteśmy razem, mojemu mężowi też udało się przyjechać z pracy. Zbierają się u nas koledzy syna. Mama jednego z nich wciąż nie może wyjść z biura przy Drottninggatan. Ze względów bezpieczeństwa pracownikom kazano pozostawać w środku. Może będą musieli przenocować w pracy? Opowiadamy sobie jedno przez drugie, co przeżyliśmy. W milczeniu oglądamy wiadomości, ślady krwi na tak dobrze znajomym chodniku, przykryte żółtymi plandekami ciała. To wszystko wydaje się nierealne. Nie w Sztokholmie. Nie w kraju Astrid Lindgren. Przecież Szwecja była zawsze neutralna, przecież Szwecja to prawie jak Bullerbyn. Pijemy z mężem wino, przytulamy się.

Prawdziwy strach przychodzi dopiero później. Chwyta za gardło nad ranem. Jest uporczywą myślą o tym, co by było, gdyby mój syn zaplanował z kolegą, że odwiedzą najpierw jakiś sklep na Drottninggatan...

Jonas Gardell, tłumaczony przeze mnie pisarz, z którym nie tak dawno przeprowadziłam długą rozmowę do mojej nowej książki o Szwecji, napisał piękny tekst o ataku na społeczeństwo otwarte, o tym, jak nie wolno nam się poddać, zamknąć w nieufności. „Patrząc na wiadomości, zauważam, że większość rozmawiających z dziennikarzami naocznych świadków zdarzenia to imigranci. Mówią po szwedzku, trochę go łamiąc, z wszelkimi akcentami, które ma dziś mój język, są niespokojni, zaangażowani, to był atak terrorystyczny na nasz kraj, podkreślają” – pisze w „Expressen” Gardell.

To uważny obserwator, trafił w sedno. Mnie samą wzruszają zwykłe, ludzkie gesty. Hasse o nazwisku, którego nie jestem w stanie wymówić, przyjechał na miejsce ataku z siatkami wypchanymi owocami. Rozdaje je pracującym od wielu godzin policjantom. Mówi, że gdy podchodzi do nich ze swoimi reklamówkami, w pierwszej chwili reagują niepokojem. Może to kolejny terrorysta? Wcale go to nie dziwi. Ale cieszy się, że policjanci w końcu częstują się jabłkami, że może im jakoś pomóc.

Czarnowłosa Zubari, który mieszka poza miastem, na wieść o tym, że nie działa komunikacja miejska, natychmiast wsiadł do samochodu i rozpoczął akcję podwożenia ludzi, którzy szli do swoich domów na piechotę.

Bohaterki mojej książki *Moralisci*, Sara Mohammad i Amineh Kakabaveh, feministki z przedmieść od lat walczące z islamistycznym fundamentalizmem, piszą na Facebooku o Sztokholmie z taką samą miłością i niepokojem jak urodzeni w tym mieście Szwedzi.

Robię to samo co one, czujemy tak samo. Ja też jestem imigrantką, ja też kocham Szwecję, ja też się boję i ja też mam nadzieję, że już nigdy więcej.



Kilka słów na koniec



Rzeźby Niki de Saint Phalle przed Moderna museet na wyspie Skeppsholmen.

Kocham Sztokholm. To moje miasto. To w Sztokholmie najlepiej się orientuję, gdzie co jest, to w tym mieście nigdy się nie gubię (choć mam do tego silną tendencję), to tu jestem w stanie wszędzie znaleźć miejsce do zaparkowania samochodu (a uwierzcie, nie jest to łatwe), to tu żyję, odpoczywam i najchętniej przyjmuję gości. Nie da się nie kochać miasta, w którym latem można wyjść wieczorem w szlafroku, żeby popływać w pobliskim jeziorze, a zimą da się pojeździć na nartach albo przypiąć łyżwy i poszusować hen daleko po zamrzniętych akwenach. I w którym ma się za rogiem wszelkie wielkomiejskie atrakcje i udogodnienia: rewelacyjne muzea i teatry, restauracje z jedzeniem ze wszystkich stron świata, sklepy czynne nawet w święta, sceny koncertowe i literackie, a nawet scenę tańca nowoczesnego, która nie ustępuje tym amerykańskim i francuskim. To Dansenshus (www.dansenshus.se), na którego deskach występują największe sławy od Batsheva Dance Company po Barysznikowa.

Jednocześnie nigdy nie przyzwyczaję się do ciemności sztokholmskich zim. Pewnie tak już zostanie, dopóki tu mieszkam, że każdego roku gdzieś na początku marca będę snuła plany natychmiastowej przeprowadzki do Portugalii albo w jakiś inny ciepły rejon.

Ta książka nie traktuje jednak ani o mojej miłości do stolicy Szwecji, ani o znużeniu niektórymi jej aspektami. To przede wszystkim opowieść o tym, co się dzieje, gdy na miasto spoglądasz zarówno od środka, jak i z zewnątrz. Kiedy analizujesz je z kilku różnych perspektyw dostępnych w większym stopniu przyjezdnym niż tubylcom. Według mnie świat staje się ciekawszy, kiedy patrzymy na niego przez więcej niż jedno okulary, i jestem szczęśliwa, że mój urodzony w Szwecji, dwujęzyczny syn także ma w sobie ową bardzo kreatywną podwójność widzenia. Mam nadzieję, że widać to także w wykonanych przez niego zdjęciach.

Dla mnie Sztokholm zawsze będzie miastem, które ciągle odkrywam, pomimo że jest też moim domem. Być może da się w ten sposób patrzeć na każde miejsce, w którym przyszło nam żyć? Mam nadzieję, że cię do tego zainspirowałam. Mam też nadzieję, że przyjedziesz do Sztokholmu i zamiast zacząć jego zwiedzanie od Muzeum Vasa, do którego trafiają wszyscy turyści, wybierzesz się przekornie do Vällingby. Albo do Saltsjöbaden i do Muzeum Atelier Carla Eldha. Bo naprawdę dobrze jest czasem zostać turystycznym kotem i wybrać inną drogę niż wszyscy.

Bibliografia

- Allgårdh S., Berglund E., *The home and art of Carl Milles*, Arvinius+Orfeus Publishing, Stockholm 2016.
- Bedoire F., *Från Klarna till City. Stockholm innerstad i förvandling*, Liber, Stockholm 1985.
- Bernhardsson S., Fredriksson G., Johansson I., *Stockholm utanför tullarna. Nittisju stadsdelar i ytterstaden*, Stockholm förlag, Stockholm 2003.
- Centralbadet. Ett vattenhål i stenstaden*, ed. L. Svanberg, Legenda, Stockholm 1989.
- Fogelqvist T., *Minnena, meningar, melodier*, Bonnier, Stockholm 1930.
- Gelin S., *Artipegal. Art meets nature*, Artipelag, Gustavsberg 2017.
- Hedqvist H., Björk C., Ericson E., *Swedish Modern*, Orosdi-Back, Stockholm 2018.
- Holmqvist M., *Djursholm. Sveriges ledarsamhälle*, Atlantis, Stockholm 2015.
- Kihlberg J., *Vällingby och kulturarvet. Att bevara och förnya ett centrum*, KTH Royal Institute of Technology, Stockholm 2012.
- Malmsten B., *Moje pierwsze życie*, tłum. B. Walczak-Larsson Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.
- Millroth T., Skoglund P., *Vällingby, en tidsbild av vikt*, Almlöfs Förlag, Stockholm 2004.
- Nodin E., *Tusen möjligheters rike: aspekter på Carl Milles monumentalskulptur*, Atlantis, Stockholm 2005.
- Petersens af L., Wästberg P., *Östermalm*, Lind&Co Förlag, Stockholm 2001.
- Sidenbladh G., *Planering för Stockholm 1923–1958*, Liber, Stockholm 1981.
- Sjöström I., Cavalli-Björkman Å., Gröminge P., Krantz E., Rörby M., *Carl Eldhs Ateljémuseum*, Stiftelsen Carl och Elise Eldhs ateljé, Stockholm 2005.
- Söderberg H., *Opowiadania*, tłum. P. Pollak, Fundacja Szwedzka, Wrocław 2003.
- Söderberg H., *Zabłakania*, tłum. P. Pollak, Wydawnictwo Kojro, Rusiec 2010.
- Sten V., *Na spokojnych wodach*, tłum. P. Jankowska, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2014.
- Strindberg A., *Czerwony pokój: sceny z życia artystów i pisarzy*, tłum. E. Ptaszyńska-Sadowska, Przedświt, Warszawa 1994.

- Stritzler-Lerine N., *Josef Frank, Architect and Designer. An Alternative Vision of the Modern Home*, Yale University Press, Yale 1996.
- Tranströmer T., *Wiersze i proza 1954–2004*, tłum. L. Neuger, M. Wasilewska-Chmura, Wydawnictwo a5, Kraków 2012.
- Triberg A., *En värld av öar. Den stora boken om Stockholms skärgård*, Max Ström, Stockholm 2009.
- Wängber-Eriksson K., Eriksson J.C., *Josef Frank – Möbelformgivaren*, Carlsson Bokförlag, Stockholm 2017.
- Wästberg P., *Sommaröarna: en bok om stockholmarnas skärgård*, Wahlström & Widstrand, Stockholm 2000.
- Wästberg P., Petersens af L., *Klara, en stadsdel i förvandling*, Lind&Co Förlag, Stockholm 2000.
- Williams A., *Systrarna von Hallwyl*, Hallwylska museet, Stockholm, 2017.
- Wirtén P., *Där jag kommer från: kriget mot förorten*, Bonnier, Stockholm 2015.
- Witt-Brattström E., *Kulturmannen och andra texter*, Norstedt, Stockholm 2016.

Przypisy

[1] Informacje o domku hobbita znajdziesz na stronie internetowej: www.hobbitstockholm.se.

[2] Frederic Bedoire, *Från Klarna till City. Stockholm innerstad i förvandling*, Liber, Stockholm 1985.

[3] Per Wästberg, *Klara. En stadsdel i förvandling*, Lind&Co Förlag, Stockholm 2000

[4] Göran Sidenbladh, *Planering för Stockholm 1923–1958*, Liber, Stockholm 1981.

[5] Popularna używka na bazie tytoniu (przyp. red.).

[6] Per Wästberg, *Klara: en stadsdel i förvandling*, Lind & Co, Stockholm 2000.

[7] Slussen to także śluza łącząca wodę jeziora Mälaren z wodą morską.

[8] August Strindberg, *Czerwony pokój*, tłum. E. Ptaszyńska-Sadowska, Przedświt, Warszawa 1994.

[9] Tomas Tranströmer (1931–2015) – poeta, tłumacz. Jeden z najsłynniejszych sztokholmczyków. Laureat Literackiej Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 2011. Jego twórczość została przetłumaczona na ponad 60 języków.

[10] Tomas Tranströmer, *Szkoła realna*, [w:] *Wiersze i proza 1954–2004*, tłum. L. Neuger, Wydawnictwo a5, Kraków 2012.

[11] Karin Boye, *Pewnie, że boli*, tłum. M. Wasilewska-Chmura.

[12] Thomas Millroth, Per Skoglund, *Vällingby, en tidsbild av vikt*, Almlöfs Förlag, Stockholm 2004.

[13] Tamże.

[14] Bodil Malmsten, *Moje pierwsze życie*, tłum. B. Walczak-Larsson, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.

[15] Mikael Holmqvist, *Djursholm. Sveriges ledarsamhälle*, Atlantis, Stockholm 2015.

[16] Tamże.

[17] Ebba Witt-Brattström, *Kulturmannen och andra texter*, Norstedt, Stockholm 2016.

[18] Tomas Tranströmer, *Gdy znów ujrzeliśmy wyspy*, [w:] *Wiersze i proza 1954–2004*, tłum. M. Wasilewska-Chmura, Wydawnictwo a5, Kraków 2012.

[19] Per Wästberg, *Sommaröarna: en bok om stockholmarnas skärgård*, Wahlström & Widstrand, Stockholm 2000.

[20] Viveca Sten, *Na spokojnych wodach*, tłum. P. Jankowska, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa, 2014.

[21] Tomas Tranströmer, *Z góry*, [w:] *Wiersze i proza 1954-2004*, tłum. M. Wasilewska-Chmura, Wydawnictwo a5, Kraków 2012.

[22] W pobliżu, przy ulicy Karlavägen 35, mieści się polska ambasada.

[23] Kristina Wängber-Eriksson, Jan Christer Eriksson, *Josef Frank – Möbelformgivaren*, Carlsson Bokförlag, Stockholm 2017.

[24] Tamże.

[25] Hjalmar Söderberg, *Zabłąkania*, tłum. P. Pollak, Wydawnictwo Kojro, Rusiec 2010.

[26] Tamże.

[27] Hjalmar Söderberg, *Opowiadki*, tłum. P. Pollak, Fundacja Szwedzka, Wrocław 2003.

[28] Torsten Fogelqvist, *Minnena, meningar, melodier*, Bonnier, Stockholm 1930.

[29] Tekst ukazał się w internetowym wydaniu „Gazety Wyborczej” z dnia 8 kwietnia 2017 r.

Spis treści

Dedykacja

Wstęp. To nie jest (zwykły) przewodnik

I. Dzielnica, której nie ma, czyli co się stało z Klarą

II. Södermalm. Elitarny adres z robotniczą przeszłością

III. Poza centrum. Duży Sztokholm

Podaj mi swój adres, a powiem ci kim jesteś

Pokochać Huddinge

Chłopak z przedmieść – rozmowa z Perem Wirténem

IV. Najciekawsze przedmieścia. Nie tylko jak Bullerbyn

Vällingby – modernistyczna utopia

Djursholm – szwedzkość nieegalitarna

Saltsjöbaden – kolejne siedlisko wyższych sfer

V. Najciekawsze muzea i galerie i ich opowieści o Szwecji

Millesgården (Ogród Millesa)

Carl Eldhs Ateljémuseum (Muzeum Atelier Carla Eldha)

Fotografiska (Muzeum Fotografii)

Zagadać do Szwedów – rozmowa z Wiktorią Michałkiewicz

Nationalmuseum (Muzeum Narodowe)

Artipelag – centrum sztuki w sercu Archipelagu Sztokholmskiego

Hallwylska museet (Muzeum baronostwa von Hallwyl)

VI. Archipelag Sztokholmski, czyli tam, gdzie rosną poziomki

VII. Sztokholm widziany z wody

Sztokholmska obsesja pogody

Miasto wysp i mostów

Miejskie spacerunki nad wodą

VIII. W górę albo w dół

Sztokholm widziany z góry

Sztokholm od dołu

IX. Śladami poloników. Pamiątki nie tylko po „potopie”

Polska historia zachowana w szwedzkich murach – rozmowa z prof. Ewą Teodorowicz-Hellman

X. Sztokholm uchodźców i imigrantów

XI. Moje magiczne miejsca

Svenskt tenn

Rosendals Trädgård

Kungliga biblioteket

Centralbadet

Vete-Katten

Fjällgatan

XII. LOVE TO STOCKHOLM, czyli miasto po zamachu

Pamięci ofiar ataku terrorystycznego

Nie w Sztokholmie. Nie w kraju Astrid Lindgren. Mam nadzieję, że już nigdy więcej

Kilka słów na koniec

Bibliografia

Przypisy

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Justyna Tarkowska

Redakcja
Agata Broma

Korekta
Teresa Zielińska
Monika Pruska


Skład i łamanie
TYPO 2
Jolanta Ugorowska

Copyright © by Katarzyna Tubylewicz, 2019
Zdjęcia © Daniel Tubylewicz, 2019
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2019

ISBN 978-83-8032-331-5



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR

Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na [Android](#) oraz [iOS](#). Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.



Konwersja: [eLitera s.c.](#)